Foto: Grzegorz Gałasiński

Tragiczny wybuch w centrum Łodzi

Znowu gaz!

Huk był tak potworny, że myślałem iż straciłem słuch, z niedowierzaniem patrzyłem jak pędzi na mnie firanka wypełniona szkłem z rozbitych szyb. Wciąż nie wiedziałem co się stało, automatycznie rejestrowałem tylko obraz poprzewracanych mebli, rozbitych obrazów, szklanego gruzu wokoło.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

str. 7

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 42 (1542) ROK XXX 17 PAŹDZIERNIKA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

- Zbigniew Nienacki „Dagome iudex” — str. 16
- Katolicyzm a protestantyzm — str. 4
- Seks i melancholia — str. 5
- Miasto bez deszczu — str. 12
- Od Nikity Chruszczowa do Leonida Breżniewa str. 13

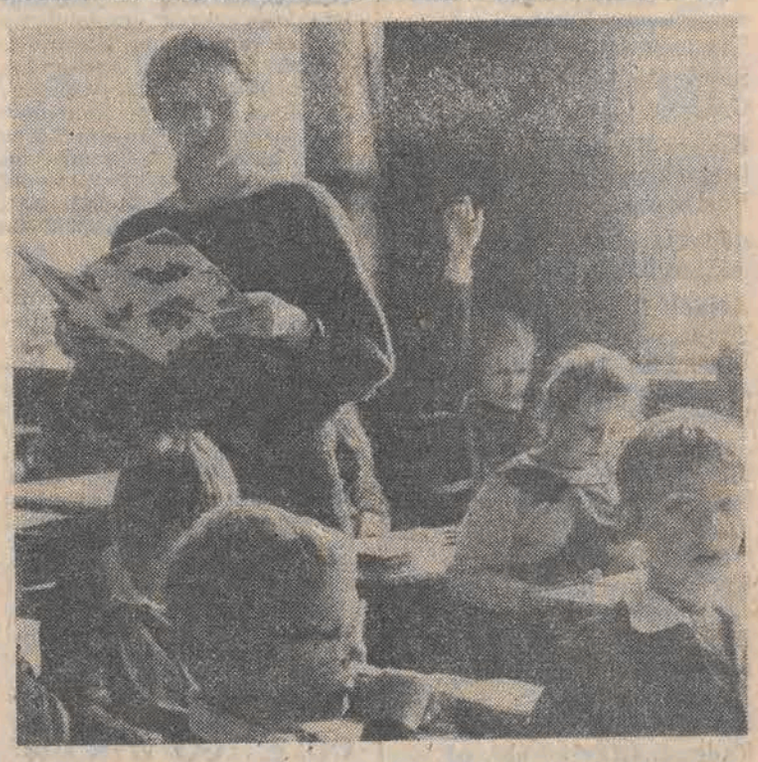

Foto: Grzegorz Gałasiński

Nauczycielom,
w dniu ich Święta,
pomyślności w życiu
osobistym i satysfakcji
z pracy zawodowej

życzy zespół „Odgłosów”

Widokówka z Tatr

ROMAN KUBIAK

SZANOWNY JANOSIKU,

w pierwszych słowach mej prośby pragnę troskliwie zapytać o Twe szlachetne zdrowie i krzepę, ponieważ jedno i drugie musisz mieć końskie, żeby w Tatrach na powrót zaprowadzić jaki taki porządek i sprawiedliwość. A robota jest pilna, gdyż epidemia pazerności szybko przemienia ten piękny region w stajnię Augiasza.

O ile pamiętam ze szkoły i serialu telewizyjnego, w dawnych dobrych czasach społecznie zajmowałeś się inkasowaniem podatku wyrównawczego od bogaczy, plon zaś zbójeckiego trudu rozdawałeś ubogim, czyli działałeś na gruncie przyszłych pryncypiów. Jednakże skutkiem Twej wieloletniej nieobecności, na Pohalu rozpanoszył się nowy obyczaj, a mianowicie bogacze łupią obecnie lud pracujący miast i wsi nizinnych. (Przypadków dzielenia się zdobyczą nie pamiętają nawet najstarsi górale). W tym niecnym procederze przodują broń Boże nie cesarscy ani murgrabia, jeno Twoi Janosiku krajanie, czyli tubylcy. Nie przecze, że mają oni do perfekcji opanowaną sztukę zdzierania skór z baranów, ale nie każdy turysta od razu chce być baranem. Co prawda sporadycznie grasują tu harnasie z Izby Skarbowej w celu łupienia miejscowych grasantów — lecz to tylko amatorzy nijakiej krzywdy im nie czyniący. Dlatego cała nadzieja w Tobie. Wielki już czas zrychtować ciupagę i wszcząć kompleksową kontrolę terenu. Prośbę swą motywuję tym, że szlag mnie trafia.

Zacznijmy od samej „góry”, choćby dlatego, że przykład idzie stamtąd właśnie, a w ogóle rzecz cała dotyczy gór. Otóż zbójowaniem trudni się miejscowa władza wojewódzka, która nakłada okrutny haracz na ceprów. Haracz ów po urzędniczemu zwie się pięknie dodatkiem sezonowym i do cna pustoszy kieszenie z uczciwie zaoszczędzonych na urlop dutków. Sprytny jego mechanizm polega na jawnym podwyższaniu cen detalicznych regulowanych, urzędowych i umownych aż o 10 procent — bez konsultacji społecznych. Ot, ktoś „na górze” obmyślił sobie zreformowany sposób zbójowania i reformę tę wdrożył. Płaczą przeto emeryci starego portfela, turystyczna młodzież plesza oraz spauperyzowana inteligencja, gdyż nikt inny do takiego na przykład Zakopanego już nie przyjeżdża — bo i po co. Na Krupówkach jest tak samo gęsto jak na Marszałkowskiej, a salmonellę równie dobrze można złapać w rodzinnym Zabrzu czy Łomży. Zamożniejsi od dawna nie korzystają z podobnych spędów. Płaczą więc wyżej wymienieni, którym przychodzi dopłacać po parę tysiączków za frajer.

Niektórzy tłumaczą sobie uparcie, że haracz jest podatkiem od luksusu choćby sławnej kuchni regionalnej, której specjalność to zapiekanka z serem, hot-dog z keczupem i gofry z dżemem. Tu i ówdzie można jeszcze skosztować kawał padliny baraniej zwany befsztykiem, szyncem albo w ostateczności mielonym. Do tego szef kuchni poleca łyk napoju regionalnego o nazwie herbata ekspresowa, który smakuje jak mocz pawiana, a kosztuje jak burgund. Inni znowu czatują na granicy województwa, żeby naocznie sprawdzić, czy aby sprowadzane na Podhale surowce kulinarne nie są obłożone jakimś bandyckim cłem rzutującym na ceny, bo przecież mąka jest „Wrocławska”, ser „Mazurski”, herbata „Gruzińska”, natomiast okowita owocowa — bardzo słodka, sądząc po zapachu, niechybnie spod Tarnobrzega. Ale ceł przywozowych jeszcze nie ustalono. Więc ja pytam uprzejmie, za co te dopłaty?

Może za posługi góralskie. Najbardziej rozpowszechnione z nich, to transport osobową dryndą zaprzężoną w pijanego

6

Miasto bez deszczu

RYSZARD NAKONIECZNY

15 listopada 1533 roku Francisco Pizarro w towarzystwie księcia inkaskiego Manco wkroczył do Cusco, dopełniając w ten sposób losu potężnego państwa Tawantinsuyu. Wprawdzie walka nie była jeszcze ostatecznie zakończona i Synowie Słońca co najmniej przez następnych 11 lat zdobywali się na bohaterskie zrywy przeciwko najeźdźcom, punkt ciężkości wydarzeń przesuwał się jednak coraz bardziej na poczynania samych Hiszpanów — zresztą nie mniej barwne, a przede wszystkim nie mniej pouczające.

Stawką było olbrzymie terytorium, pełne nieograniczonych bogactw i obietnic zaszczytów zdolnych zaspokoić nawet najbardziej wygórowane ambicje. Póki co jednak było to terytorium pogrążone w kompletnym chaosie, żelazna organizacja Inków rozpadła się bowiem doszczętnie, a nowej nie było. Przede wszystkim nie istniało miejsce mogące spełniać rolę centrum politycznego, gospodarczego a w przyszłości i kulturalnego. Główne miasta Inków — Cusco, Jauja i Cajamarca — były pod tym względem nieprzydatne. I to nie dlatego, że Pizarro nie trudził się nigdy nawet stwarzaniem pozorów kontynuacji tubylczych tradycji, ale głównie na skutek swojego wysokogórskiego położenia, uniemożliwiającego nie tylko kontakty z zamorską metropolią, ale i sprawne administrowanie świeżo podbitymi ziemiami. Ta ostatnia przyczyna eliminowała także położone nad zatoką Guayaquil osiedle San Miguel, założone w samych początkach konkwisty. Ewentualne inne kandydatury były jeszcze gorsze. W tym stanie rzeczy Francisco Pizarro podjął jedną z tych decyzji, jakie od czasu do czasu tylko jemu przychodziły do głowy.

Postanowił założyć całkiem nową stolicę.

Jako pierwszy wyłonił się problem lokalizacji. W jego rozwiązaniu dużą rolę odegrała prawdopodobnie niewielka osada Pachacamac, niemal idealnie spełniająca wymagane warunki; nie tylko była ona bowiem położona w centralnej strefie wybrzeża Pacyfiku, ale na dodatek nad rzeką, która użyźniała nadoceaniczną pustynię.

Za tymi olśniewającymi zaletami kryła się jednak jedna, ale za to z punktu widzenia Pizarra zasadnicza, wada: Pachacamac był prastarym sanktuarium, którego sławy nie zniszczyła ani potęga Inków, ani hiszpańskie grabieże, a jakby tego było jeszcze mało jego nazwa w języku kèchua oznaczała Stwórcę Świata — naczelny konkwistador uznał, że dwóch Bogów przypisujących sobie te same zasługi to stanowczo za dużo jak na jedną siedzibę.

Całe szczęście 30 kilometrów na północ płynęła inna rzeka i była inna dolina. Wprawdzie i tu oddawano cześć staremu bogu, ale nie miał on już tak silnej pozycji, a jego miano brzmiało znacznie mniej zasadniczo; Rimac, to tylko Ten Który Mówi. Pizarro miał widać nadzieję, że teksty oracji będzie pisał sam, a poza tym dłużej ka-

12

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44.

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99.

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska,
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3178. H-10.

Przegląd prasy

Jaki stosunek mają robotnicy do istniejącego w naszym kraju systemu społeczno-politycznego? Na to pytanie pozwalają częściowo odpowiedzieć badania Marka Ziółkowskiego z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Niektóre wyniki podaje w artykule teoretycznym opublikowanym w kwartalniku „KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO" (nr 2).

Badania empiryczne przeprowadzono od lipca do grudnia 1984 roku wśród pracowników sektora produkcyjnego czterech dużych zakładów przemysłowych: Stoczni im. A. Warskiego, Huty Warszawa, Zakładów Cegielskiego w Poznaniu i Fabryki Sprzęgieł w Kożuchowie (woj. zielonogórskie). W sumie próba losowa liczyła 645 osób. W tym ponad 90 proc. stanowili robotnicy.

Zebrane materiały wskazują, że wielkoprzemysłowa klasa robotnicza jest politycznie zróżnicowana. Na podstawie odpowiedzi uzyskanych drogą wywiadu kwestionariuszowego doc. dr hab. Marek Ziółkowski wyodrębnił aż osiem typów stanowisk politycznych: pełne poparcie i akceptacja — 4,4 proc., realizm — 13,1 proc., oportunizm — 7,3 proc., bierna aprobata — 11,6 proc., niezdecydowane wycofanie — 11,3 proc., bierna kontestacja — 25,8 proc., niezdecydowane odrzucenie — 5,1 proc., pełna opozycja — 19,4 procent.

CO Z TEGO WYNIKA?

„Popierający i odrzucający system stanowią po około jednej czwartej zbiorowości, pozostała połowa respondentów przyjmuje strategię wycofującą. (...) Osób w pełni popierających system (w wyborze wartości, ocenie sytuacji i strategiach zachowaniowych) jest bardzo niewiele. Pozostałe osoby udzielają poparcia przy świadomości odmiennych ideałów porządku politycznego (realizm), a nawet także przy krytycznej ocenie bieżącej polityki władzy (oportunizm). Najliczniejsza wśród popierających jest kategoria realistów. Przekonania osób odrzucających system są znacznie bardziej skrystalizowane i jednoznaczne. (...) Stanowią oni jedną piątą całej próby. Respondenci zaliczeni do kategorii „ambiwalentne odrzucenie" posiadają przekonanie bardzo podobne do „pełnych opozycjonistów" i jest ich stosunkowo niewielu. O ile więc grupa popierających jest stosunkowo rozmyta i podzielona, a racje poparcia dość zróżnicowane, to grupa odrzucających jest bardziej jednorodna, a jej przekonania bardziej spójne i konsekwentne".

Autor zaznacza, że przedstawione rezultaty potwierdzają obraz świadomości społeczeństwa polskiego rysujący się w badaniach „Polacy '84". Przypomnę wobec tego, że wyróżniono na ich podstawie cztery typy orientacji politycznych Polaków w 1984 roku: zwolennicy panującego ładu politycznego — 26,2 proc., centrum — 29,9 proc., milcząca mniejszość — 21,2 proc., kontestatorzy panującego ładu — 22,7 proc. społeczeństwa. Półtora roku później okazało się, że udział zwolenników wzrósł do 28,4 proc., kontestatorów zmalał do 15,7 proc., centrum zmniejszyło się do 23,2 proc., a milcząca mniejszość wzrosła do 32,7 procent.

W grupie badanych wielkoprzemysłowych załóg robotniczych pozytywnie oceniało sytuację w Polsce 31,1 proc., ambiwalentnie 18,1 proc., negatywnie — 50,8 procent. Program partii popierało 25,0 proc. respondentów, odrzucało (opozycjoniści) prawie dokładnie tyle samo — 25,2 proc., a resztę stanowili tzw. wycofujący się.

Pod koniec swego artykułu Marek Ziółkowski podkreśla, że zaprezentował typologię raczej stanowisk, a nie działań politycznych robotników. Typologia ta pozwala jednak na przybliżone przewidywanie zachowań.

Jeśli wierzyć badaniom socjologicznym, to na tle innych zawodów robotnicy mają wysoką pozycję; lecz i tak są sfrustrowani. W miesięczniku „PRACA I ZABEZPIECZENIE SPOŁECZNE" (nr 5—6) Anna Barcik podaje, jak w świadomości społecznej regionu śląsko-dąbrowskiego wygląda aktualnie

HIERARCHIA PRESTIŻU ZAWODÓW.

Badania przeprowadzono w 1986 roku wśród celowo dobranych różnych kategorii pracowniczych. W opinii ponad 400 respondentów wysoki (bądź niski) prestiż mają kolejno zawody (dane w proc. wyborów): lekarz — 72, inżynier — 54, rolnik — 51, prywatna inicjatywa — 49, górnik — 47, pedagog — 42, robotnik wykwalifikowany — 39, mechanik — 36, pracownik nauki — 36, hutnik — 33, prawnik — 32, elektronik — 30, artysta — 30, dyrektor — 29, lotnik — 27, budowlaniec — 26, duchowny — 26, minister — 25, dziennikarz — 25, leśnik — 24, dyplomata — 24, stewardesa — 23, fotograf — 22, tłumacz — 20, kierowca — 20, pielęgniarka — 20, kelnerka — 18, ekonomista —16, ekspedient — 10, działacz partyjny i związkowy — 0, oficer wojska — 0, funkcjonariusz milicji — 0, urzędnik administracyjny — 0, sprzątaczka — 0, pracownik MPO — 0. Odnośnie sześciu ostatnich zawodów ankietowani uważają, że są uznawane, ale nie cieszą się prestiżem bądź mają niski prestiż.

Robotnik wykwalifikowany znalazł się więc na siódmej pozycji, przed mechanikiem i pracownikiem nauki. Ale osobiście nieco inaczej ocenia własną sytuację zawodową Anna Barcik pisze:

„W społecznej opinii posiada wysoki prestiż zawodowy, jak też usługowy, ale on sam uważa, iż jego praca jest nie doceniana i to nie pod względem wynagrodzenia, ale pod względem partycypacji w organach zarządzania zakładem. Robotnicy są świadomi swego położenia w ustroju socjalistycznym, który zakłada panowanie klasy robotniczej, natomiast w praktyce nie mają udziału we władzach, ani też żadnego wpływu na decyzje zarówno w przedsiębiorstwach, jak też w innych strukturach zarządzania. Konsekwencją tego rozchwiania jest wiele negatywnych przejawów, jak brak indentyfikacji z zawodem, brak zadowolenia z wykonywanej pracy, brak aspiracji zawodowych, przeorientowanie się na korzyści materialne, a nie na dobrą i efektywną pracę, złe samopoczucie, a tym samym niska wydajność i jakość produkowanych wytworów".

Zdaniem autorki, w ostatnich latach nastąpiły radykalne zmiany w hierarchii prestiżu zawodów. Awansowali rolnicy, prywatna inicjatywa, robotnicy wykwalifikowani, mechanicy, inżynierowie. Stracili prestiż działacze partyjni i związkowi, oficerowie wojska, funkcjonariusze milicji i urzędnicy administracji. W sprawie tych „zdegradowanych" czytamy:

„Niska ocena wymienionych zawodów nasuwa przypuszczenie, że stosunki społeczno-polityczne i ideologiczne były w opinii respondentów czynnikiem znaczącym... Wydaje się, iż zbiurokratyzowanie systemu socjalistycznego odzwierciedla niechęć badanych wobec urzędników administracji państwowej. (...) Poczucie deprywacji wartości w ustroju socjalistycznym, rozdźwięk pomiędzy ideałami głoszonymi a nie zrealizowanymi w praktyce życia społecznego państwa socjalistycznego, doprowadziło w zbiorowościach społecznych do utraty prawomocności socjalistycznego porządku ideologicznego, a tym samym do utraty zaufania wobec nosicieli i głosicieli tych ideałów, tzn. działaczy partyjnych i związkowych".

DZIAŁACZE I URZĘDNICY

tracą prestiż najczęściej z powodu braku kompetencji i niedotrzymania zobowiązań. Ale często występują po przeciwnych stronach „barykady". Przykładem może być problem dostaw węgla dla ludności. Przedstawia go w tygodniku „ODRODZENIE" (nr 41) Hanna Markert.

Pod względem wydobycia węgla Polska znajduje się na czwartym miejscu w świecie (za USA, ChRL i ZSRR). A tymczasem potrzeby ludności — szczególnie wiejskiej — są nie zaspokojone. W styczniu zdesperowani działacze Rady Głównej Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych podjęli nawet przygotowania do akcji protestacyjnej. W tej sytuacji wicepremier Zbigniew Szałajda obiecał zwiększenie dostaw i powołał zespół rządowy z ministrem Stanisławem Ziębą na czele.

Wszyscy przedstawiciele rządu zapewniali związkowców, że rolnicy otrzymają przyrzeczoną ilość węgla. A potem Rada Ministrów wprowadziła ograniczenia w dostawach opału dla ludności w latach 1987—1990. Uchwała nr 108 z dnia 17 lipca br. wzbudziła niezadowolenie w mieście i na wsi. Przewodniczący OPZZ Alfred Miodowicz wystosował pismo do premiera, w którym zażądał zmiany tej uchwały. Sprawa ma być wniesiona do Trybunału Konstytucyjnego. Wcześniej interweniował też przewodniczący RK PRON Jan Dobraczyński.

„Sytuacja jest paradoksalna — pisze Hanna Markert — **światowy potentat węglowy, jakim jest Polska, nie jest w stanie zaspokoić swoich wewnętrznych potrzeb. Grozi to perturbacjami produkcyjnymi i wzrostem niezadowolenia społecznego. (...) Od lat trwa kompromitująca nas przepychanka w sprawie węgla — mimo zaangażowania się najwyższych autorytetów — nadal nic nie wynika. (...) Palącym problemem jest zaopatrzenie w węgiel rolnictwa i wsi. Niedostrzeganie tego grozić może poważnymi konsekwencjami produkcyjnymi i społecznymi. Nie do pogodzenia z zasadami sprawiedliwości są dotychczasowe zasady rozdziału węgla pomiędzy miasto i wieś. Czy rolnik ma chałupę o jednej izbie, czy ma dom z większą liczbą pokoi i centralnym ogrzewaniem, przydziałowego węgla otrzymuje tylko 1300 kg. Mieszkaniec miasta natomiast — im większy lokal, tym więcej dostaje węgla na przydział. I o to mają pretensje mieszkańcy wsi do rządu i do związku rolników, że dzieli się społeczeństwo i nie dotrzymuje się danych obietnic".**

Problemy z zakupem węgla mają też niektórzy łodzianie. Niedawno dzwonił do mnie w tej sprawie oburzony Czytelnik, który przeklinał indolencję urzędników.

W omawianym tygodniku Teresa Krzemień pisze, że od pewnego czasu większość Polaków prowadzi

PODWÓJNE ŻYCIE.

Zupełnie inaczej zachowują się ludzie w pracy, aniżeli w życiu prywatno-rodzinnym. W domu odreagowują stresy, mają dobre pomysły, pasje. A pracy nie cierpią.

„W pracy bez (prawie) wyjątków mamy dość, wiemy, że nic się nie da zrobić, że się nie przebijemy, że trudności będą obiektywne, że nie warto, że bez sensu, że i tak wszystko kręci się najgłupiej jak można. W pracy jesteśmy pesymistami i mizantropami, nie damy się namówić na żaden arywizm. W pracy bywamy zmęczeni pracą albo jej brakiem, albo jej bezsensem, wszelkich apeli do nas kierowanych słuchamy sceptycznie, z uśmiechem, przeczekując trucie zwierzchników".

Teresa Krzemień przypomina, że kiedyś — tuż po Październiku, w latach sześćdziesiątych i do połowy lat siedemdziesiątych — tak nie było. Ludzie postępowali odwrotnie.

„Praca znaczyła dla wielu ludzi wszystko, prawie wszystko. (...) W niej można było się wyżyć, tam realizować siebie (modny termin, egzystencjonaliści ani się spodziewali jaką zrobi karierę) **i swoje dążenia, praca określała byt i prestiż, i styl życia, i znajomych (kim i jacy są), praca to było sensu stricto życie publiczne. (...) Ważne było co się robi, mniej ważne co się ma".**

A teraz czasy są takie, że nawet większość młodzieży — jak wynika z artykułu Leszka Będkowskiego w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 41) — zniechęcona jest do udziału w życiu społecznym. Nie chce wznosić się nad poziomy. Na IV Krajowej Naradzie Aktywu Robotniczego ZSMP, która odbyła się we wrześniu tego roku w Ursusie, więcej było narzekania niż awangardowych pomysłów. Jest to tym bardziej dziwne, że zebrani chętnie nazywają się awangardą młodej klasy robotniczej. Miejmy nadzieję, że wiele zmieni się dzięki zapoczątkowanym ostatnio zmianom strukturalnym.

E.L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Miara odpowiedzialności

Z faktu, iż prawie każdy chce żyć lepiej, czyli bardziej dostatnio, nie wynika wcale, że żyje on w niedostatku. Nie mam na myśli ludzi opływających w dostatki (uzyskane nie zawsze ciężko i uczciwie) i owładniętych żądzą ich pomnażania w każdy osiągalny sposób, lecz głównie o typowego człowieka pracy na państwowej służbie lub zasłużonej emeryturze, a takiemu wcale się nie przelewa.

Otóż niezbyt chyba wielu ludzi z tej wielomilionowej rzeszy kojarzy poprawę własnego bytu z umocnieniem gospodarki państwa, lecz ma swoje zupełnie prywatne rachuby: „Może dostanę lepiej płatną pracę, a może złapię jakąś „fuchę"?. Jest bowiem państwo odczuwane jako coś zbyt abstrakcyjnego, by mogła mu być potrzebna nasza troska.

Takiego zawężonego rozumienia interesu osobistego, niezależnego od kondycji ekonomicznej państwa („bogate państwo biednych obywateli") nauczyła nas codzienna rzeczywistość, nie licząca się z zasadami ekonomiki i wskutek tego nie przejawiająca istnienia związku pomiędzy jakością pracy a należną zapłatą. W tej sytuacji narodziło się przed laty porzekadło: „Czy się stoi, czy się leży...", wyrażające przeświadczenie, że dobra robota się nie opłaca, należy więc dbać o to, żeby się nią nie przemęczać. Owszem, nadchodziły dni, kiedy w myślach ogółu ożywały nadzieje, że zapanuje wreszcie sprawiedliwszy ład, nadający wartość dobrej pracy, ale z różnych przyczyn rozwiewały się one wtrącając ponownie ludzi w apatię i niewiarę w przyszłość, pozbawiając poczucia wpływu na własny los.

Dlaczego o tym wspominam. Bo znów otwiera się przed nami możliwość przebudowy stosunków ekonomicznych, czyli zastosowania racjonalnych prawideł gry i nadzieja pewniejszej przyszłości dla tych, co gotowi są rzetelnie zapracować na swoje utrzymanie. Rozumiem odruch niewiary i obojętności po tylekroć doznanym zawodzie. A może znów skończy się na obietnicach i dobrych chęciach?

Ludziom, którzy ze sceptycznym dystansem witają zapowiedź drugiego etapu reformy gospodarczej, mającego radykalnie przyspieszyć proces uzdrawiania gospodarki narodowej i stworzyć warunki odczuwalnej, względnie szybkiej poprawy bytu, mającym prawo twierdzić, iż zawiedli się na niekonsekwencjach i zbyt nikłych efektach etapu dotychczasowego, ośmieliłbym się jednak zaproponować zastanowienie się nad kilkoma kwestiami, a przede wszystkim zapytać, czy starali się chociaż zapoznać z najnowszymi postanowieniami, a raczej propozycjami.

Narzekamy na przerosty biurokracji wyrażające się w nadmiernej rozbudowie aparatu administracji państwowej i gospodarczej w stosunku do stanowisk produkcyjnych i usługowych oraz na rozmywanie się decyzji i odpowiedzialności. Chyba budzącym zaufanie początkiem zapowiedzianych reform są, bezprzykładne u nas, radykalne redukcje oraz zmiany w funkcjach i strukturze administracji centralnej, które powinny spowodować zejście tego procesu na niższe szczeble zarządzania. Zmiany w centrum wiążą się najściślej z zapoczątkowaną likwidacją systemu nakazowo-rozdzielczego, hamującego inicjatywność i przedsiębiorczość gospodarczą, toteż rola władzy państwowej ma się teraz sprowadzać do inspirowania przedsięwzięć i kontroli prawidłowości ich przebiegu. Jak powiedział premier w Sejmie: „Rygor rozdzielnika zastąpi teraz rygor ekonomii".

Stoimy więc przed nowym modelem przedsiębiorstwa socjalistycznego, w którym reprezentacja załogi, wspierana przez partię i związki, bierze na siebie, pod jednoosobowym kierownictwem odpowiedzialność za sprawy produkcyjne, finansowo-płacowe i politykę kadrową, doceniając z konieczności fachowość i umiejętności pracownicze. Natomiast ustawa o działalności gospodarczej, dotycząca przedsiębiorczości indywidualnej, zaprowadza przejrzystą zasadę, że „wszystko jest dozwolone, co nie jest prawnie zabronione", kto więc np. chce uruchomić działalność handlową czy rzemieślniczą, a ma po temu możliwości inwestycyjne, lokalowe oraz wymagane uprawnienia, nie będzie musiał starać się o zezwolenie, lecz jedynie dopełni formalności rejestracji. Chodzi o równoważenie rynku głównie wzrostem produkcji i usług, nie zaś cen.

Aby jednak te i podobne zmiany, stanowiące, jak się twierdzi, spójny kompleks, móc wcielać w życie, trzeba by ceny stały się odzwierciedleniem relacji między popytem a podażą i dawały rzeczywisty obraz sytuacji ekonomicznej, konieczna więc byłaby niekiedy dość znaczna podwyżka cen, z zagwarantowaną rekompensatą kosztów utrzymania.

Nic dziwnego, że radykalizm proponowanych zmian może budzić obawy i wahania, ale w związku z tym i z wyrażanym na plenum KC partii przeświadczeniem, że tak gruntowne przemodelowanie życia gospodarczego, sprzężone z rozszerzaniem socjalistycznej demokracji, jest wykonalne jedynie pod warunkiem zrozumienia jego konieczności przez świat pracy i przy szerokiej akceptacji społecznej, postanowiono odwołać się, w myśl propozycji PRON do opinii społeczeństwa. Jeśli wypowie się ono w referendum za szybkimi i gruntownymi przeobrażeniami, rząd skorzysta skwapliwie z udzielonego mu w ten sposób mandatu, jeśli natomiast większość wypowie się za wariantem umiarkowanym, rozciągnie to proces wychodzenia z kryzysu na długie lata, z całym ryzykiem powiększania się opóźnień w stosunku do przodujących krajów.

Wola narodu będzie więc uszanowana. Podzielam jednak krytycyzm części członków KC wobec świadomości ekonomicznej społeczeństwa i obawy co do obywatelskiej gotowości wzięcia na swoje barki zintensyfikowanego wysiłku odbudowy polskiej gospodarki i wytrwania w nim do wyjścia z obecnego impasu. Innej jednak drogi jak referendum rzeczywiście nie ma, jeśli zakładamy konieczność świadomego poparcia społeczeństwa dla dzieła reformy.

Niezmiernie ważne wydaje mi się, żeby pytania opracowane były jasno i precyzyjnie, by umożliwiały obywatelom udzielanie przemyślanych odpowiedzi i wzmagały poczucie zbiorowej odpowiedzialności społeczeństwa za swój los. Toteż w tej sprawie — sformułowań ankiety — wydaje mi się pożądana konsultacja z tzw. aktywem społecznym.

A czas nagli, bo do 29 listopada już niedaleko.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Z kim bym nie rozmawiała o polskiej piłce nożnej, to każdy mówi, że jest źle. I każdy wie, co trzeba uczynić, aby było lepiej. Ale kto ma to zrobić? — pyta BOGDA MADEJ byłego trenera GKS Bełchatów CZESŁAWA FUDALAJA.

— W swoim czasie w prasie zagranicznej wielu specjalistów porządnie łamało sobie głowę, jak określić pozycję społeczną Aleksandra Twardowskiego — poety i redaktora. Czy była ona „partyjna", czy też „opozycyjna"? — druga część materiału na temat miesięcznika „NOWYJ MIR".

— Przystanią w mieszczańskiej Odysei jest burdel, a współczesna Penelopa ulega popędom i zdradza małżonka — kolejny esej MIROSŁAWY SARBIŃSKIEJ.

Jak pogodzić te żywioły: ogromne doświadczenie i radosną młodość?

Jedność odnaleziona w muzeum

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

1.

Z niewielkiego holu korytarzem w prawo i nad drzwiami nieco koślawa tablica: „Izba tradycji ruchu młodzieżowego". W środku trochę różnorodnych pamiątek. Księga Pamiątkowa, znaczki, odznaczenia, legitymacje. Na ścianie dwie tablice, które muszą zastanawiać.

Na jednej znaczki organizacji młodzieżowych od KZMP do ZSMP. Przypomnijmy je sobie: KZMP, ZWM RP „Wici", OM TUR, ZWM, KDM, SP, ZMP, ZMS, ZMW, ZHP, ZSMP.

Na drugiej tablicy nazwiska przewodniczących, komendantów, szefów tych organizacji w minionych 70 latach w Wieluniu. Kilka nazwisk i koniec. Zaczynają się dzieje nowej organizacji młodzieżowej. Gdy się temu uważnie przyjrzeć, wygląda to na tragedię młodzieżowego ruchu w Polsce. I jest tragedią.

Najdłuższą listę ma ZHP. Rozpoczyna ją Mieczysław Łączkowski w 1916 roku. Stąd owe 70 lat. Ale i ta lista ma przerwy. Wprawdzie dzieje ZHP w Wieluniu rozpoczynają się w 1916 roku, ale **Mieczysław Łączkowski** kierował harcerstwem w tym mieście tylko przez rok. Później była przerwa do 1920 roku. Nowy okres dziejów ZHP w Wieluniu w czasach II Rzeczypospolitej zapoczątkował **Józef Sobiński**, a zakończył we wrześniu 1939 roku **Stanisław Kazimierz Stronczyński.**

W dziejach ZHP w Polsce Ludowej też jest przerwa: między 1949 rokiem a 1957, kiedy to samodzielny ZHP przekształcono w Organizację Harcerską podległą ZMP i stanowiącą jej część.

Rwało się to wszystko w życiu, kończyły się dzieje jednych organizacji, zaczynały drugich. I teraz, w Izbie Tradycji, już jako fakty tylko historyczne układają się obok siebie, tworząc tak zawsze poszukiwaną i oczekiwaną całość i jedność.

2.

Początki harcerstwa na Ziemi Wieluńskiej — tradycyjnie rozumianej, niezależnie od podziałów administracyjnych — wiążą się z walką o niepodległość Polski. Twórcy drużyn harcerskich często byli żołnierzami POW, odchodzili później do Legionów, włączali się do walki o wolną Polskę. Ich miejsce zajmowali inni. Tak było na przykład z **Mieczysławem Łączkowskim**, uczniem V klasy gimnazjum, założycielem pierwszej drużyny harcerskiej w Wieluniu. Tak było z **Edwardem Nieszkowskim** — synem dziedzica w Dzietrzkowicach — który założył zastęp skautów i później odszedł do wojska. Można sądzić, że taki był też los założycieli w 1916 roku w Wieruszowie drużyny harcerskiej: **Andrzeja Hącia, Romana Dybka i Józefa Piewińskiego.**

W tym samym roku powstały drużyny harcerskie w Łasku i Zduńskiej Woli. Tylko w Sieradzu harcerstwo powstało już w 1915 roku. Prowadził je wówczas **Bronisław Stawierski.**

Były to czasy burzliwe, czasy pierwszej wojny światowej, nasilającej się walki o niepodległość Polski. Harcerze przygotowywali się do tej walki. Uczyli się pieśni patriotycznych, ale też i antyrosyjskich i antyżydowskich. Pomagali legionistom gdy się z nimi zetknęli. Stawali się żołnierzami POW, gdy nadchodził ich czas. Brali udział w rozbrajaniu Niemców w listopadzie 1918 roku. Byli członkami straży obywatelskiej, pełnili funkcje gońców i łączników.

Nim nadszedł listopad 1918 roku zdarzyło się wieluńskim harcerzom podpaść żandarmerii niemieckiej. Harcerze III Męskiej Drużyny im. księcia Józefa Poniatowskiego wybrali się na biwak do lasów czarnożylskich. Nocowali w stodole Modrzejewskich w Czarnożyłach. Wracali bez mundurów, mieli tylko pasy i harcerskie laski. Prowadził ich **Jan Ender** — członek POW. Żandarmi harcerzy rozpędzili a Jana Endera aresztowali. Zwolnili go po trzech dniach na skutek licznych interwencji.

W 1920 roku wielu wieluńskich harcerzy wstąpiło ochotniczo do Wojska Polskiego.

3.

Wieluńskie harcerstwo liczy więc już 70 lat. Z tej okazji 19 września 1987 roku zorganizowano jubileuszowe uroczystości. W budynku Komitetu Miasta i Gminy PZPR w Wieluniu — gdzie mieszczą się też siedziby organizacji młodzieżowych i wspomniana na wstępie Izba Tradycji — odbyła się sesja poświęcona przeszłości ZHP. Referaty wygłosili **Stanisław Kazimierz Stronczyński** o dziejach harcerstwa do 1939 roku i **Zbigniew Nowakowski** o harcerstwie w Polsce Ludowej. Referenci mieli trudne i skomplikowane zadanie, z którego przy obranej przez siebie koncepcji nie mogli się należycie wywiązać.

W pięknie przygotowanej sali usiedli obok siebie dawni harcerze — dziś już ludzie wielekroć poza działalnością zawodową, dla których harcerstwo jest jedynie przeszłością, pięknym wspomnieniem z młodości — oraz młodzież harcerska, dla której harcerstwo jest tylko jednym z elementów ich teraźniejszości. Tych pierwszych przeszłość interesowała jako ponowne przeżycie, choć tylko we wspomnieniach, tego co było i nie wróci. Tych drugich bardziej obchodziło to, co za oknem. A tego dnia w Wieluniu świeciło słońce i była piękna pogoda. Wprawdzie 20 września 1987 roku odbył się zlot w Wieluniu, odsłonięto pamiątkową tablicę umieszczoną na kamieniu, były przemówienia, marsze, śpiewy i zabawy, ale też wiał silny wiatr i nie było najlepszej pogody.

Jak pogodzić z sobą te dwa żywioły? Nie wiem. Nie mam na to recepty. Myślę jednak, że długimi referatami i nawet najbardziej osobistymi wspomnieniami, które mało odnoszą się do doświadczeń młodzieży, nie zdobędzie się ich zainteresowania. A przecież harcerstwo powinno stanowić całość, powinna być zachowana ciągłość między tym, co dawno temu było, a tym, co się dziś dzieje. Bo, choć i czasy inne, i harcerstwo już nie takie samo, to cel wychowywania ten sam: przygotować do życia w społeczeństwie, dla społeczeństwa, wychować mądrych i aktywnych Polaków.

I inne pytanie: jak pojmować historię harcerstwa? Czy to ma być tylko rejestr składów komend, opiekunów, patronów? A może powinno to być szukanie tego, co łączy przeszłość z przyszłością i ludzi, którzy potrafili ciągle wiązać rwącą się nić historii?

Od lewej siedzą — Maria Kłękowska i Zofia Bednarek.
Foto: Włodzimierz Kałczak

4.

Pięknie nazywały się kiedyś wieluńskie drużyny: „Błękitna jedynka" — I Drużyna Harcerzy im. Tadeusza Kościuszki; „Czarna dwójka" — drużyna starszoharcerska, do której należeli ludzie różnych zawodów: nauczyciele, rzemieślnicy, czeladnicy, młodzi kupcy, nosiła ona imię Jana Kilińskiego; „Żółta trójka" — III Drużyna Harcerzy im. księcia Józefa Poniatowskiego.

Dziewczęta miały swoją drużynę: I Żeńską Drużynę Harcerek im. Emilii Platerówny, którą przy pensji Pelagii Zasadzińskiej założyły Maria Zamecka i Maria Grabińska.

W 1935 roku były już w Wieluńskiem dwa hufce obejmujące 22 drużyny z około 900 harcerzami. Istniały harcerskie drużyny w Czarnożyłach, Działoszynie, Konopnicy, Lututowie, Osjakowie, Praszce, Rychłocicach, Wieruszowie i innych miejscowościach.

Gdy dziś — z perspektywy czasu — patrzymy na przeszłość wieluńskiego harcerstwa, to przecież nie możemy nie dostrzegać i ciemnych plam. Były one wynikiem ówczesnych stosunków panujących w II Rzeczypospolitej. W Wieluniu i okolicznych miasteczkach mieszkało wówczas dużo Żydów. Zdarzało się harcerzom dokuczać im antyżydowskimi piosenkami, choć z tym walczono. Ale trzeba pamiętać, że ówczesne społeczeństwo polskie niewolne było od silnych wpływów nacjonalistycznych, którym ulegały różne jego grupy. Harcerstwo było też podporządkowane określonej ideologii. Obowiązywało założenie, według którego „ZHP jest związkiem polskiej młodzieży chrześcijańskiej". Nie było więc w jego szeregach miejsca dla Żydów, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów.

Urząd Wojewódzki w Łodzi zalegalizował 13 października 1926 roku Związek Harcerstwa Żydowskiego „Brith Hassomer". Ale, gdy 15 lipca 1930 roku do Starostwa Powiatowego w Wieluniu wpłynęło pismo Histadrut Hawfin Trumpeldor w Działoszynie podpisane przez **Kopela Poncza, Henocha Kadłubskiego i Szymona H. Erlicha** z wnioskiem o zalegalizowanie Zrzeszenia Żydowskich Harcerzy im. Brith Trumpeldor w Działoszynie, to czekali oni na zezwolenie do 24 listopada 1931 roku.

5.

Może komuś wyda się to dziwne, ale harcerze nie byli dotowani przez państwo w takich rozmiarach jak dziś. Musieli umieć liczyć na siebie na wzajemną pomoc. Obozy organizowano — jak to się dziś mówi — w czynie społecznym, czyli kadra nie dostawała za pracę na obozie pieniędzy. W lipcu 1933, gdy wieluńscy harcerze urządzili sobie obóz nad rzeką Dźwiną w Drui, zdarzyło się, że nie mieli za co wrócić do Wielunia. Trzeba było czekać, aż nadejdą pobory komendanta hufca w Wieluniu **Bazylego Stećkiwa** i ten ze swoich pieniędzy pokryje koszty powrotnego biletu uczestnikom obozu.

Innym razem harcerze z „Czarnej dwójki" pomogli **Stanisławowi Małyskiemu** ukończyć kurs szklarski, co równało się z zapewnieniem mu egzystencji na przyszłość, gdyż mógł dzięki temu otworzyć warsztat szklarski.

Harcerze wówczas sami budowali sobie obozy w lesie, a las był dla nich najwspanialszym miejscem zaopatrzenia, dawał budulec, paliwo, czasem też karmił i pozwalał zdobywać zdrowie. Harcerze z odpowiednimi sprawnościami i praktyką, czyli doświadczeniem, pełnili na obozach różne funkcje. Byli ratownikami, pielęgniarzami, kucharzami, budowniczymi i tak dalej. Ta umiejętność radzenia sobie w życiu pozwoliła wieluńskim harcerzom na postawienie w latach 1934—1936 „Domku Harcerza". Zbierano cegiełki nawet po 10 i 15 groszy, ale „Domek Harcerza" stanął. A gdy tylko we wrześniu Niemcy zajęli Wieluń, zaraz też go spalili. Odbudowano go po wojnie.

Wydawali harcerze przed wojną pismo tygodniowe „Na Harce", organizowali spektakle, prowadzili akcję kulturalną. W czasie obozów, organizowanych na wschodnich kresach Polski, poznawali życie ludności białoruskiej.

6.

ZHP wychował kadrę wspaniałych, patriotycznie nastawionych, gotowych walczyć za ojczyznę młodych ludzi. Dowodem na to tysiące harcerzy, którzy polegli już we wrześniu 1939 roku i którzy w „Szarych Szeregach" czy partyzantce walczyli z hitlerowskim okupantem. Ale ZHP nie obejmował całej polskiej młodzieży i całej młodzieży, która wówczas żyła w Polsce, bo obejmować nie mógł. W związku z tym powstawały inne organizacje o podobnym charakterze lub narodowościowe związki harcerzy, jak żydowski czy ukraiński. Powstawały też i działały inne związki lub organizacje młodzieżowe o podobnym charakterze, a politycznie związane z lewicą. Należały do nich między innymi „Wolne Harcerstwo", „Pionierzy", „Czerwone Harcerstwo", „Nowizna Wiciowa" — związane bądź to z PPS, bądź z ruchem ludowym. Również w ZHP toczyła się walka ideologiczna.

W 1925 roku komendantem hufca w Wieluniu został **Stanisław Brochwicz-Lewiński.** Związany był z „Wolnym Harcerstwem". Organizował u siebie spotkania pod hasłem: „Panta rei" — wszystko płynie. Opowiadał o powstaniu religii, o różnych kierunkach filozoficznych panujących na świecie, krzewił racjonalizm. Spotkało się to z ostrym sprzeciwem władz oświatowych. Zabroniono młodzieży kontaktów z hufcowym, zwolniono następnie go z pracy. Fakt ten zapisano w kronikach ZHP w Wieluniu następująco: „druh Brochwicz-Lewiński wprowadza do drużyn ateizm, co spowodowało zupełny upadek Hufca". Jego następcą był **Franciszek Piotrowicz**, który kierował wieluńskimi harcerzami do kwietnia 1927 roku. Jakoś i jemu nie udało się podnieść poziomu pracy harcerskiej w Wieluniu, gdyż w sierpniu 1926 roku „Głos Ziemi Wieluńskiej" pisał: „Najważniejszą wadą naszych drużyn jest ich poważny stan śpiączki, z których wyrywają się tylko odruchami i na chwilę, brak ciągłości i rytmiczności pracy".

Również i przez następne lata **Ludwik Jawor i Jerzy Iwiński** nie spowodowali zmiany na lepsze. Rezultat ich wysiłków był taki, że w połowie 1930 roku w Wieluniu było... tylko 15 harcerzy w wieku od 11 do 15 lat. Sytuacja zmieniła się po objęciu hufca przez **Bazylego Stećkiwa.**

7.

Teraz będzie trochę nazwisk. Ale oto wojska radzieckie wyzwoliły Wieluń i harcerze zaczęli odbudowywać swoje drużyny. Już w marcu 1945 roku odtworzono II Żeńską Drużynę Harcerek im. Królowej Jadwigi. Uczyniła to **Zofia Wiankowska.**

W maju 1945 roku **Tadeusz Skupiński** zorganizował II Męską DH im. Jana Kilińskiego, **Stanisław Kuźmiński** — III MDH im. księcia Józefa Poniatowskiego, **Henryk Kowalski** — IV MDH im. Zawiszy Czarnego, **Maryla Mikołajczykówna** — I Żeńską DH im. Emilii Platerówny.

Powstawały też drużyny harcerskie poza Wieluniem. W Praszce dokonali tego **Janina Pszenica i Tadeusz Łucki**, w Osjakowie — **Maria Borczyk i Kazimierz Stencel**, w Lututowie — **Zdzisław Chojnacki**, w Rudnikach — **Kazimierz Obłąka.**

Niebywale interesujący był skład tymczasowej Komendy Hufca ZHP w Wieluniu, która zorganizowała się 15 kwietnia 1945 roku: nauczyciele — **Mieczysław Linowiecki** (hufcowy), **Stanisław K. Stronczyński, Stanisław Jasnowski** i **Zofia Wiankowska**, urzędnicy — **Wacław Kotliński** i **Stanisław Dudek**, rzemieślnicy — **Jan Grabowski** (szewc), **Bolesław Wojewódka** (cukiernik) i **Walerian Wojewódka** (ślusarz), kupcy — **Zygmunt Mikołajczyk** i **Ryszard Sutarzewicz.**

8.

Gdzieś w latach siedemdziesiątych wybrałem się na ryby nad jezioro Rekowo na Kaszubach. Kto zna kółko raduńskie, temu nieobce są nazwy jezior: Rekowo Białe, Raduńskie Wielkie i Małe, Brodno Duże i Małe, a także Kłodno, które wraz z Białym obejmuje swoimi wodami piękną miejscowość Chmielno. W lesie za Białym leży piękne i dziwne nieco Rekowo. W lesie nad brzegiem Rekowa stoi obelisk upamiętniający wszystkich harcerzy poległych w czasie drugiej wojny światowej. Obelisk ten zmusza do zastanowienia, do pomyślenia o tych, którzy polegli za ojczyznę, za nasz spokój i nasze życie.

Teraz, będąc w Wieluniu dowiedziałem się, że obelisk ten postawili wieluńscy harcerze. Dzięki im za to!

A swoją drogą, jaki ten świat mały.

Poza tym, okazuje się, że wieluńscy harcerze zawsze mieli smykałkę do... budownictwa. Przed wojną postawili „Domek Harcerza". Po wojnie go odbudowali i pod kierownictwem **Zygmunta Mikołajczyka** postawili obok hangar, w którym trzymali prawdziwy szybowiec. Harcerze z Liceum Pedagogicznego w Wieluniu — przy pomocy i pod opieką zarządu społecznego — wybudowali Ośrodek Sportów Wodnych w Krzeczowie nad Wartą. Niestety, ze względu na wysokie koszty utrzymania trzeba było oddać ten ośrodek Powiatowemu Ośrodkowi Sportu, Turystyki i Wypoczynku.

Harcerze budowali też drogę do Załęcza Wielkiego, gdzie powstał najpierw Ośrodek Szkoleniowo-Wypoczynkowy Sieradzkiej Chorągwi ZHP, a następnie przekształcony został w Centralną Szkołę Instruktorów Harcerskich ZHP „Nadwarciański Gród". Istnieje szeroki program rozbudowy Załęcza Wielkiego, ale dziś buduje się coraz trudniej. Niestety!

Wieluńscy harcerze jakoś sobie jednak z tym poradzą.

Od prawej siedzą: Kazimierz Drożdż, Zygmunt Mikołajczyk.
Foto: Włodzimierz Kałczak

Dlaczego protestantyzm przyjął się tylko w niektórych krajach? Kontrreformacja i Inkwizycja.

W co wierzą protestanci?

(Kalwinizm i inne wyznania)

EDMUND LEWANDOWSKI (2)

Kościół ewangelicko-reformowany *Foto: Grzegorz Gałasiński*

Marcin Luter uchodzi za ojca duchowego całego zróżnicowanego protestantyzmu. Lecz w momencie pewnego załamania reformacji około połowy XVI wieku nowych impulsów dodał jej Jan Kalwin (1509—1564). Był znakomitym prawnikiem, znawcą łaciny, wykładowcą Pisma Świętego. Stał się „intelektualnym dopełnieniem" Lutra. Głównym jego dziełem był traktat teologiczny pt. „Nauka religii chrześcijańskiej".

CO GŁOSIŁ KALWIN?

Na początku trzeciego rozdziału Kalwin pisał:

„Poza dyskusją stawiamy kwestię, że w umyśle ludzkim tkwi, i to jako naturalny popęd, jakieś poczucie boskości, ponieważ Bóg chcąc udaremnić ludziom możność zasłaniania się niewiedzą, sam dał wszystkim niejakie pojęcie o swym boskim majestacie, o którym ustawicznie przypominając, nowe wciąż sączy krople, aby wobec powszechnej wśród ludzi świadomości, że Bóg istnieje i jest ich stwórcą, oni sami własnym świadectwem wydawali na siebie wyrok potępienia za to, że nie oddawali mu czci i nie poświęcili swego życia wypełnianiu Jego woli. (...) Dlatego też zupełnie fałszywy jest pogląd niektórych ludzi, że religia jest wymysłem kilku bystrych spryciarzy, by tą drogą utrzymać w posłuszeństwie prosty lud. Ci wszakże, którzy nauczyli innych czcić Boga, sami także wierzyli, że istnieje jakiś Bóg. Przyznaję oczywiście, że różni przebiegli ludzie powymyślali w religii wiele rzeczy, dla których narzucili prostaczkom szacunek i wzbudzili lęk, aby ich uczynić bardziej uległymi. Ale nigdy by tego nie osiągnęli, gdyby umysły ludzkie nie były już przedtem przepojone owym niewzruszonym przekonaniem o istnieniu Boga; z tego bowiem przekonania wyrasta jakby z nasienia skłonność do wyznawania religii".

Jan Kalwin głosił, że ludzie nie należą do siebie, lecz do Boga, i dla Niego powinni żyć i umierać. Podzielał pogląd, że człowiek jest istotą słabą i grzeszną, że Kościół nie ma władzy nad jego duszą, że dobre uczynki nie umożliwiają zbawienia. Osobliwością nauki Kalwina było silne akcentowanie doktryny predestynacji. Podkreślał on, że Bóg z góry przesądził — już przed przyjściem człowieka na świat — kto będzie zbawiony lub potępiony. Zbawienie nie zależy więc wcale od postępowania człowieka. Nie możemy naszymi uczynkami zmienić decyzji Boga i zadecydować o swym losie. Również wiara religijna jest darem Boga. O własnych siłach człowiek nie może wiary zdobyć ani stracić.

Jeśli jednak ktoś ma silną wiarę i przez to odczuwa skruchę wobec Boga, to zdobywa przekonanie, iż należy do grona wybranych i przeznaczonych do zbawienia. W fanatycznej wierze kalwiniści szukali absolutnej pewności, że oni właśnie będą zbawieni, bo tak postanowił Bóg. Dlaczego? To już pozostaje tajemnicą boską; i nie godzi się jej wyjaśniać.

„Można powiedzieć — pisał Richard H. Tawney — *że na mniejszą skalę, ale przy użyciu broni również silnej, Kalwin uczynił dla burżuazji w wieku szesnastym to, co Marks dla proletariatu w dziewiętnastym, albowiem doktryna predestynacji zaspokajała głód pewności, iż siły kierujące wszechświatem są po stronie wybranych".*

Zwolennicy kalwinizmu rzeczywiście rekrutowali się przeważnie spośród drobnych przedsiębiorców i rzemieślników. Najwięcej było ich w Szwajcarii, Niderlandach, Francji (hugonoci), zachodnich Niemczech, Anglii i Szkocji (purytanie i prezbiterianie). Był to RUCH KLASY ŚREDNIEJ, ideowo oscylujący między bogatymi a biednymi.

Inna osobliwość kalwinizmu polegała na przywiązywaniu ogromnej wagi do dyscypliny i cnotliwego życia. Postępowanie takie nie mogło wprawdzie zmienić wyroku boskiego, lecz wskazywało na przynależność do grona zbawionych. Umiar i dyscyplina moralna więcej może nawet znaczyły niż sama wiara. Poza tym trzeba było nieustannie działać, pracować, tworzyć.

W późniejszych czasach powstało

WIELE RÓŻNYCH KOŚCIOŁÓW PROTESTANCKICH

Obecnie skupiają one łącznie około 450 mln wyznawców. Z tego ponad 30 proc. mieszka w Europie, blisko 30 proc. w Ameryce Północnej, ok. 20 proc. w Afryce i ok. 10 proc. w Azji. Wszystkie w zasadzie kościoły protestanckie łączą następujące zasady: 1) uznanie Pisma Świętego za jedyne źródło prawd objawionych przez Boga i odrzucenie tzw. Tradycji jako pochodzącej tylko od ludzi; 2) uznanie wiary za decydujący warunek zbawienia i odrzucenie zbawczej mocy dobrych uczynków; 3) odrzucenie kultu Maryi i świętych oraz obrazów i relikwii jako nie mających uzasadnienia w Piśmie Świętym; 4) pomniejszenie znaczenia kapłanów oraz zniesienie celibatu i zakonów; 5) ograniczenie liczby sakramentów do chrztu i symbolicznej komunii pod dwiema postaciami; 6) nieuznawanie indywidualnej spowiedzi przed kapłanem oraz instytucji odpustów; 7) uznanie Jezusa Chrystusa za jedynego pośrednika między Bogiem a ludźmi.

Znany filozof niemiecki Georg W.F. Hegel oskarżał przedreformacyjny Kościół, że poprzez kult świętych i Matki Boskiej oraz ustanowienie rozdziału między duchowieństwem a laikami odciął ludzi od Boga. Kościół ten — jego zdaniem — *„zastąpił sumienie. Prowadził ludzi jak dzieci, mówiąc im, że człowiek może być zwolniony od zasłużonych mąk nie dzięki swej własnej poprawie, lecz przez praktyki zewnętrzne, opera operata, przez czynności, które nie są wynikiem dobrej woli, lecz wykonywane są na rozkaz sług Kościoła, jak słuchanie mszy, spełnianie pokuty, odmawianie modłów, udział w pielgrzymkach, słowem przez czynności bezduszne i przytępiające ducha, które nie tylko to mają do siebie, że można je spełniać zewnętrznie, ale i to jeszcze, że spełnienie ich za nas można zlecić komu innemu".*

Popularne w katolicyzmie śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa uznał Hegel za degradację wszelkiej etyczności. Małżeństwo było wprawdzie sakramentem, ale nastąpiła jego degradacja, ponieważ wyżej ceniono przeciwny naturze i etyce celibat. Zamiast podnosić godność pracy, wyżej ceniono ubóstwo, lenistwo i próżniactwo. W miejsce posłuszeństwa prawom rozumu i etyki, ustanowiono ślepe i bezwzględne posłuszeństwo.

„Tak pełne sprzeczności i zakłamania jest to średniowiecze — czytamy — *że najgłębszy niesmak budzić muszą nowoczesne próby zachwalania tej epoki jako doskonałej. Prymitywne barbarzyństwo, zdziczenie obyczajów, dziecinna pyszałkowatość powinny budzić raczej politowanie niż oburzenie. Ale ta idealna czystość duszy skalana najohydniejszym zdziczeniem, ta poznana prawda obrócona w narzędzie kłamstwa i egoizmu, to przeciwieństwo wszelkiego rozumu, barbarzyństwo i ohyda, usprawiedliwione i poparte nakazami religii, dają najbardziej oburzające i odrażające widowisko, jakie kiedykolwiek oglądano, i tylko filozofia może je pojąć i dlatego usprawiedliwić".*

Marcin Luter zawierając związek małżeński okazał, według Hegla, szacunek dla małżeństwa i rodziny. Podobny sens miała likwidacja zakonów. Reformacja zniosła też świętość bezczynności i spowodowała, że przemysł i rzemiosło nabrały charakteru etycznego. I wreszcie, reformacja zastąpiła ślepe posłuszeństwo zasadą podporządkowania ustawom państwowym. Nastąpiło pojednanie państwa z kościołem oraz uzdrowienie stosunków świeckich.

Nie ulega wątpliwości, że reformacja zmieniła oblicze kulturalne wielu krajów. Powstaje jednak pytanie: dlaczego zwyciężyła dopiero w XVI wieku? Przecież już wcześniej zdarzały się podobne PROTESTY I BUNTY. Kościół poradził sobie z albigensami, husytami i innymi. W listopadzie 1431 roku podczas soboru w Bazylei husyci przybili w drzwi miejscowego kościoła tekst zawierający następujące pytania:

„Dlaczego by Bóg miał zwracać więcej uwagi na modlitwy księży niż na modlitwy innych ludzi? Czy może z powodu ich olbrzymich warg i czerwonych twarzy, albo może z powodu ich wystawnych, świecących ubiorów, ich chciwości i przepychu?".

Nasuwa się również inne pytanie: dlaczego protestantyzm zwyciężył tylko w pewnych krajach (Niemcy, Szwajcaria, Niderlandy, Anglia, Skandynawia)? Dlaczego przegrał w Polsce, i ostał się katolicyzm? Otóż wcześniej nie było odpowiedniej bazy społecznej, nie było dostatecznie silnych grup zainteresowanych zmianami religijnymi. Natomiast w XVI stuleciu istniało już odpowiednio silne mieszczaństwo i zaczął powoli kształtować się nowy ustrój społeczny. Reformacja zwyciężyła przeważnie w krajach z najsilniejszym mieszczaństwem i najbardziej zaawansowanym kapitalizmem. W Polsce zaś nie miała szans powodzenia, bo mieliśmy liczną szlachtę, słabe rodzime mieszczaństwo i postępujący proces refeudalizacji (folwarki i wtórne poddaństwo).

Protestantyzm przyjmowały z reguły kraje przodujące gospodarczo, a przy katolicyzmie trwały raczej opóźnione w rozwoju.

„Gdy urodzili się Luter i Kalwin — pisze Kurt Samuelsson — *Niderlandy oraz północne i wschodnie regiony Niemiec były co najmniej od 3 lub 4 wieków znane z wyjątkowo intensywnej działalności gospodarczej: wytwarzanie i handel tekstyliami w Niderlandach i we Flandrii, kopalnie żelaza, soli i handel międzynarodowy na terytoriach hanzeatyckich. Również w Anglii życie gospodarcze wykazywało wielką aktywność o wiele wcześniej, zanim Henryk VIII zażądał anulowania swego pierwszego małżeństwa".*

Społeczeństwa tworzące podstawy cywilizacji przemysłowej i kapitalistycznej potrzebowały nowej religii. Średnie klasy dorobkiewiczów i nowobogackich oczekiwały moralno-religijnej rehabilitacji ciężkiej pracy i pieniądza. Pragnęły religii, która sprzyjałaby ich interesom i dążeniom oraz sankcjonowała ich system wartości. Taką właśnie religią był protestantyzm i dlatego uzyskał poparcie. A katolicyzm bardzo dobrze służył tradycyjnemu systemowi feudalnemu i panującym stanom szlachty i duchowieństwa.

Jaką filozofię społeczno-moralną głosili protestanci?

JAKIE IDEAŁY ŻYCIOWE PREFEROWALI?

Po pierwsze — na czoło systemu wartości wysunięto pracę oraz solidarność zawodową. Kaznodzieje protestanccy podkreślali, że praca jest obowiązkiem wszystkich i nieustannie powtarzali słowa św. Pawła, że *„Kto nie chce pracować, niech też nie je"* (2 Tes 3,10). Jako nieproduktywne zlikwidowane zostały zakony. Potępiono jałmużnę dla próżniaków i żebraków. Po drugie — bardzo wysoko ceniono czas, który miał być przeznaczony na pracę, a nie marnowany na życie towarzyskie i rozrywki. Czas wolny i próżniactwo uznano za źródło grzechu. Człowiek więc powinien być ciągle zajęty. Po trzecie — sukces ekonomiczny i dorobienie się traktowano jako dowód łaski Bożej i widomy rezultat uczciwego życia. Natomiast ubóstwo miało być skutkiem lenistwa, próżniactwa i innych własnych wad. Powtarzano przy tym, że Bóg tylko temu dopomoże, kto sam sobie radzi; że w życiu charakter jest wszystkim, a okoliczności niczym. Po czwarte — sławiono oszczędność oraz skromność, surowo potępiano zaś rozrzutność i wystawność. Człowiek autentycznie religijny i moralny miał ciężko pracować, lecz mało wydawać. Powinien gromadzić kapitał, a nie używać życia.

Nie trzeba tłumaczyć, że mentalność protestancka sprzyjała powstawaniu społeczeństwa przemysłowo-kapitalistycznego. Ale należy pamiętać, że źródłem tej mentalności była zmieniona sytuacja społeczna i nowa kondycja ludzka. Rozluźniły się dawne więzi społeczne, które zapewniały człowiekowi średniowiecznemu poczucie bezpieczeństwa i przynależności do wspólnoty. A teraz jednostki i rodziny stanęły same wobec niepewnego losu. Prawa rynku i konkurencji sprawiały, że los ludzki był zmienny i kapryśny. Należało wobec tego gromadzić jak najwięcej, aby zabezpieczyć się na wypadek dekoniunktury, choroby lub innego nieszczęścia. Ważne znaczenie miał też fakt, że dzięki gospodarce towarowo-pieniężnej gromadzenie dóbr stało się w ogóle możliwe, inaczej niż w systemie gospodarki naturalnej.

Gwałtowny atak z różnych stron zachwiał potęgą Kościoła rzymskokatolickiego. Niektórzy sądzą, że decydujący wpływ na opamiętanie się papieży i biskupów wywarło nie wystąpienie Lutra, lecz SPLĄDROWANIE Rzymu (Sacco di Roma). Otóż po zwycięskiej wojnie cesarza Karola V z królem Franciszkiem I zaciężna piechota (lancknechci) złożona z Niemców, Hiszpanów i Włochów zdobyła 6 maja 1527 roku Rzym i okupowała go aż do 17 lutego 1528 roku. Wojsko to, słynące z łupiestwa, było pod wpływami protestanckimi i nienawidziło władzy kościelnej. Papież bowiem popierał podczas wojny króla Francuzów.

Przez ponad 9 miesięcy żołnierze cesarscy z upodobaniem bezcześcili i grabili święte miasto chrześcijaństwa. Historyk brytyjski Albert F. Pollard pisze, że *„najbogatsze miasto chrześcijaństwa wydane zostało na pastwę niekarnych, rozbestwionych hord niemieckiego, hiszpańskiego i włoskiego żołdactwa. Papież znowu schronił się w zamku świętego Anioła; przez całe tygodnie w Rzymie trwała nieustanna orgia świętokradztw, bluźnierstw, grabieży, morderstw i rozpusty — koszmar, którego żaden pędzel nie zdoła odmalować ani żadne pióro opisać".*

W tych słowach nie ma żadnej przesady. W Rzymie rzeczywiście działy się dantejskie sceny. Pewien człowiek w służbie cesarskiej donosił swemu władcy, Karolowi V:

„Po wkroczeniu nasi złupili całe Borgo i na kogo trafili, tego zabijali... Obrabowali wszystkie klasztory i wywlekli damy, które szukały w nich schronienia. Każdego człowieka zmuszali torturą do zapłacenia okupu... Wszystkie kościoły odarli z ozdób, a relikwie i inne pamiątki wrzucali do ścieków i dołów kloacznych. Nawet najświętsze miejsca zostały splądrowane. Kościół Świętego Piotra i pałac papieski od piwnic po dach obrócono w stajnie dla koni... Wszyscy uważają, że to, co się tu stało, jest słuszną karą Bożą, jako że dwór rzymski tak źle był rządzony... Oczekujemy wieści od Najjaśniejszego Pana, jak należy władać miastem i czy Stolica Apostolska ma w nim być utrzymana, czy też nie. Niektórzy są zdania, że nie powinna dłużej znajdować się w Rzymie, albowiem król Francji mógłby powołać patriarchę i wymówić posłuszeństwo owej stolicy, a król Anglii i wszyscy inni chrześcijańscy książęta to samo uczynić".

Splądrowanie miasta papieży wywarło szokujące wrażenie. Widziano w tym nawet spełnienie apokaliptycznych przepowiedni św. Jana i proroka Daniela. Mogło wydawać się, że jest to już ostateczna katastrofa Kościoła rzymskokatolickiego. Tym bardziej, że papież Klemens VII nie potrafił właściwie reagować i Stolica Apostolska ponosiła kolejne klęski.

Zasadniczy zwrot nastąpił jednak dość wcześnie,

ZA PONTYFIKATU PAWŁA III (1534—1549).

Sam papież był zdolnym politykiem i mianował kardynałami (oprócz trzech swoich wnuków) kilku utalentowanych politycznie ludzi. Dzięki temu Kościół rzymski stopniowo przeszedł do kontrofensywy, czyli kontrreformacji. Paweł III podjął trzy ważne decyzje, które miały okazać się bardzo skuteczne: a) w 1540 r. zatwierdził nowy zakon Towarzystwa Jezusowego, zorganizowany na wzór wojskowy przez byłego żołnierza, zdolnego fanatyka Ignacego Loyolę; b) w 1542 r. utworzył najwyższy trybunał inkwizycyjny, instytucję działającą na zasadach terroru i zastraszenia, wypróbowaną wcześniej w Hiszpanii, gdzie pobożny Torquemada posłał na śmierć ok. 9 tysięcy osób, c) w 1545 r. zwołał Sobór Trydencki, który zakończył się dopiero w 1563 roku, lecz zapoczątkował istotne reformy i przyczynił się do wzmożenia ruchu kontrreformacji.

Wysiłki papieża Pawła III szczególnie gorliwie kontynuował Paweł IV (1555-1559). Człowiek ten już wcześniej wyróżnił się w akcjach terrorystycznych. Wypędził on z Rzymu 113 niezdyscyplinowanych biskupów, setki walęsających się mnichów, wszystkie prostytutki, sutenerów i błaznów. Żydów kazał zamknąć w getcie. W roku 1559 wprowadził indeks ksiąg zakazanych.

Ważną rolę w kontrofensywie Kościoła rzymskiego odegrał również dobrotliwy, lecz stanowczy papież Pius IV (1559-1565). Za jego pontyfikatu zakończył obrady Sobór Trydencki, który określił główne zasady katolicyzmu i potępił doktrynę protestancką, zobowiązał kapłanów do składania przysięgi, powołał komisję do kontynuowania spisu prohibitów. Jego następca, Pius V (1566-1572), działał jeszcze bardziej energicznie na rzecz radykalnej odnowy Kościoła.

„Wybrany na papieża — pisze Jan Wierusz Kowalski — *pozostał człowiekiem surowym, ascetą, wymagającym od siebie i innych wielu wyrzeczeń. Powiadano, że chciał zmienić cały Rzym w jeden wielki klasztor. Inkwizycja z całą bezwzględnością egzekwowała postanowienia soborowe, przepędzając biskupów karierowiczów, walęsających się mnichów i opieszałych proboszczów. Pius V nigdy nie łagodził wyroków sądów kościelnych. Pozwalał na tortury i ciężkie kary, jak wyrywanie języków lub skazanie na galery".*

Zaliczono go później w poczet świętych.

Tego rodzaju zdecydowane, bezwzględne i KONSEKWENTNE DZIAŁANIA przyniosły pozytywne dla Kościoła skutki. Zdeprawowani kardynałowie, biskupi i księża oraz rozmaici wolnomyśliciele przekonali się, że nie ma żartów, że kontrreformacja i odnowa jest sprawą poważną. Nie udało się już wprawdzie pokonać reformacji na północy Europy, ale powstrzymano ją i wyparto z Francji, Włoch i Polski. Poza tym straty poniesione w Europie zrekompensował Kościół katolicki nabytkami w Nowym Świecie. Konkwista ze znakiem krzyża odbywała się jednak tak brutalnie, że liczba ludności w Ameryce Południowej i Środkowej spadła z 60 mln na początku XVI wieku do 19 mln w końcu XVIII wieku. Przed podbojem hiszpańskim Meksyk liczył 25 mln, a w latach siedemdziesiątych XVI wieku zaledwie 4,5 mln ludności.

Współcześnie podejmowane są wysiłki mające na celu pojednanie kościołów chrześcijańskich i doprowadzenie do zjednoczenia. Szczególnie doszło do zbliżenia między katolikami a luteranami i anglikanami. Być może rację miał ksiądz prof. M. Żywczyński, że Kościół prawosławny jest bardziej niż protestancki obcy Kościołowi katolickiemu, choć różnice dogmatyczne są mniejsze.

W Polsce mamy obecnie kilka kościołów protestanckich. Najwięcej wyznawców liczy Kościół Ewangelicko-Augsburski w PRL czyli luterański. Pod koniec 1985 r. miał 75 tys. wiernych, 329 kościołów i kaplic oraz 90 duchownych. W tym samym czasie Kościół Ewangelicko-Reformowany (kalwiński) wykazywał tylko 4,5 tys. wiernych, 13 kościołów i kaplic oraz 5 duchownych. Sporą liczbą członków w naszym kraju legitymują się m.in. następujące wyznania protestanckie: Zjednoczony Kościół Ewangeliczny (17 tys.), Kościół Adwentystów Dnia Siódmego (8,2 tys.), Polski Kościół Chrześcijan Baptystów (6,1 tys.), Kościół Metodystyczny w PRL (4,2 tys.).

W perspektywie bliższej lub dalszej starości przed kobietą staje problem, jak wykorzystać erotycznie swe dojrzałe życie.

Seks i melancholia

MIROSŁAWA SARBIŃSKA

Niedawno usłyszałam cztery znakomite dowcipy, które dają dużo do myślenia kobietom i mężczyznom. Autorem dwu pierwszych jest podobno Andrzej Mleczko, a pozostałe są anonimowe. Powtarzam wszystkie z pamięci.

Strapiona kobieta zwierza się koleżance. Willa jest, działka jest, samochód jest, telewizor kolorowy jest, a orgazmu jak nie ma, tak nie ma...

A teraz sytuacja odwrotna. Zmartwiony mężczyzna opowiada lekarzowi. Panie doktorze, osiągnąłem orgazm, ale to jest jedyne, co w życiu zdobyłem...

Oba dowcipy mają wymowę antymieszczańską. Zmuszają do zastanowienia nad sensem życia. Pokazują, że nie można wszystkiego mieć, że trudno jednocześnie „mieć" i „być". Trzeba się na coś zdecydować; albo świat luksusowych rzeczy, albo miłość i orgazm. W pogoni za przedmiotami tracimy wrażliwość i zdolność kochania. Pewien bardzo mądry, lecz ostatnio u nas nie doceniany filozof powiedział:

„W miarę jak rośnie wartość świata rzeczy, zwiększa się wprost proporcjonalnie deprecjacja świata ludzi".

W tym samym dziele, powstałym blisko półtora wieku temu, znalazłam również taką ciekawą myśl: *„Im mniej jesteś, im słabiej przejawiasz swoje życie, tym więcej masz, tym większe jest twoje wyalienowane życie, tym więcej gromadzisz swej wyalienowanej istoty. (...) Tak więc wszelkie namiętności i wszelka działalność musi utonąć w żądzy posiadania".*

Trzeci dowcip jest zagadką. Jaka jest różnica między dyplomatą a damą? Przede wszystkim taka, że dyplomacie nie wolno mówić „nie", natomiast damie nie wypada mówić „tak". Ale są też inne różnice. Kiedy dyplomata mówi „tak", to znaczy — „być może", gdy mówi „być może", oznacza to — „nie", a gdy mówi „nie", wtedy nie jest prawdziwym dyplomatą. Kiedy dama mówi „nie", to znaczy — „być może", gdy mówi „być może", oznacza to — „tak", a gdy mówi „tak", wtedy nie jest prawdziwą damą.

Kolejny dowcip również dotyczy subtelności znaczeń i podtekstów. Pewna gazeta wojewódzka ogłosiła konkurs pod hasłem „Co wiesz o kobiecie?" Wygrał go ośmioletni chłopiec. Nie mógł tego pojąć jeden z dorosłych uczestników konkursu. Podejrzewał jakieś oszustwo. Redaktor naczelny wyjaśniał mu więc i przekonywał:

Pierwsze pytanie konkursowe brzmiało: „Jaki kobiety mają najważniejszy organ?" Chłopiec odgadł, że jest to Prezydium Światowej Federacji Kobiet. A pan, co napisał? Żeńska część jury musiała się rumienić. Na drugie pytanie — „Gdzie się kobietom najbardziej kręcą włosy?" — zwycięzca konkursu odpowiedział prawidłowo, że w Afryce. A pan, co napisał? Niech się pan wstydzi. W trzecim z kolei pytaniu chodziło o to, co w języku naszych przyjaciół jest na trzy litery i sprawia kobietom najwięcej przyjemności. Małe dziecko wiedziało, że kobiety najbardziej uszczęśliwia pokój, czyli „mir". A pan, proszę pana, powypisywał tu jakieś świństwa, które nawet trudno odczytać.

Z wiekiem i rolą społeczną zmienia się zatem sens znaczeń. Ale zmieniają się też, niestety, możliwości użycia. Nieubłagany czas bezpowrotnie zabiera urodę, zdrowie i siły. Poeta pocieszał wprawdzie, że pod *„starym bukiem twardy korzeń bywa"*, ale w rzeczywistości to się chyba nie zdarza. W każdym razie zlaknione seksu starsze kobiety oglądają się za młodymi chłopcami. I tak samo starsi panowie pragną młodych dziewcząt.

Trzeba więc tak żyć, żeby później nie żałować straconego czasu. Najlepiej równocześnie być damą i dyplomatą. Pochopnie nie przytakiwać i nie odmawiać. Pamiętać, że żyje się tylko raz.

W literaturze i filmie pełno jest wzruszających i smutnych historii, że ktoś po latach żałował utraconej miłości. Niektórzy dopiero na starość odkrywają, co ich ominęło. Pokazuje to następujące opowiadanie.

Nieśmiały, dwudziestoletni student poznał i pokochał trzydziestopięcioletnią kobietę. Była żoną człowieka inteligentnego, mającego wysoką pozycję, lecz starszego od niej aż o dziewiętnaście lat. Początkowo kochała swego męża, potem zawsze szanowała i czasem zdradzała.

„...jakaś tęsknota za pięknem popychała ją w ramiona obcych mężczyzn, ale jednocześnie od nich odpychała; zawsze bowiem wyobrażała sobie, że jej życie powinno przypominać piękny taniec, i bała się, by jej zdrady małżeńskie nie przeszły w zły nawyk. Tak narzuciła sobie piękno, jak inni narzucają sobie moralne przykazania, i gdyby dojrzała we własnym życiu brzydotę, popadłaby w rozpacz".

W wieku 35 lat kobiety przeżywają zwykle szczyt rozbudzenia seksualnego. Dlatego potrzeb naszej bohaterki nie mógł prawdopodobnie zaspokoić jej 54-letni mąż. Któregoś wrześniowego dnia odwiedziła młodego studenta w domu akademickim. Przyszła punktualnie o dziewiętnastej. Usiedli na żelaznym łóżku i całowali się.

Chłopiec był niedoświadczony i skrępowany. Długo nie miał odwagi rozpiąć jej pierwszego guzika. Na szczęście ona sama zaproponowała, że zrzuci *„ten pancerz"* i rozebrała się. Niebawem — *„dzięki jej cierpliwości"* — pokochali się.

Student żałował, że nie zapalił światła (chciał ukryć zażenowanie). W ciemności nie mógł dostrzec twarzy kochanki. Choć wytężał wzrok, nie rozpoznawał nawet jej rysów. Miał wrażenie, że kochał się z kimś innym, nieprawdziwym, niekonkretnym. Normalnie bowiem wyglądała na *„anielsko nietykalną"*.

„Potem usiadła na nim (i wtedy jednak widział tylko jej wyprostowany cień) i kołysząc biodrami mówiła coś stłumionym głosem, szeptem, a przy tym nie było wiadomo, czy mówi to do niego, czy sama do siebie. Nie rozróżniał słów, spytał ją więc, co mówi. Szeptała coś nadal, ale nawet potem, gdy ją znowu do siebie przygarnął, nic z tego nie mógł zrozumieć".

Z tego wynika, że student rzeczywiście nie miał doświadczenia. W przeciwnym razie wiedziałby, że podczas stosunku wniebowzięte kobiety zachowują się bardzo dziwnie. I nie należy ich wtedy o nic pytać, ani starać się zrozumieć. Niekiedy krzyczą tak głośno, że muszą zakrywać usta, bo inaczej wystraszyłyby wszystkich sąsiadów, spłoszyły ptaki i przeraziły samego kochanka.

Wielki mistrz Enrique Poncello poznał rozmaite reakcje kobiet w chwili orgazmu. Jego ciekawe spostrzeżenia przedstawił pięć lat temu Jerzy Wilmański w książeczce *„Tak prędko, coraz prędzej"*. Czytamy tam między innymi:

„Niektóre kobiety o bardzo pięknych oczach w tym momencie dostają zeza; odwrotnie, niemal wszystkie zezowate na tę chwilę go tracą. Niektóre ograniczają się do głębokiego westchnienia, jakby zabierały się do wypoczynku po straszliwym zmęczeniu. Inne pojękują niby chore dziecko, albo wydają przenikliwy okrzyk, jeden jedyny przenikliwy okrzyk triumfu. Wiele kobiet chwilami wręcz rozdzierająco szlocha. (...) Niektóre przybierają wyraz twarzy niechętny, pełen pretensji. Inne wyją, jakby z tęsknoty za dżunglą. (...) Niektóre wymyślają i biją. Niektóre mówią czułe słowa. Jedne przytakują: »Tak! Tak! Tak!«, a znowu inne jakby czemuś przeczyły: «Nie! Nie! Nie!». Ale czemu przeczą? Czemu przytakują? Nikt nie wie".

Nikt nie wie i się nie dowie, bo same kobiety przecież nie wiedzą. Czasami jest im tak nieziemsko dobrze, że nieoczekiwanie wybuchają nagłym płaczem, a powinny się śmiać z radości. Ale jakoś tak jest, że rozkosz seksualna najłatwiej wywołuje płacz i łzy, a nigdy śmiech. Jeśli ten ostatni się zjawia, to musi już być bardzo źle, nienormalnie...

Reakcje kobiet podczas orgazmu zależą najprawdopodobniej od ich temperamentów. Podobnie zresztą jest ze śmiechem. Pewien astrolog włoski z XVIII wieku, którego cytuje sto lat później Carl F. Flögel, był zdania, że melancholika poznać można po charakterystycznym — „hi, hi, hi!", choleryka po „he, he, he", flegmatyka śmiech słyszymy jako „ha, ha, ha", a sangwinik daje o sobie znać przez „ho, ho, ho".

Przepraszam za tę przydługą dygresję. Wydawała mi się jednak ważna i niezbędna. A teraz wracam do przerwanej historii.

Minęło piętnaście lat. Przez ten czas nasi kochankowie nie widzieli się ani razu. On niedawno ukończył trzydzieści pięć lat, rozwiódł się po siedmiu latach małżeństwa. A ona miała już pięćdziesiątkę — od dziesięciu lat była wdową, matką prawie dorosłego syna.

Spotkali się dość przypadkowo w małym prowincjonalnym miasteczku. On mieszkał tu od kilku lat, ona zaś przyjechała ze stolicy odwiedzić grób męża.

Postarzała się w takim stopniu, że nie poznał jej. Natomiast ona od razu go rozpoznała. Już z daleka zwracała uwagę *„łagodnym uśmiechem"*, który wyrwał go ze stanu zamyślenia i odrętwienia. Na pytanie — czy tak bardzo się zmieniła? — odpowiedział jednak kłamliwie, że nie. A miał przed sobą, niestety, już prawie starą kobietę. Jemu zresztą zdążyły też przerzedzić się włosy i nie miał wątpliwości, że niedługo będzie łysy. Zaprosił ją do swojej kawalerki. Patrzył na nią i żałował, że nie spotkali się chociaż sześć lat wcześniej, kiedy się tu sprowadził. Teraz z ogromnym żalem stwierdził, że ta olśniewająca niegdyś kobieta jest *„zakratowana starością"*. Poczuł z tego powodu bezgraniczną litość.

Kiedy niespodziewanie siadł przy niej i ujął jej rękę, przestraszyła się jak młoda dziewczyna przy pierwszym pocałunku. Straciła już bowiem ową *„permanentną gotowość"*, którą mają dojrzałe kobiety, i *„zaborczą zmysłowość"* ciała.

„Chwila przestrachu jednak rozpłynęła się bardzo szybko pod wpływem jego dotknięć, a ona daleka od owej piękności dojrzałej kobiety, jaką była kiedyś, niezmiernie szybko powracała teraz do jej postaci, do jej samopoczucia, świadomości, odnajdywała dawną pewność siebie kobiety doświadczonej erotycznie, a że było to uczucie dawno nie zakosztowane, odczuwała je teraz intensywniej niż kiedykolwiek przedtem; jej ciało, przed chwilą jeszcze zaskoczone, wylęknione, bierne, miękkie, ożyło, zaczęło odpowiadać na dotknięcia mężczyzny, a ona czuła celową świadomość jego ruchów i napełniało ją to rozkoszą. (...) Dopiero gdy dotknął ustami jej ust i chciał językiem rozewrzeć jej wargi, wszystko się naraz zawaliło; oprzytomniała. Mocno zacisnęła zęby (czuła gorzką obcość masy przywierającej do jej podniebienia i wydawało się, że ma jej pełne usta) i nie poddała mu się; odepchnęła go łagodnie i rzekła: — Nie. Naprawdę, lepiej nie".

Co się stało? Otóż uświadomiła sobie, że ma sztuczne zęby. Zauważył to również wcześniej mężczyzna. Pamiętał, że kiedyś z jednej strony u góry brakowało jej zębów, a teraz miała wszystkie olśniewająco białe.

Mężczyzna widział, że ma do czynienia z beznadziejnie starą kobietą; lecz zapewniał ją, że właściwie nic się nie zmieniło, że nadal jest piękna, i nalegał, żeby zaprzestała obrony. Ona z kolei wiedziała, że wciąż jeszcze ma zgrabną figurę, zwłaszcza w ubraniu, ale naga odsłoni pomarszczoną szyję i na brzuchu bliznę po operacji. Nie wstydziła się siwizny na głowie, lecz tę inną, na ciele, odczuwała jak *„skrywane piętno hańby"*.

Przypominają się tu gorzkie słowa Aleksego Zorby. Bohater powieści Nikosa Kazantzakisa (ekranizację grecko-amerykańską przypomniała niedawno telewizja) mówi: *„śmierć jest niczym — jedno dmuchnięcie i świeca gaśnie — ale starość to straszna hańba"*. Tego tylko bał się sympatyczny Zorba, właśnie starości, niczego więcej.

Kobieta broniła się więc, a mężczyzna z uporem szturmował, choć rozumiał, że musi się to skończyć uczuciem odrazy i obrzydzenia.

Dla pięćdziesięcioletniej wdowy trzydziestopięcioletni rozwodnik był młodym mężczyzną. W dodatku mężczyzna ten jej się podobał. Pomyślała sobie w końcu, że może to już ostatnia okazja w jej życiu. Co więc zrobiła?

„Ma pan rację, dlaczego miałabym się bronić — powiedziała cicho i wstała. Powoli zaczęła rozpinać sukienkę. Do wieczora było jeszcze daleko. W pokoju było tym razem pełne światło".

Nie wiem, dlaczego Milan Kundera umieścił to opowiadanie w tomie *„Śmieszne miłości"*. W istocie przecież ta historia i inne wcale nie są śmieszne, lecz smutne. Tylko podtytuł się zgadza, że chodzi o *„anegdoty melancholijne"*. Melancholik nawet śmieje się jakoś przygnębiająco — „hi, hi, hi".

Na znanym sztychu Albrechta Dürera *„Melancholia"* zamyślona anielica siedzi z cyrklem w ręku i wieńcem laurowym na głowie. Obok widzimy wielki głaz, drabinę, jakieś narzędzia i przyrządy, wagę, klepsydrę, dzwonek. A dalej dostrzegamy miasto i nad nim nietoperza niosącego napis *„Melencolia"*. Wszystko jakby zamarło, trwa w jakimś odrętwieniu i głębokiej zadumie nad sensem ludzkich wysiłków.

Starość jest tragedią przede wszystkim dla kobiet pięknych. Ivo Andrić interesująco przedstawił doznania kobiety w czterdziestym ósmym roku życia. Wciąż była ładna i elegancka, ale już od trzech, czterech lat walczyła z oznakami starzenia się. Potępiała starość zdecydowanie:

„Na starość nie tylko, że tępieją zmysły, słabnie uwaga, obumiera zainteresowanie, wskutek czego człowiek skłonny jest nie przywiązywać wagi do ubioru i zachowania się, ale samo ciało czyści się jakby trudniej, a łatwiej brudzi. Samo z siebie, od wewnątrz. A jeśli, kosztem nadludzkich wysiłków, starzejącemu się człowiekowi uda się nawet utrzymać siebie w jakim takim porządku i czystości, to jest to wysterylizowana czystość apteki, a nie czystość kwiatu. Młodość zaś jest czysta, bo jej soki ciągle się odnawiają, natomiast soki starości są zatęchłe nawet wtedy, kiedy nie zdążyły zupełnie wyschnąć. (...) Nie ma nic bardziej uciążliwego ani bardziej okropnego niż patrzeć na roztaczający się wokoło świat oczyma byłej piękności. Spojrzenie pięknej kobiety, która zaczęła się starzeć, staje się coraz bardziej niespokojne, twarde, podejrzliwe, złe, bo w cudzych oczach ona szuka tylko jednego: wrażenia, jakie wywiera jej postać".

Ale co to właściwie znaczy starość? Odkąd można mówić o starości? Kiedy przekraczamy ową smugę cienia? Mój znajomy wyróżnia pięć generacji psychodemograficznych: dzieci (0—14 lat), młodzież (15 — 29 lat), średnie pokolenie (30—44 lata), starsze pokolenie (45—59 lat) i kategorię ludzi starych (60 i więcej lat). Uważam to za bardzo dyskusyjne, ale akceptuję, bo jeszcze w tej kategoryzacji należę do młodzieży.

W perspektywie bliższej lub dalszej starości przed kobietą staje problem, jak wykorzystać seksualnie swe dojrzałe życie. Zastanawiające się nad tym w *„szkole miłości"* bohaterki Roberta Musila, Bonadea i Deotyma doszły do słusznego wniosku, że jeśli małżeństwo ma być dozgonne, to trzeba z własnego męża wydostać cały potencjał erotyczny.

Bonadea i Deotyma liczyły przypuszczalnie po trzydzieści lat. Obie miały mężów znacznie starszych od siebie i na poważnych stanowiskach. Ale ich stosunek do seksu był krańcowo różny. Pierwsza podchodziła praktycznie do sprawy, druga teoretycznie.

Bonadea, czyli *„dobra bogini"* — to *„przyzwoita"* żona i *„czuła"* matka dwóch ślicznych synów, która marzy o cichym, idealnym życiu rodzinnym, lecz zdradza męża. Dlaczego? Ponieważ już sam widok mężczyzny ją podniecał. Nie była rozwiązła, lecz bezwolna i bezradna wobec zmysłów. Nigdy nie potrafiła się oprzeć popędowi i prowadziła podwójne życie. Z tego powodu pogardzała sobą. W jej zachowaniu była *„zmienna gra grzechu i skruchy"*. Wiedziała, że robi źle, lecz niemal wpraszała się do łóżka Ulrichowi.

„Kiedy jej zmysły były podniecone, stawała się melancholijna i dobra, ba, nawet dzięki mieszaninie ekstazy i łez, brutalnej naturalności i niechybnie następującej potem skruchy, w chwili, kiedy jej szał miłosny panicznie wycofywał się przed czyhającą groźnie depresją, nabierała jakiegoś swoistego uroku, równie irytującego jak nie milknący warkot przybranego czarną krepą werbla".

Z kolei Deotyma to *„hydra piękności"*, uduchowiona piękność, która naprawdę nigdy nie kochała. Powściągała swe zmysły w służbie idei. Była nastawiona na *„wzniosłe"* życie duchowe. Sprawiała wrażenie *„nie rozwiniętego jeszcze całkowicie pączka"*. A jej pewność siebie kontrastowała z dziewczęcym wyglądem.

Z czasem jednak, kiedy się zakochała, jej bielizna — co zauważył mąż — poczyniła pewne postępy w kierunku *„wielkoświatowej frywolności"*. Początkowo zadowalała się zacnosolidną i nie do zdarcia, a później zakładała pajęczocienką i zalotną.

Deotyma lubiła naukowo rozprawiać o miłości. Była przywiązana do teorii, że kobieta w odróżnieniu od mężczyzny ma nieustanną predyspozycję do rozkoszy. Kobieta może być kochana nawet wtedy, kiedy nie chce, a mężczyzna często nie może kochać nawet, kiedy chce. Ponadto twierdziła, że każdy ma takie życie seksualne, na jakie sobie zasłużył.

Można powiedzieć, że Deotyma reprezentowała typ — jak mówi mój znajomy — słodkiej idiotki. Z upodobaniem używała takich określeń jak: strefy pobudliwości, drogi orgazmu, zahamowane żądze, gruczoły, plemniki itp. itd. Natomiast praktykująca Bonadea słusznie utważała, że takie mówienie o *„tych rzeczach"* po prostu *„obrzydza całą przyjemność"*.

Sama też nie lubię naukowych rozważań o życiu seksualnym. Nie cierpię ginekologicznych opisów w literaturze. Nie umiemy, niestety, tak poetycko pisać o miłości fizycznej jak ludzie Wschodu — Dalekiego, Środkowego, Bliskiego. Wystarczy przeczytać dziewięciotomową *„Księgę tysiąca i jednej nocy"* (PIW 1974), żeby się o tym przekonać. A jak jest u nas? Lepiej nie mówić — albo pruderia, albo wulgaryzm.

Odnoszę wrażenie, że w polskiej kulturze i sztuce miłość seksualna znajduje się na dalszym planie. W populacji naszej jest dużo typów histerycznych, a tacy ludzie raczej nie są zdolni do wielkiej i trwałej miłości. Histeryków bardziej pociąga flirt, zdobywanie, podbój miłosny, aniżeli sama miłość.

Długo nie mogłam pojąć, dlaczego Leon Płoszowski, bohater powieści Henryka Sienkiewicza, miał następującą opinię o Polkach: *„Dziwne, fantastyczne kobiety, o płonących głowach a rybim temperamencie! W uczuciach ich nie ma nie tylko wesołości, ale i prostoty. Kochają się w formach uczucia, mniej dbając o treść wewnętrzną"*. A w innym miejscu powiada, że Polki mają *„bujniejszą fantazję niż temperament"*.

Później jednak uświadomiłam sobie, że taki obraz odpowiada zachowaniom histeryczek. W książce Antoniego Kępińskiego *„Psychopatie"* czytamy:

„Histeryczki są często zimne seksualnie, cierpią na anorgazmię, uczucia macierzyńskie są u nich płytkie, dziecko traktują po trosze jak lalkę i swoją zabawkę, w związkach erotycznych bawi je przede wszystkim flirt, fakt, że są podziwiane, «podboje» itp. Miłość łatwo przeradza się u nich w chęć dominowania. Podobnie histerycy też są zasadniczo zimni seksualnie, w miłości często szukają zaspokojenia swoich ambicji («co kobieta, to nieprzyjaciel»), fascynuje ich więcej zdobywanie partnerki niż jej posiadanie. Flirt jest ważniejszy od miłości. Chcą być podziwiani przez swe partnerki, a je z kolei traktują trochę jak przedmiot zabawy («laleczka», «kociak»). W stosunku do dzieci bywają despotyczni lub beztroscy.".

Nie wiem, w jakim zakresie ten opis jest adekwatny? Jak dużej części społeczeństwa dotyczy? Ale podobne typy osobowościowe spotykam w swoim środowisku. Nie są to raczej ludzie szczęśliwi. Za dużo gadają i narzekają. Nie potrafią sensownie żyć. Materialnie bogaci, lecz ubodzy duchowo.

TEORIA–TEORIĄ

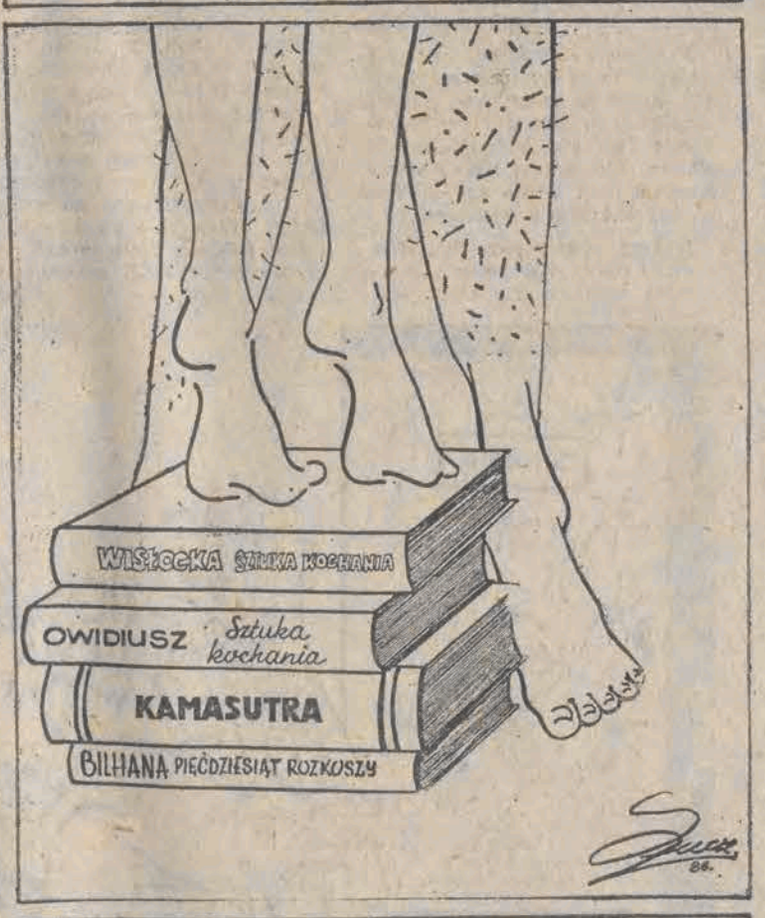

Rys. Sławomir Łuczyński

PRAKTYKA–PRAKTYKĄ

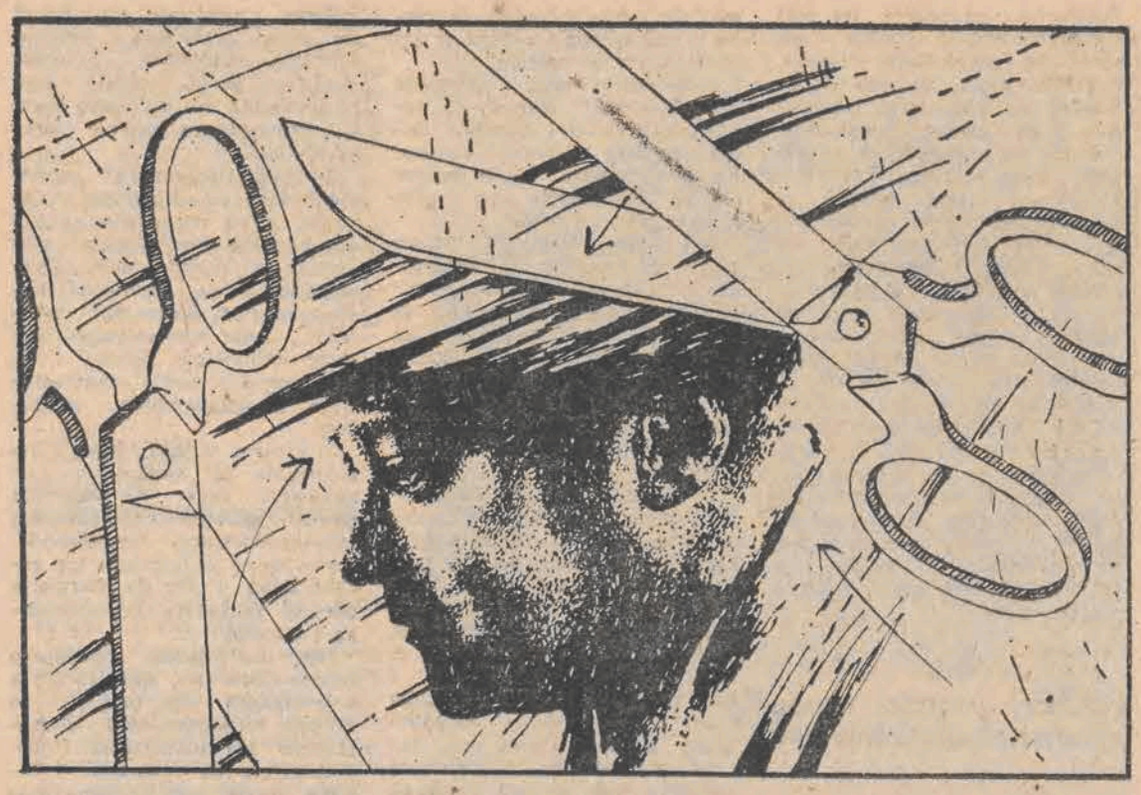

Fryzjer doskonały

REMIGIUSZ CAŁOPAŁEK

Kiedyś, bardzo dawno temu, widziałem — nie pamiętam już dokładnie: w kinie czy w telewizji — interesującą krótkometrażówkę utrzymaną w tonacji czarnego humoru. Nie potrafię odtworzyć wszystkich szczegółów owej kilkunastominutowej etiudy, było ich zresztą niewiele, akcję ciągnęło dwóch jedynie aktorów, pierwszy wyszedł z jakiegoś domu z elegancką czarną aktówką i od razu można było dociec, że w środku są pieniądze, dużo pieniędzy, a więc facet, spięty i zdenerwowany, okradł kogoś niechybnie popełniając przy okazji morderstwo.

Podejrzenia te zamieniły się niemal w pewność, kiedy tajemniczy osobnik otworzył nie bez trudności drzwi ogromnego, czarnego, niebywale szykownego samochodu i odjechał nim pospiesznie. Dałbyś głowę, że samochód nie należał do niego, lecz do nieznanej ofiary.

W ponurej scenerii domniemany przestępca osiągnął granicę jakiegoś powiatowego miasteczka, zaparkował wóz w opustoszałej uliczce i zasiadł w fotelu przed lustrem prowincjonalnej fryzjerni.

Właściciel, człek z pozoru dobroduszny i jowialny, namydlił mu obficie twarz, po czym zaczął z namaszczeniem ostrzyć brzytwę wpatrując się uważnie to w aktówkę, to w gardziel klienta. Widz miał prawo przypuszczać, że są to wszystko tanie reżyserskie chwyty dla utrzymania napięcia, ale nie były to żadne tanie chwyty. Reżyser raz na zawsze wycofał kamerę z fryzjerni, a potem pokazał tylko, jak opuszcza ją nie ten, co przyszedł się ogolić, lecz ten, co golił — jowialny fryzjerczyk trzymający w ręku czarną aktówkę, wsiadający do czarnego auta i odjeżdżający w siną dal.

Film ten, prosty, klarowny i doskonały, sprawił, iż powziąłem do fryzjerów pewną urazę. Nigdy, nawet w obcych miastach, nawet wtedy, gdy nie mam przy sobie maszynki, nie korzystam z usług fryzjerskich w zakresie golenia, wyobraźnia podsuwa mi bowiem obrazy poderżniętych grdyk i rozpłatanych policzków.

Z drugiej strony wszelako bardzo cenię piękną sztukę strzyżenia i układania włosów, i wiem, że dobry fryzjer to jest po prostu artysta, lekarz i cudotwórca zdolny nie tylko poprawić jednorazowo samopoczucie mężczyzny, ale również wpłynąć na całe jego życie. Sam widziałem, jak wszedł do zakładu fryzjerskiego wstrętny długowłosy brudas, na widok którego splunęłaby z obrzydzeniem każda dziewczyna, a w pół godziny później, kiedy już mistrz umył mu głowę i obciął z wyczuciem strasznie zaniedbane kudły, koczkodan przeobraził się ku powszechnemu zdziwieniu w zjawisko pociągające i wdzięczne. Tu jednak muszę zaznaczyć, że jeśli chodzi o moją własną, zdecydowanie niekształtną czaszkę i porastającą ją szczecinę włosów, które pieją we wszystkich kierunkach i których kolor przywodzi na myśl szczura przytrzaśniętego dwa dni temu w pułapce, nie pomoże tu żaden fryzjer, żaden cudotwórca. Wyglądam ohydnie i już! Jest to moim kompleksem od najmłodszych lat. W szkole, kiedy paliłem w ustępie papierosy, woźny sadysta łapał mnie za pierze i wpychał do kabiny z pogróżką, że wyszoruje moją głową kibel. Ksiądz, kiedy pobierałem nauki przed komunią; wyrywał mi kłaki za nieuwagę i powtarzał, że jestem bezczelnie podobny do diabła, a w gimnazjum życzliwa mi polonistka radziła, żebym za zgodą rodziców przefarbował włosy i zawiązywał je na noc chustką.

Słyszałem też i nadal często słyszę, iż powinienem poszukać sobie dobrego fryzjera. Toteż szukam go odkąd sięgnę pamięcią. Poznałem dzięki temu wszystkie renomowane zakłady w Łodzi, te z centrum i te z peryferii, zaprzyjaźniłem się z wieloma cenionymi mistrzami grzebienia i brzytwy, i jakkolwiek żaden z nich nie wpłynął wydatnie na mój łeb, którego ufarbować ani poskręcać w pierścionki nie dałem, bo zaraz wszyscy wzięliby mnie za pedała, poznałem do głębi tajniki fryzjerskiego rzemiosła i psychikę samych fryzjerów.

2.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych fryzjerstwem męskim trudnili się wyłącznie panowie i nie było takiego klienta, który dałby się obsmyczyć kobiecie — nie uchodził taki numer, strach i wstyd! Fryzjerstwo męskie, aczkolwiek w owych czasach tanie, bo za seans płaciłeś dosłownie kilka złotych, stało na żenująco niskim poziomie — strzyżono wprawdzie wymagających elegantów w polkę zwykłą i w polkę z ząbkiem, w kaczy kuper zwany także jaskółką, na Fanfana albo krótko po męsku i tak dalej. Układano fale i loki, trwała męska była w dyskretnym użyciu, stosowano dużo brylantyny i pachnideł. W sumie jednak każdy, kto opuszczał fryzjernię, czuł się podle, a na ulicach roiło się dosłownie od topornie podgolonych skroni i karków, czemu hołdowali nade wszystko zetempowscy aktywiści i polityczna wierchuszka.

Kiedy nastała era Beatlesów, wydawało się, że żaden fryzjer nie zarobi już ani grosza, a kiedy hippisi oprócz długich włosów zaczęli także zapuszczać długie brody, przyszłość facnu fryzjerskiego była naprawdę zagrożona. Zakłady ziały pustką, nieraz tylko ogolił się jakiś alkoholik albo podstrzygł jakiś nienawistny światu fajtłapa, który chętnie powywieszałby na latarniach wszystkie długowłose stwory zapominając o tym, że Chrystus miał fryzurę do ramion, a Marks oprócz nad wyraz bujnej czupryny nosił również nad wyraz bujną brodę.

Tolerancja w zakresie mody nigdy nie była mocną stroną Polaków, nie było zatem warunków, aby rozwinęło się artystyczne fryzjerstwo męskie. Co innego fryzjerstwo kobiece — to święciło swoje tryumfy, zakłady pękały w szwach, a opuszczające je damy straszyły w lokalach, na balach i na Piotrkowskiej wymyślnymi konstrukcjami owłosienia lśniącego wszelkimi barwami tęczy.

Od kilku lat wszelako sytuacja fryzjerstwa męskiego zaczęła się zmieniać, na co bez wątpienia mieli wpływ punkowie i moda na krótsze włosy. Zanikały z wolna bokobrody, a dzisiaj szanujący się młodzieniec chodzi w ogóle bez baków. Konieczność odpowiedniego ufarbowania fryzury i nastroszenia jej w czub domaga się ręki doświadczonego mistrza, siostra i kumpel nie wystarczą. Fryzjerstwo męskie przeżywa zatem renesans, zaludniły się zakłady, bywa, że na usługę trzeba czekać dwie godziny w kolejce albo zapisywać się na wizytę z trzydniowym wyprzedzeniem. Horrendalnie wzrosły ceny. Już nie pięć, nie dziesięć złotych, a trzysta i trzysta pięćdziesiąt trzeba bulić nie tylko u prywaciarza, ale nawet w spółdzielni.

Zjawisku temu towarzyszy paradoksalna na pozór zmiana obyczaju. Tak jak kobiety cieszą się najchętniej u mężczyzn, żeby wspomnieć dla przykładu pana Zbyszka, tak płeć brzydka coraz częściej oddaje losy swojej fryzury w dłonie kobiet — roi się wprost od fryzjerek męskich, które wykonują swój zawód znakomicie i z upodobaniem, a są przy tym z reguły miłe i ładne. Niby najlepszymi fryzjerami męskimi w Łodzi są panowie z ulicy Sienkiewicza (zdobyli mnóstwo różnych nagród i dyplomów), ja tymczasem (i wielu moich znajomych) preferuję anonimowe mistrzynie ze spółdzielni przy ulicy Piotrkowskiej i anonimowe mistrzynie z innych licznych spółdzielni. Mają dziewczyny dryg i właściwe, płciowe że tak powiem, spojrzenie na twarz i głowę mężczyzny, i niejeden święcił dzięki nim miłosne sukcesy.

3.

Prawdziwym przyjacielem mężczyzny pozostał jednak fryzjer w spodniach. Aczkolwiek brak mu kobiecego wyczucia i kobiecej zręczności i zawsze stara się ostrzyc cię tak, jakby sam chciał wyglądać, potrafi zazwyczaj, kiedy siedzisz w fotelu przed lustrem, umilić ci czas. Pogadasz z nim o futbolu, o wyścigach konnych, o pokerze i aktualnym kursie dolara. Doradzi człowiekowi, co ma zrobić, jeśli rzuciła go żona i jeśli dokucza mu okropny kac. Wymasuje skronie i policzki, natrze je kremem, zakropi wodą kolońską podłego gatunku, weźmie cię na zaplecze, dzięki czemu rąbniesz kielicha przed trzynastą i zakąsisz sokiem z ogórków. Wiem skądinąd, że bardzo ceni sobie fryzjerów Andrzej Makowiecki, znają bowiem życie nie gorzej od milicjantów i taksówkarzy i wiele można się od nich nauczyć. Fryzjer męski to cwaniak, o którym warto napisać powieść. Już nie chodzi o to, że stają się jego udziałem wszelkie sensacje miejskie i plotki, że nie jest dla niego tajemnicą, gdzie taki i owaki drań buduje cichaczem willę i że żona znanego napastnika kombinuje ostatnio z aktorem wątpliwej konduity i mizernego talentu. Fryzjer męski to jest detektyw i psycholog. Powiedzmy, że przychodzi do niego osobnik o stężałych rysach twarzy i każe sobie nieoczekiwanie zgolić wąsy i brodę, w których przecież wygląda wspaniale, że poleca obciąć się do gołej skóry albo dopasować sobie perukę, albo, mimo braku siwizny i jakichkolwiek symptomów homoseksualnych, ufarbować włosy i brwi — nooo, proszę państwa! To zatrąca kryminałem. Tu niewątpliwie trzeba wezwać na pomoc kompetentne czynniki.

A ile to razy fryzjer zapobiegł małżeńskiej awanturze, która mogłaby się zakończyć rozwodem. Ile to razy słyszałem konfidencjonalny szept fryzjera:

— Powiada pan, panie inżynierze, że był pan w Warszawie na konferencji, a z tyłu na kołnierzyku szminka. Spokojnie! Mam zmywacz, zaraz to panu wywabię.

Albo:

— Pana żona używa Wild Musk?

— Nie.

— Wyjątkowo intensywny zapach, trzeba będzie go czymś przykryć.

Albo:

— Sińca strasznego ma pan na szyi.

— Gdzie?

— Tu. Zupełnie, jakby kopulował pan z wampirem. Można to przypudrować albo zalepić plastrem, ale najlepiej będzie, jak ciachnę pana lekko brzytwą i zwalisz pan wszystko na mnie.

Tak damscy, jak i męscy fryzjerzy dochodzą na Zachodzie (a i coraz częściej w Polsce) do wielkich fortun, wielkiej sławy i wielkiej zażyłości z osobistościami artystycznego świata. Stają się powiernikami wielkich tajemnic i kochankami wielkich gwiazd. Kto nie wierzy, niech zapozna się z kulisami afery Masona albo szczegółami błyskotliwej biografii Antoine'a. Jeśli są naprawdę dobrzy, mają swoją godność i świadomość swojej wartości, wiedzą, że od kunsztu ich rzemiosła zależy powodzenie człowieka lub jego klęska w równym stopniu, jak wówczas, kiedy pacjent poddaje się w szpitalu skomplikowanej operacji plastycznej.

No, ale dosyć! Nie przeciągajmy tego raportu. Nie mam czasu. Uzbierałem właśnie cztery złote (honorarium fryzjerskie z napiwkiem) i wybieram się do zakładu pewnego niedawno odkrytego mistrza z nadzieją, iż ten sympatyczny człowiek wzbogaci moją wiedzę o mieście i zrobi coś z moją głową, która mimo upływu lat ciągle pozostaje kanciasta i ciągle porastają ją włosy o paskudnej barwie szczura, który mimo swojej niewątpliwej inteligencji dał się dwa dni temu przytrzasnąć w pułapce.

Widokówka z Tatr

ze str. 1

konia (3 tys. zł), dyrdymały starego juhasa z dyplomem inżyniera elektronika (500 zł), wyjątkowa okazja nabycia wełnianego swetra z owczej anilany, czy przymusowe obcowanie z przygrywającą do kotleta kapelą regionalna, której solista zachwyca głosem hydraulika po fajerancie. Być może haracz jest przeznaczony na dotacje do dyskoteki folklorystycznej lub kultywowania obrzędów ludowych typu „minęła trzynasta", albo na dożywianie podchmielonego białego misia w trampkach, który służy za plener fotograficzny, chociaż każde dziecko wie, że prawdziwy niedźwiedź wcale nie jest biały — tylko czerwony.

Może za użytkowanie gór. Ale przecież Tatry są znacjonalizowane stosownym dekretem. Górskie powietrze także.

Dodatek, jak wskazuje nazwa, jest sezonowy, a sezon tatrzański trwa okrągły rok. Województwo nowosądeckie gości wtedy prawie 8 milionów turystów i wczasowiczów. Z prostego rachunku wynika, że haracz idzie w miliardy złotych. Tylko ciągle nie wiadomo, za co go płacimy. Pytany na tę okoliczność, dyrektor Wydziału Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu, tak zeznaje wywiadowcy „Kuriera Polskiego": „Zwiększyliśmy ilość kontroli. Na razie możemy powiedzieć tylko tyle, że wzrosła troska o klienta. (...) Na 40 przeprowadzonych kontroli, w 27 przypadkach stwierdziliśmy, że obsługa turystów odbywa się z pominięciem przepisów prawnych". Czyli wiadomo mniej więcej, że haracz pobiera się jedynie dla dobra i bezpieczeństwa gości, aby wzmóc kontrole.

Wzruszony taką troską, stawiam wniosek o niezwłoczne zakupienie licencji wynalazku o nazwie dodatek sezonowy. No bo skoro można go stosować w „księstwie nowosądeckim", czemu by nie w miejskim łódzkim. Wszak my również posiadamy regionalne atrakcje, że wymienię tylko „Central", egzotyczną dla górali przejażdżkę tramwajem czy opowieści starego tkacza. Wszystko oczywiście z 10-procentową dopłatą na uaktywnienie organów ścigania.

Widocznym przejawem wzmożonej troski o cepra w Tatrach był tego lata brak opodatkowanego chleba. Ja rozumiem, że mogło go nie być w Głodówce, ale dlaczego nie trafiał do sklepów na szlaku. Z tego powodu nie bardzo było wiadomo, kto łazi po górach w celach rekreacyjnych, a kto przemyca się za chlebem na słowacką stronę. Pieczywa nie brakowało tylko w knajpach. Co druga knajpa zwie się rzecz jasna „Harnaś" albo „Janosik" i ze zbójowaniem istotnie ma wiele wspólnego — wystarczy zerknąć w kartę. Natomiast z imieniem patrona łączy je raczej to, że można łatwo opuścić lokal z kulem w głowie albo z ciupagą w plecach.

Szanowny Janosiku, pragnę polecić Twej uwadze szczególnie kuchnię kombinatu wypoczynkowego „Harnaś" w Bukowinie Tatrzańskiej, gdzie musiałem ratować się kilkoma posiłkami. Tak podle nie żarłem nawet w areszcie śledczym.

Dużym przeżyciem są także naiwne próby korzystania z tutejszej komunikacji zbiorowej. Świadomy ekologicznie cepr zostawia zwykle na nizinach swoją Syrenkę, a potem jak ten głupi liczy na łaskę PKS, choć instytucja ta dawno skończyła z zabieraniem gości, woli tylko tubylców. Czyni to mniej więcej tak: w środę 19 sierpnia o godzinie 19.15 z dworca w Zakopanem wyrusza autobus do Czarnej Góry. Na stanowisku zajechał wypełniony w połowie mocno uradowanymi szwagrami i kumplami pana kierowcy. Drzwi otworzył i na stopniach stanął średnio zawiany osobnik w mundurze PKS przemawiając do tłumu:

— Ceprów nie bieremy. Nasze chłopy chodźta!

Wsiadły ichniejsze chłopy.

— A tera chodźta nasze baby.

Wsiadły ichniejsze baby.

— A cepry spier..., bo ciepnę w łeb — powiedział obywatel w państwowym mundurze i autobus ruszył żwawo (nr rejestracyjny NSA 402A).

Z kolei na dworcu autobusowym w Nowy Targu (średnie oczekiwanie 4—6 godzin) z głośników rozlega się głównie uprzejme ostrzeżenie, żeby trzymać łapy na sakiewkach, bo grasują tam wytrawni harnasie kieszonkowi.

Mógłbym tak jeszcze długo wyliczać atrakcje regionalne oraz rozmaite posługi szczodrze serwowane w tym uroczym zakątku, lecz kończy mi się miejsce na jedynej wybłaganej w kiosku widokówce, a poza tym nie wiem, czy stać mnie jeszcze na dopłatę sezonową do znaczka pocztowego. Dlatego kończę tradycyjnym „Żegnojcie".

ROMAN KUBIAK

Rys. Sławomir Łuczyński

Znowu gaz!

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

— Zdążyłem włączyć telewizor, babcia przygotowywała obiad w kuchni i wtedy to się stało... — 16-letni **Janusz Zabrocki** milknie na chwilę, drżą mu ręce, przez bladą twarz przebiegają nerwowe skurcze. Wydarzenia sprzed paru godzin wciąż stoją przed oczami. — Huk był tak potworny, że myślałem iż straciłem słuch. z niedowierzaniem patrzyłem jak pędzi na mnie firanka wypełniona szkłem z rozbitych szyb. Wciąż nie wiedziałem co się stało, automatycznie rejestrowałem tylko obraz poprzewracanych mebli, rozbitych obrazów, szklanego gruzu wokoło. Jeszcze sekunda — i do świadomości dotarł (narastający) zbiorowy krzyk... Skoczyłem do kuchni. Starałem się uspokoić babcię, która odłamki szkła pokaleczyły w szyję. Wśród wielu głosów wyłowiłem rozdzierający szloch **Aśki Białek**; sama poraniona wzywała pomocy dla swej siostry, coś mówiła o uszkodzonym kręgosłupie. Ktoś krzyczał, że to gaz wybuchł i żeby natychmiast uciekać...

GAZ... ZNÓW GAZ I ZNÓW w ŁODZI... W niedzielę, kilka minut przed godziną trzynastą... W samym centrum blisko milionowego miasta, przy ulicy **Nawrot numer 13...** Porządna, stara, bo licząca 102 lata kamienica, o grubych murach, specjalnie wzmacnianych stropach piwnic, które w czasie I wojny światowej służyły za schrony. Tym murom zawdzięcza życie kilkadziesiąt rodzin. Gdyby wybuch nastąpił w bloku — nikt z ratowników i obserwatorów nie ma wątpliwości — powtórzyłaby się retkińska hekatomba. Bo siła wybuchu była potworna: parter kamienicy w prawej części posesji praktycznie przestał istnieć, zapadł się do piwnic. Do tych piwnic zszedł po węgiel 42-letni **Wiesław Buda**. Sam tu nie mieszkał, ale jakże nie pomóc ojcu, który liczy już sobie ponad 79 wiosen. W tej części piwnice były nie oświetlone, zabrał więc ze sobą świece...

Po chyboczących, rozerwanych wybuchem drzwiach przemykam nad ogromną wyrwą ziejącą dokładnie na środku bramy wejściowej. Klatka schodowa po prawej stronie praktycznie zniknęła; zerwane schody, sterty gruzu, resztki odzieży. Wewnątrz pomieszczenia na parterze, niczym niemy świadek, szczerzą zęby pozostałości parkietu podłogi. Stropowe belki, szyny wzmacniające całą konstrukcję wygięte niczym te tramwajowe na zakręcie...

ALE MURY WYTRZYMAŁY — podkreślają to wszyscy. To szczęście w nieszczęściu, podobnie jak i fakt, że pierwsi, którzy pośpieszyli z pomocą, strażacy, mieli ze swej jednostki przy ulicy Sienkiewicza dosłownie dwa kroki. To oni, brnąc przez sterty szkła, gruzu, w tumanach kurzu, przebiegali korytarzami wzywając mieszkańców do opuszczenia domu. Z przerażeniem, ale i zawodowym znawstwem wypatrywali jęzorów ognia, dymu. Nie było. Wybuch nie pociągnął za sobą na szczęście pożaru. Jednak bali się, iż w każdej chwili może nastąpić osunięcie się uszkodzonych ścian. Dlatego też w pierwszym rzędzie wyprowadzali lokatorów na ulicę, wypytując czy ktoś jeszcze został w domu. Akcja ratunkowa, mimo utrudniających dostęp zwałów gruzu, wyrwanych podmuchem futryn, strzępów odzieży, firanek, połamanych mebli przebiegała wyjątkowo sprawnie. Odgruzowano zniszczoną klatkę schodową, część lokatorów ewakuowano przez okna przy użyciu drabin. Pojawiają się karetki pogotowia, kilkanaście osób zostaje przewiezionych do szpitali, są wśród nich dzieci. Po niemal godzinnej walce ze stertami cegieł, połamanych desek, mebli, strażacy wydobyli najbardziej poszkodowanego, ciężko poparzonego mężczyznę...

W ZAPADAJĄCYM ZMIERZCHU okolone ze wszystkich stron murami oficyn podwórze przedstawia przygnębiający widok. W żadnym oknie nie można dopatrzyć się całej szyby — wybuch, po zdemolowaniu parteru, tym podwórzem-studnią znalazł sobie ujście. Smętnie powiewają w oknach pourywane firanki, gdzieś słychać terkot telefonu. Nikt go dzisiaj nie odbierze — wszyscy lokatorzy zostali wyekspediowani do łódzkich hoteli. Ale po wiadomości o wybuchu w telewizyjnym dzienniku w głuchym, zdemolowanym domu napastliwy dźwięk telefonu straszy jeszcze długo w nocy: to bliscy sprawdzają czy ich rodziny żyją...

Przyświecając sobie latarkami na kolejny obchód kamienicy wybiera się dwóch młodych milicjantów pod dowództwem starszego chorążego **Krzysztofa Rydzka**. Jeszcze raz sprawdzą wszystkie dymniki, wyjścia na dach, zajrzą w głąb korytarzy. Chcą uniknąć wszelkich przykrych niespodzianek; na ludzkim nieszczęściu zawsze będą żerować hieny, więc nie wolno dopuścić do wizyt nieproszonych gości, przez noc trzeba też „trzymać straż" przed tobołami z odzieżą, meblami — smutną pozostałością wyposażenia trzech mieszkań na parterze domu.

Ulica Nawrot na tym odcinku zamknięta jest praktycznie również dla pieszych, posterunki przy Piotrkowskiej i Sienkiewicza wpuszczają wyłącznie stałych mieszkańców tego rejonu. Nic tu już po mnie, opuszczam martwą kamienicę z oczodołami okien, jadę do ludzi...

W „Mazowieckim" odnajduję między innymi panią **Magdalenę Popek**. Zgadza się na krótką rozmowę; jest bardzo zdenerwowana, papierosa pali jednego za drugim. Obok, zmęczony wydarzeniami dnia, śpi czteroletni Bogdan.

— Proszę pana, przecież tego można się było spodziewać, gaz czuliśmy wszyscy od kilku dni, najbardziej na klatce schodowej... Podobno była jakaś ekipa z gazowni w miniony piątek, ale widocznie nie usunęli uszkodzenia skoro w sobotę nadal czułam charakterystyczną woń w całym domu... O samym wybuchu wolałabym nie mówić, to straszne przeżycie. A ta trzynastka chyba rzeczywiście pechowa, choć może nie do końca. W czerwcu z trzeciego piętra wyleciał na to betonowe podwórko trzyletni Przemek... To był cud, po dwóch tygodniach wrócił ze szpitala, właściwie to tylko się porządnie potłukł...

Dwa pokoje w tymże hotelu zajmuje pani **Marianna** i **Jerzy Wełna** z synami — Tomkiem i Grzegorzem. Ona jeszcze nie potrafi się uspokoić, w oczach łzy, gdy próbuję wrócić do zdarzeń sprzed kilku godzin. Choć w domu był tylko mąż, pani Marianna wybrała się z chłopcami na grzyby. Ale może właśnie dlatego mocniej przeżywa nieszczęsny wybuch gazu.

— Tuż przed szóstą zacząłem się golić — wspomina pan Jerzy. — Namydliłem twarz i — ten huk koszmarny, który mnie zupełnie ogłuszył. Mieszkamy na czwartym piętrze, w poprzecznej oficynie, czyli byłem dość daleko od feralnych piwnic, ale siła wybuchu odrzuciła mnie z metr do tyłu. No i dym, zrobiło się zupełnie czarno, myślałem, że zaraz się coś zapali. Krzyk i pisk straszny z podwórza, wołania o pomoc, a może po minucie, może dwóch, gdy gorączkowo się ubierałem — przebijające się z dołu głosy strażaków „— Opuszczać mieszkania..." — Gaz? Oczywiście, czuliśmy go wszyscy od kilku dni, w sobotę również...

Nocą już wykręcam numer telefonu: 74-66-95, czyli — pogotowie gazowe. Dyżurny dyspozytor, nie po raz pierwszy już zapewne tego dnia, odpowiada na serię pytań reportera. Dowiaduję się, że: sygnał z ulicy Nawrot był tylko jeden, w piątek po godzinie 13, dzwonił pan **Bejnarowicz**, lokator mieszkania numer 13 (zdecydowanie za dużo występuje w tej sprawie feralnych trzynastek...), prosząc o interwencję, bo gaz ma słabe ciśnienie. Pojechali, podobno już na miejscu ekipa pogotowia została poinformowana przez inną lokatorkę, że w piwnicy czuć gaz. Przeciekał, użyjmy fachowego określenia, korek na odwadniaczu. Został uszczelniony, metanomierz nie wykazał stężenia niebezpiecznego i — na tym zakończono wizytę w posesji numer 13 przy ulicy Nawrot. Nie było mowy o kontrolowaniu wszystkich piwnic, nie było też innych telefonów. Z tym intensywnym zapachem to też przesada, chyba że gaz byłby specjalnie nawaniany...

W PONIEDZIAŁEK, OD WCZESNYCH GODZIN RANNYCH, większość mieszkańców zgromadziła się przed swoim domem. W bramie i na podwórku na razie urzędują — jak im powiedziano — specjaliści, którzy orzekną czy i kiedy część lokatorów będzie mogła się wprowadzić, choćby do oficyn. W rozmowie z lokatorami sprawa interwencji gazowego pogotowia przedstawiona zostaje jednak w nieco innym świetle.

— Oprócz pana Bejnarowicza, do pogotowia telefonował w piątek, po godzinie 16 mój mąż — Marek — mówi wzburzona **Joanna Maroszek**. — Przedstawił się, jest przewodniczącym komitetu domowego i prosił o interwencję, bowiem na klatkach czuć wyraźnie gaz, tym intensywniejszy im bliżej piwnic. Rzeczywiście, przyjechali, zmierzyli stwierdzając, iż wszystko jest w granicach normy i nie ma żadnego zagrożenia dla życia. Jeśli oni wszystko nagrywają, to i rozmowa z mężem powinna tam się znajdować, prawda?... Byli jeszcze w sobotę, po północy, ale to już niech powie pani Małgosia, ona do nich dzwoniła...

— To było w nocy z piątku na sobotę, około 1, już nie mogłam wytrzymać — wspomina **Małgorzata Majewska** — Ciśnienie takie słabe, że herbaty nie można ugotować, a na klatce schodowej wyraźnie wyczuwalne, czyli duże stężenie gazu. Po moim telefonie przyjechało dwóch panów, stwierdzili, że faktycznie ciśnienie jest niskie, w sobotę miała przyjechać jakaś „beczka", chyba oczyścić instalację, a jeśli i to nie pomoże — mieliśmy w poniedziałek zgłosić administracji, żeby przedmuchali rury... Jak pan widzi — nie zdążyliśmy już nic zgłosić...

— Tak było, to szczera prawda — dodaje pani **Maroszek** — ja już po ich wizycie, mimo późnej pory zbiegłam na dół i otworzyłam drzwi od piwnicy i klatki schodowej. Chciałam żeby choć trochę się przewietrzyło.

— O, Mariusz wrócił, brawo, dzielny chłopak... — ucieszył się szczerze któryś z przysłuchujących się naszej rozmowie lokatorów pechowej kamienicy. Zamieniam i ja kilka słów ze szczupłym brunecikiem, **Mariuszem Kozejdą**, który buńczucznie oświadcza, że właściwie nic mu nie było, tyle że podejrzewano „jakiś wstrząs mózgu". I zaraz dodaje:

— I niech pan napisze, że mam 13 lat, skończone. Bo tu niektórzy z sąsiadów, jak mnie odwieźli, to podawali, że mam raptem czternaście! Nic się nam nie stało, to znaczy całej mojej rodzince: tacie, mamie, siostrze — Lesławie, no i braciom — Łukaszowi, Danielowi i Przemkowi. Zdaje się wróciła też ze szpitala **Elka Droździel**, chyba była tylko w szoku... Ale z **Izą Białek** coś jest nietęgo. Chyba ma coś z kręgosłupem. Wiem, bo obok leżałem, robili jej zdjęcia rentgenowskie, a potem do „Korczaka" przewieźli...

Dowiaduję się również, że pani Joanna Maroszek jest prawnuczką właściciela domu — **Edwarda Pfeiffera**. Proszę o wyjaśnienie do kogo kamienica przy ulicy Nawrot należy.

— Jeszcze gdy żyła Anna Pfeiffer, oddała dom pod koniec lat siedemdziesiątych w administrację **PGM Łódź-Śródmieście** — tłumaczy pani Joanna. — To taka oryginalna forma „własności": w księgach wieczystych ja i moja rodzina figurujemy jako właściciele — jedyni spadkobiercy, choć to tylko grzecznościowy zapis. Z tej „własności" nie mamy bowiem ani złotówki, czynsz wędruje do PGM, który też zobowiązany jest do bieżących napraw, konserwacji, remontów. Oczywiście na papierze; książkę by pan napisał tylko z opowieści męża, który jako przewodniczący komitetu domowego walczył, bo inaczej tego nie można nazwać, o wywóz śmieci, kawałek papy na dach, o najdrobniejszy gwóźdź. Ale to osobny rozdział — dziś o 13 ma się okazać, czy część z nas będą chcieli wprowadzić do domu...

Foto: Grzegorz Gałasiński

TYLE REPORTERSKIEJ RELACJI, która z konieczności musieliśmy zakończyć w poniedziałkowe przedpołudnie. I na dobrą sprawę niewiele więcej wówczas mogliśmy dodać. Obiecać więc tylko mogę, że do sprawy kolejnej gazowej tragedii wrócimy z pewnością. A dziś zakończmy tyle prawdziwie co stereotypowo: przyczyny wybuchu bada specjalna komisja, a prokuratura rejonowa wszczęła w tej sprawie śledztwo.

■

Mariusz Baryła

Niepokój

Miasta są niespokojne
podają mi drżącą rękę
ulic nerwowo mrugając
oczami świateł sterujących
ruchem Ich smrodliwy
oddech czuję na twarzy
Zaczyna boleć mnie głowa

Miasta są niespokojne
Niczego nie ukrywają
wszystkiego doświadczają
Kobiety z kwiatami przed
kaplicą z ukrzyżowanym
MM sięga do torebki
po świeczkę

Miasta są niespokojne
Miejski autobus wyplul
Jonasza; zgarnia z chodnika
mydło papierosy kanapkę
z plasterkiem wieczornej
gazety Przyjechała karetka
pogotowia

Miasta są niespokojne
Dziecko z balonikiem
niewinności Trzech robotników
wiąże biały krawat krawężnika
do zakurzonej marynarki
Przed magazynem meblowym
kwitnie róża kolejki

Miasta są niespokojne
Dworzec Fabryczny wygląda
jak krematorium Idę wzdłuż
hotelu Centrum co kilka
kroków oglądając się za siebie
Jakiś pijaczek leje do kosza
Odpalam papierosa od papierosa

Niech będzie spokojna Warszawa
Kraków Poznań Gdańsk
Rzeszów Pabianice Będzin
Opole Koszalin Katowice
Gdynia Tomaszów Suwałki
Szczecin Łódź Wrocław
Konin Białystok Zielona Góra

Niech będzie spokojny Toruń
Bydgoszcz Nowa Huta Lublin
Gorzów Wielkopolski Sieradz
Jelenia Góra Kielce Chorzów
Bielsko-Biała Kalisz Opoczno
Częstochowa Elbląg Olsztyn
Radom Wałbrzych Zamość

Niech będzie spokojna Ostrołęka
Płock Skierniewice Włocławek
Nowy Sącz Przemyśl Tarnobrzeg
Konin Biała Podlaska Krosno
Ciechanów Piotrków Trybunalski
Łomża Puławy Siedlce Leszno
Tarnów Zakopane Bełchatów

Rak

Taksówkarz okazał się tylko szpiclem
Za dodatkową porcję wołowiny z kością
wskazał na emerytowanego nauczyciela
historii który wieczorami w swojej
kawalerce przy szkole rozmawiał
z kanarkiem o dwudziestym roku

Miasto skurczyło się jak piersi
bileterki z kina „Hawana"; nie można
było się w nim ukryć Kościoły potrzebowały
datków a do mieszkania każdy mógł
wejść zająć je i bronić się młotkiem
od kotletów przed ewentualną eksmisją

Na murze amfiteatru ktoś czerwoną farbą
w sprayu wytatuował napis: JESTEM
POLAKIEM
Wielu intelektualistów przechodziło na
drugą stronę ulicy ale zdarzało się im
w ukryciu patrzeć na fotografię w paszporcie
zrobioną trzydzieści lat temu

Wystarczyło mieć dzieci i żonę na urlopie
wychowawczym może brakowało pieniędzy na
odżywki mleko w proszku i drobiazg pod
choinkę
ale przynajmniej człowiek nie miał kozich
oczu wpatrzonych w muchę na szybie i
szybkiego
jak seria z karabinu automatycznego —
oddechu

Pośpiesznie ślubowaliśmy sobie wierność
dałem ci miedziany pierścionek wypiłowany
przez znajomego ślusarza w fabryce obrabiarek
Twojego pocałunku nie pamiętam zresztą
wielu rzeczy nie pamiętam bo bałem się
czy aby farmaceutka nie pomyliła ampułek

Foto: Ryszard Łucyszyn

Człowiek, o którym niepodobna zapomnieć

Wspomnienie o prof. Władysławie Bortnowskim

Władysław Bortnowski twierdził, że *„każde pokolenie ma swoją wizję historii, ale wizja ta nie może rozmijać się z faktami, a nasza wiedza, możliwość poznawania coraz to nowych faktów historycznych stale się powiększa, stąd i coraz to nowe pokolenia historyków będą te same zdarzenia pokazywały w coraz bogatszym kontekście faktów, w coraz szerszym ich uwarunkowaniu i będą coraz pełniej je interpretować"* Był wierny tej zasadzie i ukazywał w swoich pracach w nowym oświetleniu wydarzenia historyczne, w których — jak w „Wielkim księciu Konstantym i Joannie Grudzińskiej" podważał utarte opinie o nich.

Nie od razu wybrał trudną zazwyczaj drogę naukowca, badacza przeszłości. Od najmłodszych lat marzył o dziennikarstwie, nawet wtedy, kiedy w 1938 r. otrzymał dyplom magistra historii na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

Władysława Bortnowskiego spotkałem po raz pierwszy w Lublinie, w 1944 r. W tym czasie jako korespondent wojenny pracowałem w nowo utworzonej redakcji centralnego organu Wojska Polskiego „Polsce Zbrojnej", a Bortnowski zdobywał szlify oficerskie w świeżo uformowanej szkole oficerów polityczno-wychowawczych w Lublinie w Alejach Racławickich. Po złożeniu egzaminu oficerskiego z trzecią lokatą i otrzymaniu stopnia podporucznika, nowo kreowany oficer na własne żądanie został przydzielony przez Zarząd Polityczny WP do pracy — wprawdzie niezupełnie dziennikarskiej, ale mającej z nią jakiś związek — w polowej drukarni, w której rodziły się między innymi i pióra Władysława Bortnowskiego różne w swej treści pisma, ulotki, biuletyny wojskowe. Często odwiedzał redakcję „Polski Zbrojnej" i przy tej okazji poznawał jej redaktorów i rozmawiał z nimi na różne tematy. Zresztą był jednym z jej współpracowników.

W styczniu 1945 r. kontakt z Władysławem Bortnowskim się urwał. W Głównym Zarządzie Politycznym WP dowiedziałem się o jego wyjeździe do miast wyzwolonych, gdzie organizował wiece i zaznajamiał miejscową ludność z sytuacją na froncie. Między innymi brał udział w spotkaniu z mieszkańcami w Kaliszu, gdzie przebywała jego rodzina i w Poznaniu, gdzie toczyły się jeszcze walki o Cytadelę. W marcu tegoż roku Władysław Bortnowski podjął z powrotem pracę w Głównym Zarządzie Politycznym WP w miejscowości Włochy pod Warszawą.

Po raz wtóry spotkałem się z Władysławem Bortnowskim w Łodzi, w której znalazłem się wraz z redakcją „Polski Zbrojnej". Major Wł. Bortnowski przybył do Łodzi w celu zorganizowania drukarni wojskowej. Początkowo był jej kierownikiem, a później dyrektorem. Zasługą Władysława Bortnowskiego było przede wszystkim przeniesienie drukarni z niewygodnego i nie nadającego się do produkcji obiektu przy ulicy Piotrkowskiej do znacznie większego budynku przy ulicy Gdańskiej 130 i połączenie Wojskowego Instytutu Naukowo-Wydawniczego i Prasy Wojskowej w jedną Wojskową Drukarnię.

— *Wprawdzie dyrektor Bortnowski nie był drukarzem* — powiedział mi pewnego razu znany mi z czasów wojny drukarz Leon Kukulka — *ale przez tych kilka lat współpracy z nami tak dalece poznał arkana sztuki drukarskiej, że niejeden zawodowy drukarz mógłby mu pozazdrościć tej znajomości.*

Obok pracy w drukarni parał się Władysław Bortnowski także pracą naukową. Udzielał się jako starszy asystent prof. Stanisława Zajączkowskiego. W 1952 r. Władysław Bortnowski przeszedł do rezerwy, zrezygnował z pracy w Wojskowej Drukarni i w styczniu 1953 r. oddał się całkowicie pracy naukowej na Uniwersytecie Łódzkim jako adiunkt prof. Józefa Dutkiewicza.

Skupił się głównie na problematyce powstania listopadowego. Napisał na ten temat pracę doktorską pt. „Walka o cele powstania listopadowego" w 1958 r., a w 6 lat później rozprawę habilitacyjną pt. „Powstanie listopadowe w oczach Rosjan".

Dzięki znajomości języka rosyjskiego i tematyce prac związanej z historią Rosji i Związku Radzieckiego Wł. Bortnowski otrzymał w 1964 r. katedrę historii ZSRR na Uniwersytecie Łódzkim W 1973 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym, a w kilka lat później profesorem zwyczajnym. Był członkiem wielu komisji naukowych, wykładowcą WUML, Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych w Łodzi i Ośrodka Szkolenia Kadr Kierowniczych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Pracował społecznie w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oraz w PRON.

Cechowała go niezwykła życzliwość, prostota w obejściu, wyrozumiałość i sympatia dla każdego napotkanego człowieka. Nie lubił patosu i wielkich słów, mówił jak najprościej, jasno i zrozumiale. Budził u swych uczniów poczucie własnej siły i rozwijał ich samodzielność. Nie tylko to co mówił, ale i jego żywa ekspresja twarzy, nie znikający z niej serdeczny uśmiech, zbliżały do niego słuchaczy.

Przez kilka lat Władysław Bortnowski był przewodniczącym Komitetu Domowego przy al. Adama Mickiewicza 11. Wtedy najbardziej dał się poznać jako człowiek. Ileż to razy — pamiętam — przychodzili do niego lokatorzy z prośbą, by interweniował w sprawie przyspieszenia naprawy windy i kranów, przywrócenia nagle wyłączonego światła i prądu.

— *Panie profesorze!* — zazwyczaj mawiali. — *Nasze zabiegi na nic się zdają. Nikt nas nie słucha. Ale gdy pan zadzwoni, to na pewno poskutkuje!*

I rzeczywiście. Telefony profesora skutkowały niemal natychmiast.

Władysław Bortnowski służył również każdemu radą i wskazówkami. Co pewien czas zwoływał zebrania lokatorów, na których dzielił się swoimi spostrzeżeniami i projektami odnośnie usprawnienia pracy komitetu i obowiązków lokatorów.

Prof. Wł. Bortnowski był lubiany zarówno przez lokatorów, sąsiadów, z którymi stykał się na co dzień, jak i przez studentów, którzy zdobywali wiedzę pod jego kierunkiem. Często odwiedzali go ze skromnymi dowodami wdzięczności — wiązankami kwiatów jego uczniowie, magistrzy, doktorzy. Nie zawsze zastawali go w mieszkaniu. Wtedy pozostawiali kwiaty u mnie prosząc o wręczenie ich panu profesorowi jako dowód stałej wdzięczności i pamięci za to wszystko, co dla nich zrobił. „Pan profesor — podkreślali w rozmowie ze mną — to złoty człowiek, o którym niepodobna zapomnieć!".

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Pierwszy krok ku teatrowi

Spośród rozmaitych przedsięwzięć upowszechniania sztuki teatralnej, polegających na jak najwcześniejszym oswajaniu z nią widza, zwłaszcza szkolnego, zwraca uwagę swą konsekwencją i poziomem Scena Młodego Widza, działająca przy Teatrze Nowym, a obejmująca swoim zasięgiem ok. 60 szkół podstawowych.

W przeciwieństwie do „scen wędrujących" przedstawienia odbywają się tu w teatrze, w typowych warunkach scenicznych, a obecny ich cykl — „Od Dionizosa do współczesności" zapoczątkowało przedstawienie poświęcone teatrowi staropolskiemu. Zwięzłe i przejrzyste wprowadzenie w problematykę zawarto w programie teatralnym.

Rola sztuki głównej przypadła: „Komedyi albo dyalogowi: O ofiarowaniu Izaaka", granej na podwyższeniu przypominającym starodawne mansjony, a całość utrzymano w typowym dla teatru staropolskiego kształcie — z prologiem i trzema ucieszynymi intermediami.

W przedstawieniu, przygotowanym przez zespół aktorski jak najstaranniej, bawiły nas wszystkie uroki staropolskiego widowiska, niewiele frasującego się o anachronizmy, czym tak dowcipnie posłużył się w „Pastorałce" Leon Schiller, a tropem tym poszła też współczesna adaptacja. I tak w czasach Abrahama, ubranego w odświętny strój szlachecki baroku, przywódcy koczowniczego ludu Izraela, mówi się o „kościelnych progach", w rękach polskiego kmiotka pojawia się już kosa zamiast znanego tylko sierpa, a i też Anioł żywcem tu wzięty z nie tak dawnych książeczek do nabożeństwa lub odpustowych obrazków Anioła Stróża.

Oglądałem to przedstawienie i bawiłem się na nim ze szczerą przyjemnością, młodzież też reagowała z ożywieniem. A oto wykonawcy: Wanda Chwiałkowska, Barbara Dembińska, Marek Cichucki, Dymitr Hołówko, Marek Jasiński, Bogusław Mach, Bohdan Mikuć, Wojciech Pilarski i Bronisław Wrocławski.

Teksty, wybrane przez Jana Lewańskiego, XVI i XVII-wieczne adaptował i reżyserował Jerzy Hutek, oszczędną, ale pomysłową scenografię zaprojektował Maciej Kubicki, klarowny układ choreograficzny zaproponowała Janina Niesobska, opracowanie muzyczne ze smakiem przygotował Marek Czesnek. Zastanawiam się jednak, czy właściwszym adresatem ich pracy albo równie pożądanym nie byłaby młodzież licealna...

Dodajmy, iż cały cykl dwunastu przedstawień (po sześć w dwóch kolejnych latach) zsynchronizowany jest z rokiem szkolnym, a patronują tej niezwykle pożytecznej imprezie: łódzkie kuratorium szkolne, Wydział Kultury i Towarzystwo Kultury Teatralnej.

J.K.

Z półki recenzenta

WSTRZĄSAJĄCY PAMIĘTNIK

Ponad ćwierć wieku temu pamiętnik ten, odnaleziony przypadkowo, wywołał sensację i stał się wydarzeniem na skalę światową. O ile mnie pamięć nie zawodzi, był tłumaczony na wiele języków i stał się jednym z dowodów oskarżenia ludobójców z Trzeciej Rzeszy. Mówię o „Pamiętniku" Dawida Rubinowicza, dwunastoletniego żydowskiego chłopca z Krajna w pobliżu Bodzentyna. Pisał swoje notatki, czy też pamiętnik, od 21 marca 1940 roku do 1 czerwca 1942. A we wrześniu tegoż roku — podobnie jak inni Żydzi — odjechał do Treblinki, by zakończyć tam swoje krótkie życie w komorze gazowej.

Sporo czytałem na temat zagłady Żydów w czasie ostatniej wojny, ale apmiętnik ten wywołał we mnie największe wrażenie. Jednocześnie wzbudził podziw, że w tak okrutnym, nieludzkim świecie, ten mały chłopiec zachował tyle w sobie godności, męstwa i szlachetności.

Bardzo gorąco polecam tę książkę naszym Czytelnikom.

Dawid Rubinowicz: Pamiętnik. KiW 1987. Str. 128. Cena 250 zł.

BYŁO ICH PIĘĆDZIESIĘCIU

Zaraz we wrześniu, po zajęciu Polski, Niemcy zorganizowali pod Żaganiem największy obóz — na terenie śląskiego okręgu wojennego — dla wziętych do niewoli szeregowców. Początkowo zwożono tu wyłącznie Polaków, lecz wkrótce znaleźli się w nim żołnierze innych narodowości. A więc obóz stał się „za ciasny" i powołano w okolicy liczne filie owego stalagu.

Z jednego z takich stalagów, oznaczonego kryptonimem Luft 3, w nocy z 24 na 25 marca 1944 roku zbiegło 80 oficerów lotników (oficerów zestrzelonych samolotów Niemcy trzymali w obozach dla szeregowców). Wśród uciekinierów byli także Polacy.

Niestety, nie wszystkim się powiodło. Część schwytano tego samego dnia, innych później. Niemcy nazwali tę akcję „Sagan — Befehl". Pięćdziesięciu uciekinierów bestialsko zamordowano, w tym pięciu Polaków (m. in. adiutanta Naczelnego Wodza na emigracji majora Antoniego Kiewnarskiego).

Rajmund Szubiński: Pięćdziesięciu z Żagania. **KiW 1987. Str. 216. Cena 180 zł.**

CZERWONA TRAWA

Przystępuję do omawiania tej książki, jak to się mówi, z mieszanymi uczuciami. Bowiem z jednej strony jej autor stał się swego czasu dość głośny na Zachodzie Europy, a jego twórczość była nawet w latach 60—70 swoistą biblią dla protestujących studentów Paryża, z drugiej jednak strony pisarstwo Borisa Vien dla mnie osobiście przedstawia się jako wynik ekstrawagancji robionej za wszelką cenę. Ta wymuszona oryginalność powoduje, że po kilku stronicach lektury ma się ochotę odłożyć książkę nie czytając jej do końca.

Boris Vien, inżynier z wykształcenia, zdobył „sławę" swoją pierwszą powieścią pornograficzną pt. „Będę pluć na wasze groby". U nas wyszła w 1974 r. jego „Jesień w Pekinie", ale nie odniosła sukcesu. Teraz otrzymaliśmy „Czerwoną trawę", rzecz o psychice, o poszukiwaniu metody usuwającej z pamięci przeszłość, o niespełnieniu... W sumie — powieść, która nie wstrząśnie czytelnikiem.

Przekład Elżbiety Jogałły.

Boris Vien: Czerwona trawa. WL 1987. Str. 178. Cena 180 zł.

PLAŻA NAD STYKSEM

Od jakiegoś czasu ukazuje się seria książek Wojciecha Żukrowskiego zatytułowana przez wydawcę jako „Opowiadania, powieści, eseje". Należy przypuszczać, że są to „Dzieła wybrane" autora „Kamiennych tablic".

Nie tak dawno otrzymaliśmy kolejny tom zatytułowany „Plaża nad Styksem", a traktujący o kongresie pisarzy w Rzymie, w którym bierze udział przedstawicielka Polski. A w ogóle to — jak to u Żukrowskiego — sporo o polityce, tyleż o sprawach ciała i najwięcej o wspaniałościach Wiecznego Miasta.

Polecając „Plażę nad Styksem" naszym Czytelnikom chcę zapewnić, że nie będą się nudzić podczas jej lektury, gdyż akcja jest dynamiczna, „momentów" sporo, dramatyzmu także, a więc książka spełnia wszystkie warunki, jakie winna spełniać powieść obyczajowa.

Wojciech Żukrowski: Plaża nad Styksem. KiW 1987. Str. 254. Cena 320 zł.

Opracował: E. W.

Prozaik potrzebny od zaraz

Tadeusz Błażejewski podjął się niełatwego zadania — zdecydował się napisać książkę o młodej prozie polskiej, a więc o zjawisku mglistym, nieostrym, znajdującym się przez cały czas w procesie „stawania się", zjawisku kapryśnym, do którego nie sposób podejść z dystansem, jako że stanowi ono część teraźniejszości literackiej i kulturalnej, w której tkwimy wszyscy, autorzy i czytelnicy, twórcy i odbiorcy. W duchu tradycji krytycznoliterackiej termin „młoda proza" rozumiany jest przez Błażejewskiego jako nazwa z konieczności niejako łącząca rozmaite osobowości twórcze, różne problemy i stanowiska światopoglądowe, wreszcie różne wytwory wyobraźni i piór omawianych pisarzy. Metodologowie nie powinni zatem wysuwać ze swej strony żadnych poważnych zastrzeżeń pod adresem autora, który w miarę możliwości bardzo precyzyjnie i dokładnie usiłuje określić i zdefiniować temat i zakres swej pracy. I tak, młoda proza obejmować będzie twórczość tych literatów (w sumie kilkadziesiąt nazwisk), którzy urodzili się około 1950 roku, oraz niektórych starszych nieco prozaików, debiutujących w końcu lat siedemdziesiątych i później. Jest oczywiste, że sama kwestia istnienia młodej prozy na gruncie współczesnej literatury polskiej jest rzeczą umowną, i pozytywne rozstrzygnięcie zależne jest jedynie od woli i poglądów autora, podzielanych zresztą w tym przypadku przez zdecydowaną większość krytyków zarówno starszej, jak i młodszej generacji.

Książka Tadeusza Błażejewskiego rozpoczyna się od przeglądu opinii dotyczących młodej prozy, opinii wyrażanych przez krytyków i teoretyków literatury na łamach naszej prasy literackiej, począwszy mniej więcej od połowy lat siedemdziesiątych. Autor wybrane przez siebie wypowiedzi dzieli na cztery grupy: wypowiedzi akcydentalne, dyskusje redakcyjne, wystąpienia wyznawców teorii rewolucji artystycznej oraz wystąpienia zwolenników nowego pokolenia literackiego w literaturze polskiej. Taki podział nie tylko ułatwia lekturę i pozwala na wyraźne rozgraniczenie stanowisk poszczególnych krytyków, lecz uświadamia również wielorakość i różnorodność obecnych nawet w obrębie jednej grupy wypowiedzi punktów widzenia, z jakich można atakować problem młodej prozy. Nie jest to fakt błahy, szczególnie teraz, gdy na sile przybrał spór pomiędzy krytykami ze „stajni" Berezy, „papieża" naszej nowej awangardy, a krytykami z „salonów" Błońskiego. Wprawdzie Tadeusz Błażejewski unika z reguły jakichś kategorycznych sądów wartościujących i nie zajmuje stanowiska w wyżej wspomnianym sporze, lecz jego przekrojowa praca umożliwia odbiorcom mniej zorientowanym wyrobienie sobie własnego zdania, zaś dla wytrawnych znawców przedmiotu stanowić będzie, jak przypuszczam, istotny przyczynek do wnikliwej i rzetelnej oceny tego, co dzieje się obecnie w „prozie nowych nazwisk". Henrykowi Berezie poświęca zresztą Błażejewski sporo miejsca w swej książce, trafnie nazywając go niekwestionowanym „patronem młodej prozy", aktywnym szczególnie w sferze odnowy języka literackiego, można bowiem Berezy nie lubić, nie sposób jednak nie docenić jego ogromnego wkładu w walkę o „nowe" we współczesnej literaturze. Esej Tadeusza Błażejewskiego nie jest diatrybą, dobór i omówienie wypowiedzi krytycznych nacechowane są pełnym obiektywizmem.

W najważniejszej i najobszerniejszej części książki, będącej niezwykle starannym przeglądem powieści i opowiadań z kręgu młodej prozy, autor nie jest już w stanie uniknąć subiektywnych ex definitione ocen, są one jednak chłodne, skromne, wyważone i schodzą jakby na drugi plan, ponieważ celem pracy Błażejewskiego nie jest bynajmniej osądzanie dokonań młodych prozaików, a w każdym razie nie jest to celem głównym. Błażejewski usiłuje zdefiniować i zrozumieć młodą prozę, wyróżnić zjawiska pokrewne sobie artystycznie czy filozoficznie, określić stosunek młodych pisarzy do literatury i jej roli w społeczeństwie, naszkicować jakiś ogólny program literacki dzielący prozaików na „młodych" i „starych", uwypuklić cechy wspólne i uwydatnić różnice w sposobie pisania poszczególnych twórców. Daleki jest jednak autor, i chwała mu za to, od tzw. szufladkowania i przyklejania wątpliwej jakości etykietek — po pierwsze dlatego, że książka Błażejewskiego jest propozycją, którą można przyjąć bądź odrzucić, po drugie dlatego, że nadaje ona młodej prozie kształt i wprowadza w nią pewien porządek, co w żadnym wypadku nie jest równoznaczne z nieznoszącym sprzeciwu rozdzielaniem stopni i „biologicznym" klasyfikowaniem dzieł, mającym obowiązywać wszystkich po wsze czasy. Wybór autorów, których twórczość Tadeusz Błażejewski omawia, jest obszerny i co ważniejsze, celny: nie zabrakło chyba ani jednego znaczącego nazwiska przynależącego do kręgu młodej prozy, ani jednej znaczącej powieści czy zbioru opowiadań. Książka Błażejewskiego to nie tylko książka na czasie, pod każdym względem aktualna, to także praca na tym polu pionierska, odważna i niezwykle potrzebna, zarówno nam, czytelnikom, krytykom, jak i samym pisarzom. Nie wyczerpuje ona oczywiście całej problematyki prozy współczesnej, ani nie jest w tej dziedzinie ostatnim słowem, stanowi jednak niewątpliwie śmiały i trafny początek, wskazuje kierunek, w jakim należy podążać. Młoda proza to zjawisko żywe i zmienne, mogące zaskoczyć nas jeszcze niejedną, interesującą pozycją, dyskusja zatem o młodej prozie to dyskusja otwarta, tocząca się wciąż na gorąco. Tadeusz Błażejewski prezentuje swój własny głos w tej wymianie zdań, i sądzę, że warto się z nim bliżej zapoznać. A swoją drogą, choć autor bardzo subtelnie potraktował bogaty materiał zawarty w swej pracy, można wyraźnie odczuć całkowicie zrozumiałą tęsknotę krytyka za dziełem, którego sława przekroczyłaby nareszcie granice literackiej prowincji, które miałoby szanse wrosnąć w tradycję i przejść do historii literatury. Czekamy wciąż na dzieło naszego czasu, na powieść-sukces w każdym znaczeniu tego słowa. Bo jak na razie, młodzi prozaicy zaostrzają jedynie nasz apetyt.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Tadeusz Błażejewski — „Rysopis" (Esej o młodej prozie), Krajowa Agencja Wydawnicza, Łódź 1987, wydanie I, nakład 3000 egz.

Kronika kulturalna

INAUGURACJA ROKU KULTURALNEGO i sezonu artystycznego 1987/1988 w Łodzi odbyła się 8 października br. w **Teatrze Wielkim.**

Zgromadziła licznych przedstawicieli środowisk twórczych i artystycznych.

Wśród gości znajdowali się m. in.: **sekretarz KŁ PZPR — Grzegorz Misiewicz, przewodniczący ŁK SD — Lech Gąsecki,** przewodniczący RN m. Łodzi — **Mieczysław Serwiński,** prezydent Łodzi — **Jarosław Pietrzyk.**

Zasłużeni działacze i pracownicy kultury uhonorowani zostali odznaczeniami państwowymi i resortowymi.

NAD WYPRACOWANIEM nowych form coraz owocniej rozwijającej się w ostatnich latach współpracy, obradowali w ubiegłym miesiącu — **w Łodzi — przedstawiciele partyjnych organizacji i zarządów Oddziałów ZLP: katowickiego i łódzkiego.**

Literatów katowickich reprezentował Jan Pierzchała — prezes Oddziału ZLP w Katowicach, **łódzkich:** członkowie egzekutywy POP i zarządu — **Eugeniusz Iwanicki, Mirosław Kuźniak, Andrzej Mikołajewski i Edward Szuster.**

Przewiduje się: **organizowanie wspólnych sesji literackich, zwiększenie częstotliwości spotkań autorskich pisarzy łódzkich w województwie katowickim i katowickich w regionie łódzkim; propagowanie książek Wydawnictwa „Śląsk" w Łodzi i Wydawnictwa Łódzkiego w aglomeracji katowickiej;** wspólne **przedsięwzięcia w sferze socjalnej.**

Jedną z form współpracy obu organizacji literackich — działających w regionach o podobnej tradycji historyczno-kulturowej — będzie **stała wymiana doświadczeń, służąca** integracji tych środowisk twórczych.

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH i Związek Polskich Artystów Fotografików zapraszają mieszkańców **naszego** miasta **na interesującą wystawę fotografiki — „Prezentacje autorskie".**

W Ośrodku Propagandy Sztuki, w parku im. **Henryka Sienkiewicza, od 7 października wystawiają swoje prace** czołowi **mistrzowie** fotografii artystycznej: **Mirosław Araszewski, Aleksander Błoński, Eugeniusz Haneman, Janusz Hereźniak, Kazimierz Janaszewski, Włodzimierz Małek, Jerzy Neugebauer i Jacek Tworek.**

BARDZO CIEKAWA WYSTAWA pt. **„Lalka w teatrze i filmie" — otwarta została** w ubiegłym tygodniu **w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi.**

Z NIEZWYKLE ORYGINALNĄ, niecodzienną **ekspozycją „Gabinet kątów energetycznych" — łodzianie mogą się zapoznać w Galerii Wschodniej** (przy ul. Wschodniej 29).

Jak stwierdza **autor wystawy, Józef Robakowski,** „zabieg sprowadzenia idei kąta do fetyszu pozwolił narzucić geometrię na rzeczywistość, a nawet na moją motoryczność biologiczną — czyli w konsekwencji spowodował jakoby napięcie energii metafizycznej. To napięcie ma być celem tej absurdalnej pracy, czyli sposobem nadania własnej artykulacji niezależnie istniejącej już ode mnie materii".

Artyści, jak świadczy o tym historia, zawsze eksperymentowali — a więc i ten eksperyment twórczy **na pewno warto poznać!**

PRZY UL. MONIUSZKI 5, w dawnej **pracowni** sławnego łódzkiego artysty malarza, **Konstantego Mackiewicza, otwarto** 7 bm. **galerię zmarłego przed dwoma laty twórcy.**

Przypomnijmy, że prace tego niezwykle żywotnego animatora życia kulturalnego w naszym mieście, prezentowane były na 200 wystawach krajowych i zagranicznych. Był K. Mackiewicz m.in. uhonorowany Grand Prix w Monte Carlo.

W nowo otwartej galerii, wystawiono 20 obrazów, głównie pochodzących z wcześniejszego okresu twórczości malarza.

Eksponowany jest tam również ostatni z ukończonych przed śmiercią.

W uroczystym **otwarciu galerii wziął** m.in. **udział I sekretarz KŁ PZPR Józef Niewiadomski.**

POD PATRONATEM TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ ŁODZI, z inicjatywy wielce oddanej naszemu miastu animatorki życia kulturalnego — tryskającej pomysłowością i społecznikowską energią **Krystyny Bobrowskiej — zainaugurowany został 5 bm., w „empiku", cykl spotkań o dawnej Łodzi.**

Podczas pierwszego spotkania bardzo interesującymi **refleksjami o najznamienitszych łódzkich kawiarniach okresu międzywojennego** (odgrywających kulturotwórczą, swoistą rolę „salonów literackich") podzielił się red. **Adam Ochocki.**

Zapoznał on m.in. zebranych z **fragmentami** (odnoszącymi się do tego tematu) — przygotowanego do druku **drugiego tomu „Reportera przed konfesjonałem"** (który, ukaże się nakładem WŁ).

Następny — tzw. „poniedziałek z łódką w herbie", zaplanowany na 9 listopada, poświęcony będzie niezwykle ciekawej historii łódzkich cmentarzy.

Należy z uznaniem powitać inicjatywę TPŁ, dzięki której, w szczególności młodzi mieszkańcy Łodzi będą mogli poznać wszechstronniej jej historię i tradycję.

INAUGURACJA nowego roku akademickiego w szkołach artystycznych odbyła się — zgodnie z wieloletnią tradycją **— w Filharmonii Łódzkiej.**

W uroczystości tej wzięli m.in. **udział: I sekretarz KŁ PZPR — Józef Niewiadomski,** sekretarz **KŁ PZPR — Tadeusz Janusz, wiceminister kultury i sztuki,** przewodniczący **Komitetu Kinematografii — Jerzy Bajdor, prezydent m. Łodzi — Jarosław Pietrzyk.**

Podczas uroczystości wręczono wysokie odznaczenia państwowe, nadane zasłużonym nauczycielom akademickim i pracownikom tych uczelni.

Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski udekorowano: Mirosławę Szalińską, Bronisława Hajna, Marię Gozdecką-Wojciechowską, Hannę Kowalczyk, Wojciecha Poznańskiego, Edwarda Przyłęckiego i Annę Szymańską. Siedem osób otrzymało Złoty Krzyż Zasługi, jedna Srebrny i jedna Brązowy.

Nagrody I stopnia ministra kultury i sztuki wręczono m. in. Henrykowi Klubie i Zenonowi Januszowi Michalskiemu (współpracownikowi naszego tygodnika).

OD NOWEGO SEZONU dyrekcję artystyczną **Filharmonii Krakowskiej objął Krzysztof Penderecki.**

Oprac. JAK

Baśniowy świat miniatur z Palecha

W odległości 60 kilometrów od Iwanowa, nieco ponad 300 kilometrów od Moskwy, leży Palech — duża wieś o drewnianej zabudowie. Leży wśród pól, łąk i gęstych liściastych lasów, które teraz, jesienią, mienią się wszystkimi barwami, którymi hojnie obdarzyła je środkoworosyjska przyroda.

Historia Palecha jest długa. Daty jego założenia historycy nie ustalili, ale stare dokumenty, wskazują, że sięga ona XV wieku. Według nich założycielami osady byli ludzie, którzy w tych głębokich lasach schronili się przed tatarskimi pogromami. Byli wśród nich i tacy, którzy po mistrzowsku opanowali sztukę malowania ikon.

W odciętym od świata Palechu z pokolenia na pokolenie przekazywano sobie tę sztukę, dbając o zachowanie całej tradycji stylu i techniki. Paleskie ikony rozpoznać można było po prostocie kompozycji, bogactwie barw i złotych ornamentach. Nad ikoną pracowało zwykle kilku malarzy. Jeden był „specjalistą" od odzieży, drugi malował odkryte części ciała, trzeci resztę. W ten sposób — choć anonimowe — powstawały dzieła znakomite, a sława paleskich mistrzów rozchodziła się szeroko po Rosji.

Cóż jednak wspólnego mają stare rosyjskie ikony z pudernicką, broszką, szkatułką? Puszące się swą urodą Żar-Ptaki, długogrzywe i cienkonogie rumaki o rozdętych chrapach Żar-Ptakom podobne dziewice, kniaziowie i... poeci zapełniają czarne, lśniące powierzchnie miniaturowych bibelotów. Błyszczy złoto ornamentów, soczyste barwy strojów krasawic i mołojców mieszają się z zieleniami na wpół egzotycznych drzew i zarośli. Domki na kurzych łapkach i strzeliste dwory, pastuszkowie przygrywający na fujarkach stadom pasących się zwierząt i oddział rycerzy przemierzający puszczę w drodze na wyprawę... Czasem wszystko to razem na jednym obrazku nie większym od dłoni. Ten świat rosyjskich baśni, ludowych podań, bohaterów poematów Puszkina i Lermontowa tworzony jest rękami paleskich mistrzów miniatury. Palech jest bowiem jednym z dwóch najsłynniejszych w kraju ośrodków tego rodzaju sztuki. W tej nowej formie są tu kontynuowane wielowiekowe tradycje malarstwa, które po Rewolucji Październikowej, gdy zdecydowanie zmalało „zapotrzebowanie" na ikony, znalazło dla siebie nową tematykę w baśniach i opowieściach zrodzonych w bujnej wyobraźni ludowej i w tkwiących korzeniami w tejże wyobraźni utworach największych rosyjskich poetów. W paleskim muzeum, mieszczącym się w XVIII-wiecznej cerkwi, stare ikony sąsiadują z dziełami współczesnej miniatury.

Nad szklanymi gablotami w Muzeum Historii Miasta Łodzi, gdzie z okazji Dni Iwanowa można było niedawno obejrzeć wystawę lakowej miniatury z Palecha, widzowie głośno zastanawiali się jak też te cuda powstają, czymże właściwie jest błyszczące czarne tworzywo, w niezwykły sposób pokryte barwnym malowidłem. Tymczasem jest to zwykła tektura. Kilka jej warstw skleja się klejem z żytniej mąki, która umożliwia równomierne nasiąknięcie lnianym olejem. W tym oleju sklejone i uformowane odpowiednio pudełka trzymane są przez kilka dni, po czym trafiają do pieca, gdzie w temperaturze 150 stopni olej spieka się z tekturą. Proces ten trwa 12 dni, po upływie których z pieca wychodzą niezwykle twarde pudełeczka z całkiem już nowego tworzywa. Przy pomocy tokarek nadaje się im ostateczny kształt. Potem kilkakrotnie pokrywane są czarnym lakierem, za każdym razem susząc się w piecu. Po czym trafiają do rąk artystów. Ci na ich gładką powierzchnię sypią odrobinę talku i rozcierają go palcem, by zmatowiała. Delikatnie, aby nie porysować lakieru, tępym rylcem zaznaczają kształty kompozycji, by go następnie ożywić wypełniając gwaszem mieszanym odpowiednio z kurzym żółtkiem. Powstały w ten sposób obrazek pokrywany jest warstwą bezbarwnego lakieru, po czym nakłada się nań złoty ornament — dopiero na końcu, gdyż musi on lśnić swoim własnym blaskiem.

Każda taka miniatura to małe arcydzieło. Niepowtarzalne. Palescy artyści nie kopiują szablonów, ani nie powielają swoich pomysłów. Mimo pewnego podobieństwa kompozycji, częściowo narzuconego przez tradycję, nie uświadczy się wśród nich dwóch takich samych rozwiązań. A każdego z mistrzów można rozpoznać po jego własnym stylu.

Najsławniejszym twórcą miniatur z Palecha był Iwan Iwanowicz Golikow. Od niego zresztą zaczął się nowy rozdział w historii sztuki tej miejscowości, którym stała się miniatura lakowa. Do czasu Rewolucji Październikowej Golikow, jak i pozostali paleszanie, był malarzem ikon. Przypadek sprawił, że pewnego razu namalował on na tekturze dwie kompozycje — „Polowanie na niedźwiedzia" i „Adam w raju", które zwróciły na niego uwagę moskiewskich znawców sztuki. Spod pędzla Golikowa zaczęły więc wychodzić następne: „Gra w szachy", „Wiejska przechadzka", „Koguty". Inni malarze z Palecha poszli w jego ślady, poszukując dla siebie nowych inspiracji i tematów.

Z biegiem czasu Golikow stał się artystą zasłużonym. Władze postanowiły nagrodzić starszeńka i wysłać go nad Morze Czarne do jednego z tamtejszych uzdrowisk, co było wówczas dużym wyróżnieniem. Po dwóch miesiącach wrócił Iwan Golikow do domu. Przez 60 kilometrów idąc piechotą od stacji, niósł swój kuferek, a w nim.. setki gładkich, oszlifowanych przez morze kamieni, które zebrał na czarnomorskiej plaży. Okazały się być wspaniałym tworzywem dla miniatur. Zapełnił je swymi baśniowymi wizjami. Cieszą dziś oczy oglądających je w paleskim muzeum.

W ten sposób w Palechu przetrwała, przybierając nowy charakter, tradycja malarska stworzona tu przed wiekami. I jest nadal żywa, rozwija się. Tutejsi artyści projektują także ilustracje do książek, scenografie dla teatrów. A ich miniaturowe arcydzieła budzą wciąż zachwyt na wystawach. W Palechu działa liczący 150 osób oddział Związku Plastyków ZSRR i średnia szkoła plastyczna. Jest więc komu tę tradycję przekazać.

DANUTA ŚMIERZCHALSKA

ANATOLIJ RYBAKOW (18)

Dzieci Arbatu

— Dobrze, przyjedź, pomożesz zapakować rzeczy — powiedziała Zofia Aleksandrowna. — A z tymi butami coś wymyślę.

— Co przywieźć?

— Nic, wszystko jest.

Trudno, będzie musiała jechać sama, choć nie wie czy nie zabłądzi w niedawno powstałej osadzie letniskowej z przesiekami zamiast ulic. Nikt nie zna ich nazw, domki mają poplątaną numerację, sezon letniskowy jeszcze się nie zaczął, nie ma kogo spytać o drogę. Ale jechać trzeba. Tylko kto w takim razie skoczy do sklepu? Zadzwoniła do Warii. Warii nie było, Niny też nie. Poprosić Milicę Pietrownę? Nie pojedzie, oszczędza serce, nie dźwiga nawet garnka z mlekiem, a zakupy trzeba zrobić spore: chleb, suchary, cukier, i mleko skondensowane, i cytryny, Sasza pozbawiony jest przecież witamin, i kiełbasa wędzona, i ser, i szynka... Spisała wszystko na karteczce i zapukała do Michaiła Jurijewicza. Michaił Jurijewicz był w szlafroku: kleił coś, pochyliwszy się nad stołem.

— Tak mi przykro, ale nie mam innego wyjścia. Tu jest spis, tu pieniądze, gdyby nie było wędzonej kiełbasy, to może być podwędzana, przy tej pogodzie nie zepsuje się, dobrze by było kupić też coś z ryb, tylko takie niezbyt słone...

Michaił Jurijewicz patrzył na nią zafrasowanym wzrokiem.

— Jakże pani pojedzie w nocy za miasto? Kiedy pani wróci?

— Wrócę nocnym, odchodzi o pierwszej z minutami.

— Nie będzie tramwaju.

— Jakoś tam dobrnę.

— Niech pani jedzie do sklepu — powiedział Michaił Jurijewicz — a ja pojadę do pani siostry.

— Co też pan, Michaile Jurijewiczu, to daleko, czterdzieści osiem kilometrów, od stacji dwadzieścia minut drogi, osada nie oświetlona, nie ma ulic ani chodników, błoto, co też pan, jeszcze pana zamordują...

— Niech pani napisze adres — polecił Michaił Jurijewicz — i jeśli pani potrafi, to proszę narysować drogę, zaraz się ubiorę.

Narysowała szkic i wytłumaczyła wszystko najlepiej jak umiała. Obok stacji jest kiosk, w zimie nieczynny, najważniejsze to iść od kiosku w prawo, wtedy od razu trafia się na właściwą przesiekę. A z przesieki, to trzecia ulica po lewej stronie, tak się nawet nazywa, Trzecia Zielona, tylko tabliczki nie ma, dzieciaki jeszcze latem zerwały. Dacza numer dwadzieścia sześć, numer napisany jest na furtce. Daczę łatwo poznać po sztachetach. Obok stoi szczelny parkan z desek, dalej też jest taki sam parkan, a między nimi sztachety, to właśnie dacza Wiery. Ale najważniejsze to iść w prawo od kiosku. Michaił Jurijewicz stał przed nią w śniegowcach, w wysokiej futrzanej czapce, poważny i dostojny w swoich staroświeckich binoklach, a równocześnie, gdy wyobraziło się go człapiącego przez błotnistą i bezludną osadę — całkiem bezbronny. Będzie szukać całą noc, a przecież jutro rano musi iść do pracy.

Spojrzała na zegarek i przeraziła się — kwadrans po dziewiątej! Dyżurny sklep zamykają o dziesiątej.

Tramwaj był zatłoczony, Zofia Aleksandrowna wsiadła na przedni pomost drugiego wagonu, trudno, niech ją ukarzą, zapłaci, byle nie wysadzili, nikt jej jednak nie karał, podała pieniądze za przejazd i została na pomoście. Myślała o tym, ile to jeszcze spraw ma do załatwienia po powrocie ze sklepu, co zrobić z walizką, nie wie gdzie mogą być kluczyki, czy zamek działa, dawno już nie używała tej walizki. A bez zamka ani rusz, Sasza może jechać z kryminalistami, obrabują go ze wszystkiego.

Na myśl, że Sasza może jechać w towarzystwie kryminalistów, że mogą go okraść, skrzywdzić, pobić, znów odczuła całą skalę nieszczęść, które spadły na jej syna: napiętnowany, zaszczuty, otoczony pogardą, pozbawiony wszelkich praw.

Moskwa, przez którą jechała, cała ta piątanina ulic, placów, aut, wystaw, tramwajów, wydawała się jej czymś nieprawdopodobnym. Wszystko było w ruchu, pędziło dokądś, nierealne, nienaturalne, mgliste jak koszmarny sen, jakieś figury woskowe, manekiny zalane mlecznym tramwajowym światłem.

Wreszcie Ochotnyj Riad, wysiadła. Za kwadrans dziesiąta. Z przystanku widziała ruch w drzwiach dyżurnego sklepu. Otwarty! Ruszyła w tamtym kierunku, zasapana od szybkiego marszu. Gdy podeszła bliżej, zobaczyła skłębiony przy wejściu tłum, do środka już nie wpuszczali, ludzie klęli, źli, że spóźnili się o jakieś pół minuty. Niektórzy usiłowali wepchnąć się do środka, ale nie mogli. Gruba ekspedientka trzymała drzwi.

Zofia Aleksandrowna również chciała wcisnąć się do środka, nie dała jednak rady. Krewki, choć niezbyt liczny tłumek napierał na nią ze wszystkich stron. Potem ludzi zaczęło ubywać, ze sklepu wychodziło coraz mniej klientów, wewnątrz przygaszono światła. Powoli tłumek rozproszył się. I tylko Zofia Aleksandrowna nie odchodziła. Za każdym razem, gdy ekspedientka uchylała drzwi, prosiła o wpuszczenie.

Ekspedientka — miała tęgą, czerwoną, odmrożoną twarz — powtarzała grubym głosem.

— Matka, idźcie stąd, nie marudźcie!

— Bardzo panią proszę, niech pani będzie tak dobra...

Ze sklepu wysypała się grupka rozbawionych młodych ludzi, jakiś chłopak zawołał czystym, dźwięcznym głosem:

— Wpuśćcie babcię po pół litra!

I roześmiane towarzystwo pomknęło w stronę Ochotnego Riadu.

— Bardzo panią proszę, przecież jeszcze otwarte — błagała Zofia Aleksandrowna.

Ekspedientka nie zwracała na nią uwagi, przywykła już do takich upartych, co wieczór to samo, przyłażą, marudzą, dopóki na drzwiach nie zawiśnie kłódka.

— Gdzie leziesz! Odejdź od drzwi!

Sprzątaczki zamiatały podłogę, rozsypywały żółte trociny, sprzedawczynie zdejmowały towar z lad, śpieszyły się. Zofia Aleksandrowna stała nadal. Ekspedientka wypuściła ostatniego klienta i zeszła z posterunku. Zofia Aleksandrowna pchnęła drzwi i weszła do środka.

— Gdzie?! — podbiegła do niej gruba ekspedientka.

— Nie wyjdę — cicho powiedziała Zofia Aleksandrowna.

— Zaraz posterunkowego wezwę!

— Ja dla syna, do więzienia — Zofia Aleksandrowna patrzyła w tę ordynarną, czerwoną twarz, twarz przekupki, sprzedającej na mrozie pierożki i eskimo. — Jutro go wywożą, muszę mieć coś dla niego na drogę.

Ekspedientka westchnęła.

— Wszyscy łżą, wszyscy coś tam gadają. A nam przecie też się należy odpocząć.

Zofia Aleksandrowna milczała.

Kobiety wkładały już płaszcze, zapinały torby.

— Michiejewa, obsłuż! — przez cały sklep zawołała ekspedientka.

Przyjechała Polina, a już zupełnie w nocy zjawiła się Wiera w towarzystwie Michaiła Jurijewicza, przywiozła buty. Miały co prawda rozmiar czterdziesty pierwszy, a nie czterdziesty, ale i tak były dobre.

— Żadne tam chromowe wyjściowe buciczki, tylko mocne, solidne, do marszu i do roboty — mówiła Wiera. — Na wełnianą skarpetę dać, i będzie idealnie — ciepło, wygodnie.

Oprócz butów Wiera przywiozła worek turystyczny z szerokimi szelkami, można było nawet regulować ich długość.

— Jedzenie do worka, rzeczy — do walizki.

Wśród swoich sióstr Wiera była osobą najbardziej energiczną i sprytną, właśnie na taki podmiejski, podmoskiewski sposób. Mąż — myśliwy i wędkarz, dzieci — narciarze i turyści, mieszkali na daczy, zajmowali się sadem i ogrodem. „Za bardzo jesteś potulna" — powtarzała Wiera Zofii, nalegając w swoim czasie by ta rozeszła się z mężem. Występowała w obronie siostry, kłóciła się w Pawłem Nikołajewiczem, nie znosiła jego uwag, i w końcu w ogóle przestała bywać u Pankratowów.

Wiera spakowała wszystko sama — zgrabnie i umiejętnie, kazała dołączyć widelec, łyżkę, nóż i kubek. Zofia Aleksandrowna zupełnie zapomniała o tych rzeczach, o brzytwie też zapomniała, spakowała tylko to, co zazwyczaj wysyłała w paczkach, a to są rzeczy na drogę, teraz można zapakować wszystko, teraz wszystko jest już dozwolone.

— Nie dawaj za dużo pieniędzy — radziła Wiera — mogą ukraść w drodze, potem wyślesz, już na miejsce. Na widzeniu powiedz mu: jak dojedzie, niech od razu zadepeszuje, wtedy wyślesz pieniądze na poste restante. Nic mu nie będzie, wytrzyma, jest młody!

Uspokajały nie tylko słowa, uspokajała przede wszystkim zorganizowana działalność Wiery, jej energia, zapobiegliwość, było w tym życie, i w życie wyprawiało Saszę.

30.

Nina nie zwróciła uwagi na światło, palące się w oknach Zofii Aleksandrowny, a Waria zauważyła je od razu — Waria wszystko zauważała. Światło nie zaniepokoiło jej jednak. Zofia Aleksandrowna czasem przez całą noc nie może zasnąć, sama o tym mówiła. Myśli zała tylko zgasić światło i szybko iść spać — jutro do pracy.

Rano zostawiła na stole karteczkę do wychowawczyni Warii — „Proszę o zwolnienie Warii Iwanowej po trzeciej godzinie lekcyjnej w ważnej sprawie rodzinnej". Sprawa rodzinna— to było odprowadzenie Maksa i Serafima. Dziś jednak Waria w ogóle nie myślała o szkole. Chciała wyglądać elegancko. Wyjeżdżają absolwenci szkół wojskowych, na dworcu będzie mnóstwo odprowadzających, będą tamte ładne i dobrze ubrane dziewczyny, które widziała w Domu Armii Czerwonej, i Waria miała ochotę być ubraną nie gorzej od nich, wyglądać na dorosłą i poważną, przecież też odprowadza swojego przyszłego męża. Żadnej czerni, coś poważnego, a równocześnie rzucającego się w oczy. Trzeba też przeczesać włosy, zrobić makijaż, a wychodząc ze szkoły po trzeciej lekcji nie zdąży, uczy się na popołudniowej zmianie.

Naprędce przyszykowała obiad dla Niny, wzięła podręczniki i poszła do Zoi. Zoja też machnęła ręką na szkołę, została pomóc Warii w układaniu włosów i w zawijaniu rzęs. Pożyczyła przyjaciółce modne botki z metalowymi sprzączkami, i rzecz najważniejszą — matczyne futro z selskinów, w którym mama od czasu do czasu pozwalała jej pokazać się na ulicy. Gdy Waria włożyła selskiny Zoja orzekła, że wygląda w tym wstrząsająco — dorosła, postawna dama w eleganckim futrze, w modnych botach i w białej chustce, która zresztą też była własnością mamy Zoi.

Przed piątą Waria zakończyła przygotowania i zadzwoniła do Niny.

— Przyjdę prosto na przystanek.

— Skąd dzwonisz?

— Ze szkoły.

Na przystanku zjawiły się równocześnie. Nina nie poznała siostry...

— Co to za maskarada?

— Szatnia była zamknięta, wzięłam futro i chustkę Zoi.

— A Zoja?

— Weźmie moje.

— Gdzie masz książki?

— Zostawiłam w ławce, przecież nie będę ich taszczyć na dworzec!

Szatnia podczas lekcji rzeczywiście mogła być zamknięta, ale Waria i tak kłamie: zamknęliby i rzeczy Zoi, o ile faktycznie to jej futro. Nina nie miała jednak ochoty na wypytywania i dochodzenie prawdy: Waria nie jest już dzieckiem, wkrótce wyjdzie za mąż, i dobrze, że wyjdzie za Serafima, porządny chłopak, niech dziewczyna urządza własne życie jak chce, i swojego Serafima też niech odprowadza jak chce.

Na dworcu panował ruch, peron zatłoczony był ponad wszelką miarę. Nina i Waria bezradnie zatrzymały się przy wejściu, ale Maks i Serafim już biegli w ich stronę, machali rękami, po chwili wszyscy razem ruszyli wzdłuż pociągu do ich wagonu, przeciskali się przez tłum, bojąc się pogubić wśród ludzi — też śpieszących się, też szukających swoich bliskich, wśród mężczyzn, kobiet z węzełkami pełnymi podarunków na drogę; wśród dziewcząt z kwiatami, obejmujących i całujących tych wspaniałych chłopców, świeżo upieczonych dowódców Armii Czerwonej w bluzach ściągniętych skórzanymi pasami, bez czapek, czapki i szynele zostały w wagonach... Młodość, radość, tężyzna, a równocześnie powaga — to właśnie groźna zbrojna siła państwa radzieckiego. I Nina rozumiała, że ci dziarscy chłopcy o rumianych policzkach pierwsi pójdą w bój, pierwsi przyjmą na siebie każde uderzenie. Pomyślała, że jej miejsce jest przy Maksymie, takim silnym, spokojnym. Gdy odjedzie, będzie jej brakowało tego spokoju, tej dobrodusznej pewności.

Waria tymczasem rozkoszowała się zakochanym spojrzeniem Serafima i spojrzeniami jego kolegów. Jest tu najpiękniejsza, nieoczekiwanie wysoka, prawie tak wysoka jak Nina. I nikt nie ma tak szykownego futra, takiego szala. Zaróżowiła się, podniecona dworcowym rozgardiaszem, gwizdami i sapaniem parowozów, wzywających w długą, nieznaną i pełną obietnic drogę.

Maks powiedział jej, że wygląda jak aktorka, Serafim szepnął, że kocha ją nad życie, i nawet Nina uśmiechnęła się dumna, że ma taką siostrę.

Jak przystało dorosłej kobiecie, Waria patrzyła tylko na swoich, na Ninę, Maksa i Serafima, na nikogo więcej, żeby nie pomyśleli, że strzela oczami. Jeżeli nawet rozglądała się dokoła, to tak zwyczajnie, przypadkowo, po prostu obrzucała roztargnionym wzrokiem pociągi i ludzi spieszących do pociągów.

I gdy popatrzyła tak na sąsiedni peron, zobaczyła Saszę.

Szedł między dwoma żołnierzami, przodem kroczył niski dowódca w długim szynelu, niecierpliwe roztrącał tłum, a za nim, między dwoma żołnierzami szedł Sasza z workiem podróżnym na plecach i walizką w ręku.

Poczuł, że ktoś na niego patrzy, obejrzał się, i wtedy zobaczyła kredowobiałą twarz okoloną czarną, wijącą się jak u Cygana brodą. Sasza prześliznął wzrokiem po odjeżdżających absolwentach, po Maksie, Ninie, po Warii, ale nie poznał nikogo, odwrócił głowę i poszedł dalej, do pociągu stojącego gdzieś na innym peronie. Za Saszą i żołnierzami, przed nimi szli podróżni z walizkami, workami, teczkami, spieszyli się, wyprzedzali ich, grupka szybko zginęła w tłumie.

A Waria wciąż wpatrywała się w miejsce, w którym zniknął Sasza. Nie słyszała dzwonka, nie widziała jak wszyscy zaczęli się żegnać, jak Nina pocałowała Maksa w czoło, nie widziała jak czuli się do niej i zaglądą jej w oczy Serafim.

— Waria, obudź się! — powiedziała Nina.

— Widziałam Saszę.

— Co ty bredzisz? — krzyknęła Nina rozumiejąc nagle, że Waria mówi prawdę.

— Prowadzili go pod strażą, miał brodę — mamrotała Waria nie odrywając oczu od sąsiedniego peronu, może Sasza wciąż jeszcze idzie w tym tłumie biegnących, objuczonych walizami i tłumokami ludzi, może wciąż jeszcze idzie, i będzie mogła go zobaczyć... — Miał brodę, miał brodę jak staruszek.

Zachłystywała się łzami.

— Zupełnie, zupełnie jak staruszek...

— Przestań, coś ci się pomyliło — powiedziała Nina. Jej głos drżał.

Zdenerwowany Maksym dodał siląc się na spokój:

— Mylisz się, tak nie mogą go wywozić.

— Nieprawda! To był on... — powtarzała łamiącym się głosem. — Poznałam go... Obejrzał się i popatrzył — taki zupełnie biały, zupełnie stary...

Serafim niepewnie wyciągnął do niej rękę.

— Do widzenia, Wariu.

— Biały, biały jak trup — zawodziła Waria. — I niesie walizkę, oni idą, a on niesie...

Speszony, czerwony na twarzy Serafim pocałował ją w mokry od łez policzek, po którym spływały czarne smugi tuszu.

Pociąg ruszał powoli, absolwenci wisieli na stopniach, tłoczyli się na platformach, machali rękami, odprowadzający też machali rękami, wykrzykiwali jakieś rady na drogę, szli obok pociągu. I Maks machał ręką, i Serafim machał.

A Waria stała na środku peronu, płakała, wycierała twarz chusteczką, rozmazywała tusz, zanosiła się szlochem, przełykała łzy. Wystraszona i wstrząśnięta Nina próbowała ją uspokoić.

— Przestań, nic się już nie poradzi, pojedziemy do Zofii Aleksandrowny, wszystkiego się dowiemy.

Przechodząca obok staruszka przystanęła, popatrzyła na Warię i pokiwała głową ze współczuciem.

— Płaczą dziewuchy za żołnierzykami.

Koniec części I

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

„ZAUFAJ JEHOWIE"

Po opublikowaniu w 36 numerze „Odgłosów" artykułu Andrzeja Karolczaka pt. „Zaufaj Jehowie" wpłynęły listy i odwiedzili autora Świadkowie Jehowy, wyrażając zastrzeżenia i uwagi na temat tej publikacji. Wśród nadesłanych listów jeden był adresowany do Andrzeja Karolczaka, drugi do Lucjusza Włodkowskiego. Ponieważ — jak się można zorientować z listów i wypowiedzi — artykuł Andrzeja Karolczaka wywołał pewne nieporozumienia, zdecydowaliśmy się na publikację tych listów, dając jednocześnie adresatom możliwość odpowiedzenia na zarzuty.

LIST DO ANDRZEJA KAROLCZAKA

Z dużym zainteresowaniem zabrałem się do czytania pańskiego artykułu pt. „Zaufaj Jehowie" zamieszczonego w nr 36 z 5 września 1987 r. Dość ciekawie się rozpoczyna, potem zawiera krótką relację z trzydniowego zgromadzenia Świadków Jehowy, które w dniach 7—9 sierpnia 1987 r. odbyło się na stadionie SKS „Start" w Łodzi, oraz wyraża Pan w nim kilka pozytywnych opinii o samych Świadkach Jehowy. Dalsza jednak jego lektura wywołała u mnie i u wielu innych czytelników (w tym także osób nie będących Świadkami Jehowy) co najmniej mieszane uczucia. Znalazło się w nim sporo nieścisłości, wypaczających rzeczywisty obraz tej społeczności religijnej, zaś niektóre są wręcz krzywdzące i społecznie szkodliwe. Być może jest to wynik korzystania przez Pana ze źródła informacji opublikowanego w okresie, kiedy o Świadkach Jehowy wyrażano opinie tendencyjne, zabarwione podejrzliwością z lat pięćdziesiątych.

Nie będę polemizował ze wszystkimi szczegółami, które odbiegają od rzeczywistości, ustosunkuję się tylko do tych najistotniejszych, szczególnie zaś do części piątej artykułu.

Każdy, kto chociaż raz uważnie wysłuchał Świadków Jehowy wie, że najważniejszym dla nich zadaniem jest ogłaszanie dobrej nowiny o Królestwie Bożym z władzą Jezusa Chrystusa. Powtórne przyjście Jezusa już jako Króla, ale w sposób niewidzialny, miało miejsce w 1914 r. a nie jak w artykule w 1874 r. Sam Jezus Chrystus powiedział, co miało o tym świadczyć, „Będziecie słyszeć o wojnach i o pogłoskach wojennych (..) powstanie bowiem naród przeciw narodowi i królestwo przeciw królestwu. Będzie głód i zaraza, a miejscami trzęsienia ziemi. A ta ewangelia o Królestwie będzie głoszona po całej ziemi na świadectwo wszystkim narodom. I wtedy nadejdzie koniec". — Ewangelia według św. Mateusza, rozdział 24, wersety 6, 7, 14. Pierwsza wojna światowa i następujące po niej wydarzenia były i są spełnieniem tych proroczych zapowiedzi.

Świadkowie Jehowy rzeczywiście już teraz uważają się za poddanych Króla Jezusa Chrystusa. Z tego głównie powodu przejawiają takie cechy jak: łagodność, ustępliwość, wystrzeganie się wszelkich nałogów, czy też tak nieczęsto dziś spotykaną pracowitość, co istotnie zauważa Pan w części szóstej artykułu.

Jednak w części piątej można przeczytać, że Świadkowie Jehowy twierdzą, jakoby wszelka władza na ziemi pochodziła od Szatana oraz, że antypaństwowość jest przykazaniem o najwyższej wartości moralnej, narzucającym wrogi stosunek do wszelkiej władzy a także do kultury narodowej. Trudno Świadkowi Jehowy pogodzić się z takimi zarzutami. Przecież nie kto inny jak ta właśnie społeczność ma pełny szacunek do władzy, jaka istnieje. Wynika to przecież z nauk Biblii. W biblijnej księdze —List ap. Pawła do Rzymu rozdział 13, wersety 1 i 2 jest napisane: „Każdy niech będzie poddany władzom, sprawującym rządy nad innymi. Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga, a te, które są zostały ustanowione przez Boga. Kto więc przeciwstawia się władzy przeciwstawia się porządkowi Bożemu". A sam Jezus Chrystus powiedział dobrze znane słowa: „Co należy do Cezara, oddajcie Cezarowi, a to co jest Boże, oddajcie Bogu". Zgodnie z tym Świadkowie Jehowy okazują pełny szacunek dla władzy kraju, w którym mieszkają. Jednak jako poddani Królestwa Bożego są neutralni wobec wszelkiej działalności politycznej. Taka ich neutralna postawa nieraz była źle zrozumiana. Z tego powodu byli jednymi z pierwszych ofiar hitlerowskiego nazizmu, faszystowskiego reżimu Franko w Hiszpanii, czy też „czarnych pułkowników" w Grecji. Taka ich postawa wzbudziła podziw i szacunek u szczerych i uczciwych obserwatorów.

Co zaś się tyczy stosunku do kultury narodowej, czytania dzieł literatury, to jest to przecież sprawa osobista każdego człowieka. Nawet sam ap. Paweł przytaczany powyżej, w swej działalności ewangelizacyjnej przytaczał wypowiedzi greckich poetów.

Mam nadzieję, że tych kilka informacji pozwoli Panu uzyskać pełniejszy obraz społeczności religijnej Świadkowie Jehowy.

JAN SALTARIUS

ODPOWIEDŹ ANDRZEJA KAROLCZAKA.

Przyznaję się do merytorycznego błędu: napisałem mianowicie, że powtórne przyjście Chrystusa na świat miało miejsce w roku 1874, podczas gdy Świadkowie Jehowy głoszą, iż nastąpiło to w roku 1914. Pomyłka wzięła się stąd, że pierwszą datę uznają inne grupy Badaczy Pisma Świętego, które — podobnie jak jehowici — uważają za swego założyciela Charlsa Taze Russela. Błąd jest w tym kontekście — mam nadzieję — wybaczalny. Ciekawe, że również data strącenia na ziemię Szatana jest w moim artykule (w wyniku błędu korektorskiego) podana błędnie. Jednak moi adwersarze nie protestują. Czyżby samo przebywanie Szatana na Ziemi, o którym mówi doktryna Świadków Jehowy, było czymś wstydliwym lub kłopotliwym?

Ze słuszną dumą mój korespondent pisze o prześladowaniach i nieugiętej postawie swych współwyznawców w okresie hitleryzmu. Ta postawa — żeby postawić kropkę nad i — nie wynikała przecież z patriotyzmu ani antyfaszyzmu. Była wynikiem doktrynerskiej, programowej antypaństwowości i kosmopolityzmu. Można obrazowo powiedzieć, że Świadkowie nie schylili głowy przed swastyką. Ale czy schylili ją kiedykolwiek przed Orłem Białym? Bez względu na to, czy koronowanym czy nie...

„Patriotyzm — pisał Rutheford jeszcze w roku 1917 — pochodzi po prostu od diabła".

Oczywiście, passus o czytaniu Mickiewicza i Sienkiewicza napisałem ze świadomą przesadą. Jestem przekonany, że Świadkowie Jehowy czytają dzieła literatury narodowej. Czy jednak pozostają w tym zgodni z doktryną, to rzecz co najmniej dyskusyjna.

Dziękując za listy, pragnę jednocześnie przeprosić tych Czytelników, których uczucia religijne mimowolnie dotknąłem. Oświadczam, że nie było moim celem szkalowanie, znieslawianie czy obrażanie Świadków Jehowy ani w jakimkolwiek stopniu szkodzenie tej grupie wyznaniowej. Przeciwnie, swoją postawą zdobywają sobie oni powszechne uznanie, o czym sreszta pisałem.

ANDRZEJ KAROLCZAK

LIST DO LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO

Muszę przyznać, Panie Redaktorze, że dotąd chętnie sięgałem po „Odgłosy" uważając to czasopismo za przekaz rzetelny i godny zaufania. Niestety, artykuł Andrzeja Karolczaka pt. „Zaufaj Jehowie" z nr 36 z 5 września 1987 r. udowodnił, że na jego łamach można spotkać się i z najgorszą w swoim rodzaju szmirą. Cóż to miało być, na Boga? Sądząc po tytule, autor zamierzał zdać sprawozdanie z Kongresu Świadków Jehowy, bo pod takim właśnie hasłem zgromadzali się przez 3 dni ci nienaganni ludzie. Niestety, wyszedł z tego paszkwil wypełniony urojeniem chorego, bo pełnego nienawiści i szyderstw człowieka. Zapewniam Pana, Redaktorze, że gdybym był Świadkiem Jehowy, zaskarżyłbym Andrzeja Karolczaka o zniesławienie i potwarz, ale oni, o ile ich znam na pewno tego nie uczynią, bo opierając się całkowicie na nauce Chrystusa — osąd pozostawią Bogu.

Mając przyjaciela Świadka Jehowy dość dobrze orientuję się w ich chrześcijańskiej doktrynie, toteż włosy zjeżyły mi się na głowie, gdy czytałem brednie pańskiego pracownika. Zupełnie pomyliły się biedakowi fakty i daty, a już całkiem nie fair z jego strony było przytoczenie o nich niedorzecznych plotek nie mających w rzeczywistości żadnej racji bytu. Sprawę współpracy z obcym wywiadem dawno już wyjaśniono i dziś nawet dziecko wie, że to duchowieństwo katolickie politykuje i oczernia jak może nasz biedny kraj. A jeśli już mowa o uprawianiu kultów i ceremonii pogańskich, to świadkowie nie wypatrują na drzewach i szybach świętych postaci, nie modlą się do przydrożnych figurek i nie zawracają, gdy kto im przebiegnie drogę, a czynią to wyśmienicie wierni Kościoła powszechnego.

Ceremoniał Świadków Bożych jest prosty, zgodnie z zaleceniem Jezusa oddają oni cześć Bogu-Ojcu w „duchu i w prawdzie". Może Pan podszepnie p. Karolczakowi, aby odszukał „Odgłosy" nr 32/86 i przeczytał sobie świetny artykuł kolegi po fachu St. Kawczyńskiego „Nie tylko Z. Kałużyński oskarżał Kościół o wypaczenie nauki Jezusa Chrystusa", w którym zamieszczono wspaniałe refleksje Lwa Tołstoja, że „istotą prawdziwej religii jest etyka, natomiast wszystkie fałszywe wyznania koncentrują uwagę wiernych na dogmatach i obrzędach" oraz, że „nauka Chrystusa polega nie na modlitwach, mszach, świecach i obrazach, lecz na tym, by ludzie miłowali się, nie odpłacali złem za złe, nie osądzali i nie zabijali się wzajemnie".

Andrzej Karolczak kpi ze Świadków Jehowy, że są nieustępliwi w sprawach wiary, lecz na Boga, czyż nie mają racji? Wszak chrześcijan nadal obowiązuje religia, którą założył Chrystus, a nie religia, którą założyli i formowali przez całe wieki ludzie w oparciu o dogmaty i nauki wysnute z własnej filozofii.

Jeśli Andrzej Karolczak twierdzi, że według Świadków Jehowy czytanie „Pana Tadeusza", „Iliady" czy „Trylogii" (cóż za brednie!!!) jest grzechem, to jak wielkim grzechem wobec Boga musi być oczernianie ludzi tak bogobojnych. Zastanawiam się, skąd u tegoż redaktora tyle nienawiści i uprzedzenia do ludzi świadczących na rzecz Boga? Może jest zagorzałym ateistą? W takim razie jest biednym człowieczkiem bez żadnej nadziei. Pytam czy to źle, że są jeszcze na świecie ludzie, którzy znają Boga, w którego wierzą i mu ufają? Biblia mówi, że „wiara bez uczynków jest martwa", a po tych właśnie uczynkach rozpoznawani są Świadkowie Jehowy. I za to ich podziwiam, Redaktorze, bo ja chociaż wiem, że mają rację, jestem zbyt słaby, by swoje życie ułożyć ściśle według praw Bożych. Czy właśnie za to należy im się taka porcja kpin i szyderstw?

A może Andrzej Karolczak chciał tym artykułem przypodobać się panom w sutannach, którzy dbając o swoje finansowe interesy namiętnie szkalują tych chrześcijan? Być może artykuł ten powstał przy współpracy z klerem, lecz niech pański pracownik nie liczy na odpuszczenie grzechów, bo według Biblii grzechy może odpuścić tylko sam Bóg.

Uważam, Redaktorze, że jeśli A. Karolczak podjął się tak delikatnego tematu, jak religia, a więc wiara w Boga, nie powinien drwić z ludzkich uczuć ani fałszywie interpretować danych. W tym przypadku obowiązuje go również znajomość Biblii, tej jeśli nie najstarszej (jak twierdzi) to z pewnością najpoczytniejszej księgi świata. Przyzna Pan, że jeśli ktoś pisze coś, o czym nie ma pojęcia, ośmiesza nie tylko siebie, ale i swoich przełożonych. Uważam, że jeśli Andrzej Karolczak nie zauważył na tymże zgromadzeniu nic szczególnego i godnego uwagi, mógł poprzestać na suchym sprawozdaniu, bo wulgaryzowanie tematu zawsze pozostawia po sobie pewien niesmak.

Łączę pozdrowienia, mając jednocześnie nadzieję, że w przyszłym roku na podobną uroczystość zechce Pan delegować kogoś bardziej odpowiedzialnego, to jest mniej stronniczego i rzetelniej oddającego prawdę.

LESZEK STELCZECH

ODPOWIEDŹ LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO.

Jest zasadnicza różnica między listem Jana Saltariusa i listem Leszka Stelczecha. Jeśli ten pierwszy polemizuje z autorem, to posługuje się argumentami, konkretnie wykazuje, gdzie i jakie błędy Andrzej Karolczak popełnił. Natomiast Leszek Stelczech przeciwnie — obrzuca autora inwektywami i insynuacjami. Gdyby Andrzej Karolczak był rzeczywiście mściwy i nienawidził Świadków Jehowy, to by Leszka Stelczecha zaskarżył do sądu o zniesławienie. Trudno bowiem w jego artykule doszukać się nienawiści czy szyderstwa.

Ale jest też coś, co oba listy łączy. Otóż obaj autorzy listów chcieliby, aby o Świadkach Jehowy pisać z pozycji... Świadków Jehowy. Jest to absurd wypływający chyba jedynie z braku tolerancji i błędnego rozumienia pluralizmu. Polska szczyci się tym, że jest państwem laickim, że nastąpił rozdział między państwem a kościołami — choć chodziło przecież o jeden kościół przede wszystkim — że wszystkie wyznania i religie traktuje jednakowo. Polska stwarza możliwości wyznawania religii wiernym różnych kościołów i członków wyznaniowych, uważając, że sprawy wiary są sprawami osobistymi każdego człowieka.

Autorzy listów — a przede wszystkim Leszek Stelczech — zapomnieli już, że nie tak odległe są czasy, gdy o Świadkach Jehowy pisano źle, a znacznie bliższe są te, kiedy nie nie pisano i również na zgromadzenia nie pozwalano. Jeśli więc dziś państwo inaczej, właściwiej odnosi się do Świadków Jehowy, to chyba naturalną też sprawą jest i to, że ludzie innych wyznań, a także ateiści powinni coś na ten temat wiedzieć. Skoro uprawiamy otwartą politykę informacyjną, to powinno być rzeczą zrozumiałą, że chcielibyśmy również informować o tym, co się dzieje na stadionie „Startu", gdy tam spotykają się Świadkowie Jehowy. I to były, są i będą jedyne motywy, jakimi kierowaliśmy się i będziemy się kierować w przyszłości informując o życiu, zwyczajach i doktrynach różnych wyznań i kościołów. Nie mieliśmy i nie mamy żadnych innych intencji czy celów, które nam imputuje Leszek Stelczech.

Jest też rzeczą zrozumiałą i — przynajmniej dla mnie oczywistą — że autorzy artykułów o różnych wyznaniach i kościołach mogą popełniać takie czy inne błędy rzeczowe, gdyż jest to wiedza rozległa, skomplikowana, a materia delikatna i o mimowolny błąd lub niezrozumienie łatwo. Do błędów wszakże, jeśli je popełniamy — jak to miało miejsce z Andrzejem Karolczakiem — przyznajemy się. Do innej interpretacji faktów zastrzegamy sobie prawo, choć to się może komuś nie podobać. Staramy się — przynajmniej niektórzy z nas — aby ta interpretacja była dokonywana z pozycji marksistowskich.

Na koniec prośba do wszystkich ewentualnych i przyszłych korespondentów nie tylko w powyższej sprawie — dyskusję na ten temat bowiem zamykamy publikacją niniejszych listów — aby zechcieli częściej używać argumentów, a rzadziej insynuacji i inwektyw, albo wręcz z nich dla dobra sprawy zrezygnowali. Wiem, że o argumenty nieraz trudno. Ale istota tolerancji polega na tym, że się człowiek stara zrozumieć sposób myślenia i postępowania innych, a nie zwalcza wszystko, co sprzeczne jest z tym, co sam myśli i czyni.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ROK WALKI O CZYSTOŚĆ JĘZYKA?

Świadom faktu, że naród żyje, póki jego język żyje, a ponadto „podniecony decyzją resortu oświaty, że bieżący rok szkolny jest rokiem walki o czystość języka ojczystego", ośmielam się do tego twardego boju — oby nie z wiatrakami — włączyć. Jest faktem i tego nie da się ukryć, że niektóre błędy językowe są tak rozpowszechnione, tak się panoszą, że zdarzają się nawet w tekstach oficjalnych zarządzeń i obwieszczeń, że o różnorakich tablicach informacyjnych nie wspomnę. Moim zdaniem jest to karygodne, gdyż ludzie czytając te teksty uczą się błędnych form językowych.

Żeby nie być gołosłownym przytoczę dawno już skompromitowany, a jednak ciągle widoczny przy drogach napis: „Kierowco, przestrzegaj przepisy drogowe!". Napis komiczny, bowiem „przestrzegaj przepisy" znaczy tyle samo, co „udzielaj przestrogi przepisom", czy „informuj przepisy" a jednak większość czytających nie zauważa błędu, nie śmieje się z autorów tegoż napisu i to wcale już nie jest do śmiechu.

Powszechnym wręcz pytaniem w tłumie ludzi przed sklepem mięsnym, po uprzednim zerknięciu do torby czy koszyka szczęśliwego nabywcy kartkowego przydziału, jest: „Na ile ta kiełbasa?" i szybka, ale błędna odpowiedź, że po 700—800 zł, zamiast poprawnej, że na trzy—cztery dni, a więc zgodnej z sensem pytania. I tak pół żartem, pół serio rzecz traktując „nie rozchodzi mi się, że muszę już stać na miesnym za kiełbasą", bo rozejść się może tylko zbiorowość, np. tłum, a i na dach sklepu mięsnego nie wejdę ze względu na wiek. Zresztą i po co, skoro kiełbasa w kolejce stać nie może.

Natomiast całkiem poważna obserwacja współczesnej polszczyzny skłania mnie do smutnego wniosku, że ewolucja języka może doprowadzić z czasem do uznania za powszechnie obowiązujące — formy mowy potocznej, a to już jest groźba powalenia w gruzy historycznym rozwojem języka uwarunkowanych form, reguł i zasad gramatyki

Wspomniałem już, że obojętność na niechlujstwo językowe rozplenia się tak dalece, że nawet wieloosobowe, zapewne bardzo poważne autorytetem swych członków i wyspecjalizowane gremia nie panują nad sytuacją. I znów konkretny przykład do wianuszka z oślej łączki. Otóż mam przed sobą kolorowy afisz okolicznościowy, który został rozklejony — sądząc po nakładzie — przynajmniej w 70—80 różnych punktach miasta Zgierza i w przyległych do miasta wioskach, a który zawiera program dożynek w gminie Zgierz. Na pierwszy rzut oka afisz jakich wiele, ale to tylko na pierwszy rzut oka, gdyż bardziej szczegółowa lektura tegoż ogłoszenia pozwala na wyłowienie aż dwóch błędów i jednej poważnej wątpliwości do wyjaśnienia.

Po pierwsze — KOMITET OBCHODÓW ŚWIĘTA PLONÓW — 1987 informuje, że dożynki odbędą się w miejscowości Biała i od biedy brak litery „a" w wyrazie „miejscowość" można potraktować jako jeszcze jedną złośliwość chochlika drukarskiego. Nie ma jednak żadnego usprawiedliwienia dla Komitetu, gdyż nikt nie dokonał korekty, a ogłoszenia z tym błędem zostały rozklejone. Po drugie — z uwagą wysłucham wyjaśnień Autorów programu dożynek, które rozwieją moje wątpliwości, dlaczego z związku wyrazów „loteria fantowa" użyli wielkich liter. Po trzecie — program informuje, że o godz. 15.00 odbędzie się wręczenie chleba i „wieńcy dożynkowych" i ten błąd wystawia Autorom jak najgorsze świadectwo.

Szybki wykład, że dopełniacz liczby mnogiej rzeczowników męskich miękkotematycznych jest tworzony według modelu, który by można nazwać alternatywnym, a mianowicie: temat fleksyjny plus końcówka „-ów" albo „-i(y)", a ponadto, że społeczny zwyczaj językowy zaaprobował jako jedynie poprawne postaci dopełniacza liczby mnogiej formy z końcówką „-i(y)" od jednych wyrazów, np. gości, pni, żołnierzy, graczy, formy zaś z końcówką „-ów" od innych, np. placów, marszów, wieńców itp., na nic się pewnie zda, gdyż Komitet, oczywiście ten od obchodów Święta Plonów — 1987, dawno już przestał istnieć i kogo dziś mogą interesować „drobiazgi" przeze mnie prezentowane.

Piszę jednak z wiarą, że kogoś zainteresują, bo swoją drogą, ktoś musi być za ten bubel i antypropagandę poprawnej polszczyzny odpowiedzialny. Przecież ten program, którego korektę językową z powodzeniem wykonałaby większość uczniów wyższych klas szkoły podstawowej, musiał przejść przez ręce wspomnianego Komitetu przynajmniej trzykrotnie. Po raz pierwszy, gdy był opracowywany; po raz drugi, gdy był oddawany do drukarni i wreszcie po raz trzeci — przed rozklejeniem w mieście i na wsiach. Plony się w gminie ponoć udały. Dożynki — mimo deszczu — również. Miłośnicy ojczystego języka i ludzie wrażliwi na piękno ojczystej mowy są jednak w defensywie i na ten fakt trzeba w pracy z aktywem zwrócić uwagę. I są to słowa sercem pisane, gdyż na terenie tej właśnie gminy przepracowałem aż piętnaście lat.

STANISŁAW SOWIŃSKI

„RÓŻE NA KLEPISKU"

W związku z notatką prasową „Róże na klepisku" zamieszczoną w „Odgłosach" z dnia 23 maja 1987 r. i przekazaną nam przez Biuro Wycinków Prasowych „Glob" — Ministerstwo Łączności uprzejmie powiadamia, że przeprowadzone wnikliwe postępowanie wyjaśniające potwierdziło w pełni zarzuty zawarte w notatce.

Karygodne zaniedbanie pracownika Upt. Łódź 42, który tłumaczy się trudnością w odczytaniu adresu nadawcy przesyłki z nieczytelnie odbitej pieczątki — spowodowało, że przesyłka nie była doręczona zwrotnie nadawcy i przeleżała w urzędzie ponad 4 miesiące.

W stosunku do winnego pracownika wyciągnięto konsekwencje służbowe z potrąceniem premii włącznie, a jednostki kontroli wewnętrznej zobowiązano do zaostrzenia nadzoru nad pracą tej placówki p-t a także innych placówek łódzkich.

Informując o powyższym Ministerstwo Łączności przeprasza za zwłokę w wyjaśnieniu sprawy spowodowaną urlopem zainteresowanej osoby, a także pragnie zapewnić, że przypadek opisany w notatce „Róże na klepisku", aczkolwiek szczególnie naganny w praktyce pocztowej występuje niezmiernie rzadko i jest wynikiem szczególnego zbiegu okoliczności.

wicedyrektor departamentu
mgr EUGENIUSZ RYCHCIK

TELEFON 36-77-70

Odpowiadając na wasz apel, zamieszczony w numerze 30 w rubryce „masz temat dla reportera" dotyczący pracy w Wydziale Spraw Lokalowych Urzędu Dzielnicowego Łódź-Cen[illegible] uprzejmie informuję, że nie stwierdziłem faktu odkładania jakiejkolwiek sprawy do coraz to innego biurka.

W związku z powyższym proszę o podanie bliższych danych dotyczących sprawy poruszonej w Waszym tygodniku. Jednocześnie nadmieniam, że długie terminy oczekiwania na przydział mieszkania bądź na dokonanie zamiany na lokal większy nie są spowodowane niechęcią pracowników WSL a ogólnie znanymi trudnościami lokalowymi.

kierownik wydziału
mgr ZBIGNIEW KALENBACH

ze str. 1

PERU: Można pomyśleć, że świat zaczął się w XVI wieku, a jego główną postacią był ograniczony choć brawurowy konkwistador i jego Bóg.

Miasto bez deszczu

prysić nie było sensu; znalezienie doliny całkiem bez boga wyglądało na zadanie niewykonalne. Zaniechał dalszych poszukiwań i 6 stycznia 1535 roku tu właśnie postanowił założyć nową stolicę Peru, nazywając ją na cześć dnia, w którym sprawę ostatecznie rozstrzygnął, Ciudad de los Reyes — Miastem Trzech Króli. Dalej poszło już jak po maśle. Do budowy przystąpiono 12 dni później i z pomocą tysięcy pracujących niewolniczo Indian mury, ulice i place zaczęły rysować się w oszałamiającym tempie.

Tylko nazwa się nie przyjęła; jeszcze w pierwszym pokoleniu, czy to zniekształcając słowo „Rimac", czy to mając przed oczami powszechny na tym obszarze bliźniaczo podobny do cytryny — tyle tylko, że nieco od niej mniejszy — owoc, Ciudad de los Reyes zmieniono na jeden, łatwy do wymówienia dla wszystkich wyraz: LIMA.

„Klimat był doskonały; mimo dwunastu zaledwie stopni szerokości południowej łagodziły go chłodne podmuchy, jakie zwykle wieją od strony oceanu albo z przeciwnej strony, od mroźnych szczytów Kordylierów, a więc upał nie dawał się tak bardzo we znaki, jak gdzie indziej pod tą samą szerokością na kontynencie.

Na wybrzeżu nigdy nie padały deszcze, lecz suszy zapobiegały chmury mgły, które zwisały w ciągu miesięcy letnich na kształt opony nad doliną chroniąc ją od promieni tropikalnego słońca i niepostrzeżenie nasycając atmosferę odświeżającą wilgocią, dzięki czemu pola okrywała tu najpiękniejsza zieleń".

Taki opis zamieszczono w słynnej książce Williama Prescotta. Określenie *„najpiękniejsza perła na brzegach Pacyfiku"*, którego Prescott używa w innym miejscu, staranna i planowa budowa od podstaw, pełnienie przez długi czas funkcji stolicy najbogatszego wicekrólestwa Hiszpanii, posiadanie najstarszego uniwersytetu w Ameryce Łacińskiej i wiele innych okoliczności powodują, że kiedy samolot wychodzi z chmur i zbliża się do międzynarodowego lotniska Jorge Chavez, a w dali, w lekkiej mgle, jak na rycinie w „Kronikach" Huamàn Poma de Ayala, rysują się pękate kształty kopuł pozwalając odgadnąć niżej finezyjne łuki krużganków, ma się wrażenie, że razem z dotknięciem ziemi chwyci się za nogi samego Pana Boga.

Wrażenie to zaczyna się jednak powoli rozwiewać już po drodze z lotniska, a niknie zupełnie podczas następnych dni, kiedy mija zmęczenie i oszołomienie podróżą i można sobie pozwolić na mniej więcej trzeźwe spojrzenie.

Stolica Peru przypomina nagromadzenie klocków układanych przez kogoś o raczej miernej wyobraźni, kto w dodatku porzucił pracę daleko przed jej ukończeniem.

Prowizoryczność jest dziś niemal znakiem firmowym dawnego Miasta Trzech Króli począwszy od osiedli byle jak sklecionych baraków, których mieszkańcy mają nadzieję możliwie jak najszybciej przenieść się gdzie indziej, choć najczęściej tu się rodzą i tu umierają, poprzez całe kwartały domów bez tynku i z wystającymi prętami zbrojeniowymi, gdyż ich właściciele w obawie przed podatkami ani myślą kończyć budowy, poprzez domy wprawdzie niby ukończone od dawna, mogące jednak jako tako służyć za mieszkania tylko dlatego, że nigdy tu nie pada, a temperatura nie obniża się poza plus 14 st. Celsjusza, aż do dziur otwierających się niespodziewanie w samym środku metropolii.

Ten drastyczny brak zgodności z precyzyjnymi planami Pizarra ma swoje powszechnie znane przyczyny. Głównie, to olbrzymi napływ do stolicy ludzi szukających tu lepszego życia i brak pieniędzy na inwestycje komunalne. Ludność Limy w ciągu ostatnich 15 lat wzrosła dwukrotnie i żyje w niej aktualnie ponad 1/3 wszystkich Peruwiańczyków, infrastruktura miejska zaś praktycznie nie ruszyła z miejsca.

Nikt też, oczywiście — poza założycielem stołecznego miasta — nie myślał tu nigdy o planowej zabudowie. W rezultacie powstał zawiły konglomerat, przez podobieństwo swych części składowych robiący, szczególnie na przybyszu, wrażenie labiryntu; czasami wydaje się, że już pokazuje się znajoma ulica, albo skwer, a to tylko ich lustrzane odbicie w zupełnie innej części miasta, jeśli zapomni się powiedzieć taksówkarzowi do jakiego centrum ma jechać, pojedzie na główny plac dzielnicy, w której się akurat wsiadło... A co najgorsze ten labirynt nie kryje w sobie ani swojego skarbu, ani swojej bestii.

Naturalnie nie jest on też zbudowany perfekcyjnie, bo prawie nic w Limie nie jest perfekcyjne i już po kilku dniach można nauczyć się rozpoznawania poszczególnych dzielnic, głównie po wysokości cen, ilości ludzi na ulicach i rodzaju oferowanych rozrywek — z najintymniejszymi włącznie.

W Rimac na przykład pali się wykonane z czarnego tytoniu papierosy „Inca", ciężko jest przecisnąć się przez ulicę, nie mówiąc o jeździe samochodem, łatwo natomiast narazić na pchnięcie nożem. Z alkoholi faworyzowana jest najtańsza odmiana „Pisco" zagryzana koką, jeśli zaś chodzi o kwestie płciowe, to wyboru dokonuje się między tanim kinem porno za kilka intis i niezbyt reprezentacyjną panienką za sumę 5—10 razy większą — nie obrażając, oczywiście, kochających żon i mężów.

W Miraflores zaś, albo na Monte Rico, czuć woń „Premierów" i „Hamiltonów", jeżeli już nie „Marlboro", na chodnikach można tańczyć walca angielskiego bez obawy zniszczenia najbardziej nawet zwiewnych toalet, a na jezdniach demonstrować maksymalne osiągi świeżo nabytego samochodu, jeżeli już przyjdzie zginąć, to od kuli, nie ma problemów z nabyciem czystych narkotyków, ceny panienek dochodzą do 2 000 intis, płatnych w dolarach, a na specjalne życzenie wysoko kwalifikowani fachowcy dostarczają do apartamentu nieletniego chłopczyka lub dziewczynkę, co naturalnie także nie dotyczy statecznych matek i ojców rodzin...

Jak więc wyraźnie widać różnice mają charakter drugorzędny: ot po prostu niezbyt błyskotliwy układacz limeńskich klocków tu rzucił więcej starych i odrapanych, tam zaś nowiutkich i błyszczących. Tylko tyle...

Ale nie dla Limeńczyków! Mało gdzie na świecie tak kapitalne znaczenie towarzyskie ma dzielnica, w której się mieszka, mało też gdzie tak rzadko podróżuje się między dzielnicami — jakby nie dzielnice należały do ludzi, ale ludzie do dzielnic. Bo niby po co mieszkaniec Miraflores miałby jechać do Rimac i za co mieszkaniec Rimac spędzałby czas w Miraflores? Każdy robi zakupy, pracuje, załatwia interesy, spaceruje, ogląda film, spotyka się z przyjaciółmi, szuka przyjemności seksualnej, zabija i umiera na własnych śmieciach, w sposób do którego jest przyzwyczajony.

Korzysta zaś na tym wszystkim głównie komunikacja, która przy innym obrocie spraw musiałaby ogłosić upadłość. Już dziś jazda po Limie jest nie lada wyczynem, zarówno na skutek zatkania głównych ulic jak i przypominającego galopowanie mustangiem po prerii sposobu jazdy Peruwiańczyków. Autobusy są przepełnione i aby wysiąść na właściwym przystanku, zachowując portfel, należy wykazać się nieprzeciętną siłą i sprytem. Metra w tym siedmiomilionowym kolosie, gdzie najdłuższa ulica — Avenida Javier Prado — ma ponad 30 kilometrów długości, nie ma, a budowa szybkiej kolei miejskiej właśnie stanęła z powodu braku funduszów.

Strach pomyśleć co by było, gdyby przyjaciele nie mieszkali na sąsiedniej ulicy, a ulubiona kawiarnia i kino nie znajdowały się tylko parę przecznic dalej.

Jest jednak dzielnica, gdzie jadą wszyscy.

Przynajmniej od czasu do czasu: na większe zakupy, załatwić ważniejszą sprawę, bądź na manifestację. Mowa o starej Limie opierającej się szerszym bokiem o rzekę Rimac, a z drugiej strony, na wysokości nowoczesnego hotelu „Sheraton", wciskającej się między La Victorię, Jesus Marię, Lince i Brenię.

Chociaż jako miejsce zamieszkania jest ona klasyfikowana raczej u dołu drabiny, to jednak o niej przecież pisał Prescott, kopuły jej kościołów były widoczne z samolotu, na jej placach odgadywaliśmy krużganki, ona wreszcie dała nazwę całemu miastu. Tylko tu więc można szukać ostatecznego potwierdzenia bądź zaprzeczenia wizerunku metropolii.

Forpocztą starej Limy jest Mercado Central, olbrzymi obszar w okolicach Avenida Grau i Avenida Abancay dokładnie zastawiony kramami, straganami, albo po prostu zasłany płachtami, na których rozłożono towary. Pewnie nikt nigdy nie przemierzył wszystkich jego zaułków i czeluści, a jednak kiedy przyjdzie szukać tu czegoś szczególnego na ogół wychodzi się z niczym. Nawet kwiaty okazują się przywiędłe, a ryby nieświeże. Nie ma szans odnaleźć wyrobów miejscowego rzemiosła wyekspediowanych daleko poza centrum, na Avenida de la Marina, albo wtłoczonych w eleganckie sklepy na Avenida Cusco. Nie ma śladu ceremoniału wschodnich bazarów, ani spontaniczności targów meksykańskich.

Mercado Central jest metaforą całego miasta. Rzeczywiście zgromadzono na nim wszelkie urządzenia do właściwego pełnienia tej odpowiedzialnej roli, a przede wszystkim na samym środku pozostawiono dużą, pustą przestrzeń, na której może dziać się wszystko, czego tylko dusza zapragnie.

Albo jednak dusze Peruwiańczyków nie pragną wiele, albo są jakieś inne poważne przyczyny, dość, że możliwości te nie wydają się zbyt intensywnie wykorzystywane. Plac okupują głównie zaabsorbowani własnymi problemami przechodnie mający okazję zatrzymać się na chwilę tylko koło handlarzy zachwalających rewelacyjne leki na wszystko, albo — ale to już bardzo rzadko — wokół jakiejś grupy popularnych w całej południowej Ameryce ulicznych mimów. Trochę to za mało, aby zapomnieć o kłopotach.

Niechaj mi wybaczą wszyscy ci, którzy właśnie tu przeżyli niezapomniane chwile, ale bez takich wspomnień z Placu San Martin pamięta się głównie spokojną kolejkę smutnych mężczyzn przed kinem porno „Colón" i grupy miejscowych cinkciarzy z kalkulatorami w jednej ręce i plikami pieniędzy, podobno zwykle fałszywych, w drugiej.

Z Plaza San Martin na Plaza de Armas (Plaza de Armas stanowi zawsze centrum peruwiańskich miast i w każdym mieście występuje tylko w jednym egzemplarzu) można dojść wieloma ulicami, ale idzie się zawsze jedną — Jirón de la Unión.

Kiedyś był to dalszy ciąg Mercado Central, aż w końcu dokładnie barykadowani właściciele bogatych sklepów zbuntowali się i doprowadzili do usunięcia ulicznych handlarzy, którym władze municypalne wyznaczyły inne miejsce.

Wkrótce jednak okazało się, że nowe pokolenie sprzedawców długopisów, czekoladek, gumy do żucia i majtek już się tam nie mieści. A co gorsza: wraca na Unión. Ich krzyżujące się w powietrzu oferty znów bez skutku próbują stworzyć wielkomiejską atmosferę, skutecznie natomiast rozbijają przy okazji klimat swoistej prowincjonalności tych okolic, który bez nich mógłby mieć wiele uroku. A przywołanie go na własny rachunek bywa na ogół ryzykowne; można zostać okradzionym nie tylko ze złudzeń, ale i gotówki.

Plaza de Armas na odmianę jest pustawy i spokojny. Niestety głównie dzięki żołnierzom, którzy polewają wodą ławki, aby nikt na nich nie siadał i nie wpuszczają przeciętnych spacerowiczów na środek, robiąc wyjątek tylko dla świeżo poślubionych par wychodzących z Katedry do tradycyjnego zdjęcia przy fontannie. Wszystko po to, żeby nie dopuścić do manifestacji, które zresztą i tak odbywają się tu co najmniej raz na tydzień.

Dłuższy spacer w takich warunkach przypomina przechadzkę przed linią frontu. A zatem tylko pośpieszny rzut oka: Pałac Prezydenta z paradną gwardią przy wejściu i lamami w ogrodzie. Katedra, w której po uiszczeniu opłaty w wysokości 10 intis, można zobaczyć wystawną kaplicę z sarkofagiem Francisco Pizarra, zagubione wśród pysznych ornatów ceremonialne pantofle i kapelusz mędrego papieża Jana XXIII, salę z portretami wszystkich rezydujących tu biskupów, włącznie z podobizną świętego Toribio de Mongrovejo i tablicę upamiętniającą wizytę papieża pielgrzyma Jana Pawła II...

Stojąc tu można pomyśleć, że świat zaczął się w XVI wieku, a jego główną postacią był ograniczony, choć brawurowy konkwistador i jego Bóg.

Cała olbrzymia reszta i cała ogromna część dzisiejszego, żywego Peru jest na Placu Broni nieobecna; nie ma triumfu i kleski, nie ma bolesnej asymilacji, nie ma poczucia obcowania z górą lodową — jak w Meksyku. Może za wyjątkiem sprowadzonych do malowniczej ciekawostki lam...

Dawne świątynie inkaskie, nazywane w Peru z kèchua: huacas, nie dostąpiły nawet takiego zaszczytu; nie wymieniają ich przewodniki turystyczne — włącznie z najlepszym: „Reparaz", nie wiedzą o nich mieszkańcy najbliższych okolic i przewodnicy. Przez nikogo nie niepokojone obracają się w gruzy. Dotyczy to nawet tych najgłośniejszych, przywoływanych w wydawanych na całym świecie publikacjach naukowych i popularnych; jedynie odrapana, łuszcząca się tablica wskazuje, że otoczona śmieciami i poprzedzona szkieletem budynku przeznaczonego niegdyś na muzeum a wykorzystywanego dziś jako publiczny szalet, olbrzymia kupa piachu i kamieni, to huaca La Florida. Nikogo nie interesuje nawet wspaniała panorama Limy, którą można obejrzeć z jej szczytu — ludzie wolą wjechać windą na dach najwyższego budynku stolicy, Centro Civico.

Pozornie znacznie lepiej mają się resztki dawnych cywilizacji w muzeach, szczególnie tych prywatnych założonych przez dawnych huaqueros — złodziei grobów, a właściwie nawet nie złodziei, bo do niedawna nikt w Peru nie zabraniał tego procederu. Przepełnione ceramiką półki w Museo Larco Herrero, szuflady ze wspaniałymi tkaninami z Paracas w Museo Amano, szpalery gablot przelewających się złotem i klejnotami w Muzeum Złota...

A jednak te kunsztowne naszyjniki, kolczyki, całe korowody precjozów, przy których bledną wyroby najbardziej renomowanych współczesnych firm jubilerskich, to tylko druga strona tego samego medalu; świętość rozsypała się w gruzy, albo zamieniła w uszminkowanego trupa — Rimac stracił głos...

Czas i to wszystko, co ze sobą przyniósł, nie oszczędziły nawet największej huaki — oceanu. Jest on do tego stopnia zanieczyszczony, że rozsiadłe na jego brzegach bogate kluby musiały wybudować dla swoich członków baseny do kąpieli, zaś plaże publiczne przekwalifikowały się na najtańsze domy schadzek funkcjonujące okrągły rok, choć przez 7 miesięcy słońce w Limie jest niewidoczne a zawiesina wilgoci i smogu dotkliwie demontuje legendy o wspaniałym klimacie *„najpiękniejszej perły nad Pacyfikiem"*.

W Limie są nie tylko zapomniane huacas i nie tylko anonimowe muzea, a aby przespać się z dziewczyną niekoniecznie trzeba marznąć wieczorem na plaży.

Można jechać do Trocadero!

W tym celu należy udać się w kierunku Callao i trzymać się pierwszego lepszego samochodu wyładowanego mężczyznami; zasadniczo jeden na dwa wjedzie w niewinnie wyglądającą bramę przy przelotowej ulicy, minie ogrodzony murem kręty korytarz i znajdzie się na sporym placu pełnym parkujących pojazdów, wałęsających się postaci i dojmującego zapachu mączki rybnej z sąsiedniej fabryki.

Jeśli ktoś chce dopełnić wszystkich formalności, to — oprócz nabycia biletu za 20 intis — powinien kupić od siedzącego koło drzwi handlarza co najmniej 1 jajko na twardo, rozbić je na jego głowie, obficie posypać papryką i połknąć możliwie w całości. Potem należy jeszcze wybrać jedną z trzech bram i już można wejść do dużej, prostokątnej sali z pokojami na dwóch poziomach (Trocadero mieści się w dawnym więzieniu) i mocno przyćmionym świetle, które utrudnia wybór obiektu dziesięciominutowej miłości. Pracowniczki instytucji stoją bowiem — oczywiście w strojach organizacyjnych — w uchylonych drzwiach mając z tyłu blask znacznie mocniejszy.

Od czasu do czasu któryś z krążących mężczyzn zatrzymuje się i uzgadnia cenę z wybranką; jeśli dojdą do porozumienia, drzwi zamykają się, jeśli nie, następuje rozstanie, które tu — wyjątkowo — nie jest bratem śmierci. Organizacja wygląda na wzorową, jakby prowadził ją bohater powieści Llosy „Panteleon i wizytantki", może tylko trochę podstarzały, no i od dawna w cywilu.

Nieodparcie nasuwa się porównanie z gigantycznym kombinatem stomatologicznym: najlepsza dentystka, sądząc po kolejce, przyjmuje w pierwszej bramie z prawej i pierwszym korytarzyku z lewej (drzwi w głębi) — to na wypadek gdyby kogoś w Limie gwałtownie rozbolał ząb.

Można też spokojnie wrócić do kawiarni „Haiti", w samym centrum Miraflores, przywitać się z przechadzającym się tu chyba całą dobę policjantem, który musiał oglądać dużo filmów amerykańskich, zamówić pisco sauer... i patrzyć w tłum. Po czwartym kieliszku dochodzi się do wniosku, że na to wszystko przydałby się po prostu deszcz; zwykły, normalny deszcz, który potrafi ożywić nawet cmentarz... Ale w Limie nigdy nie pada...

RYSZARD NAKONIECZNY

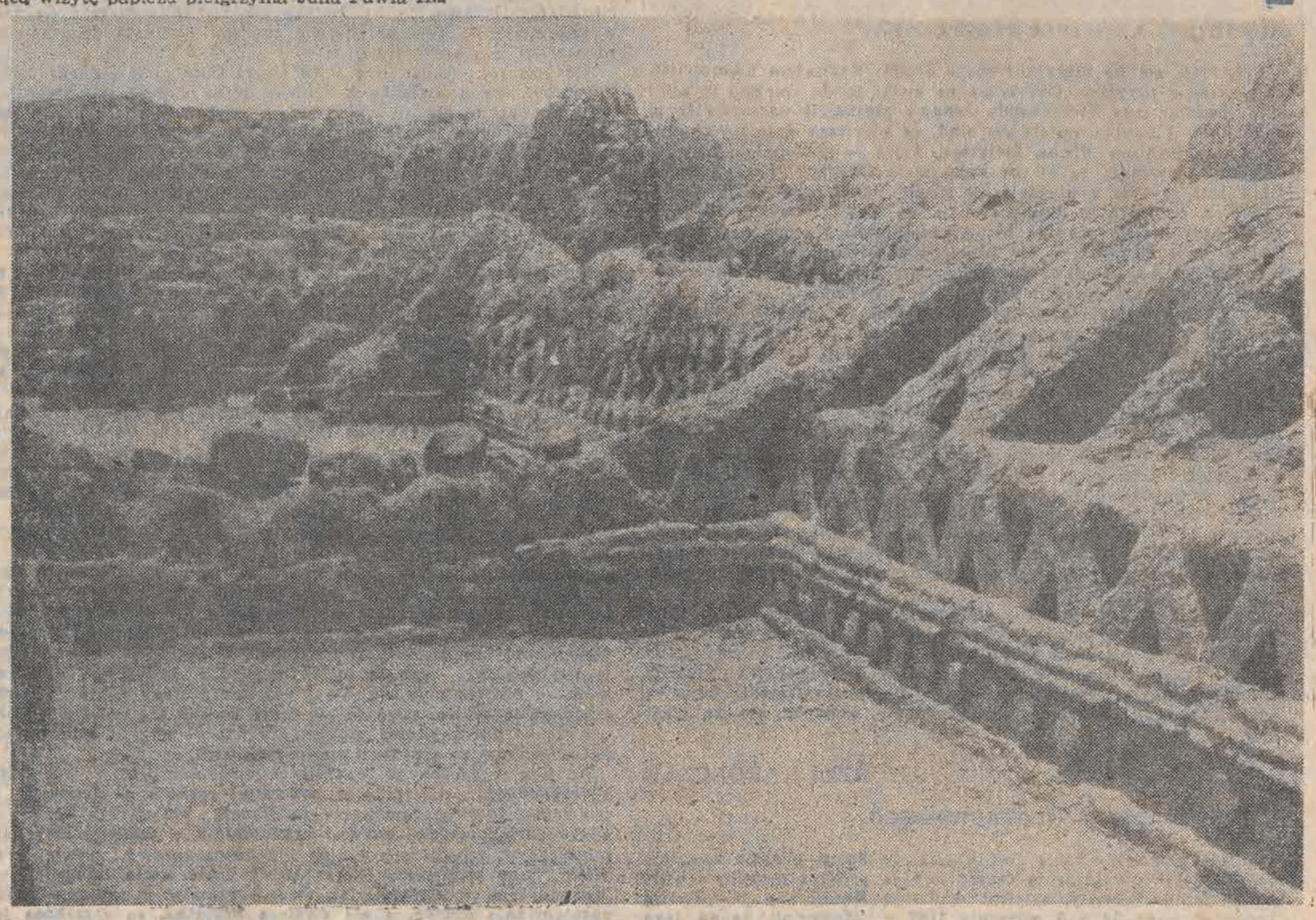

Co to była socjalistyczna opozycja demokratyczna?

(1)

Od Nikity S. Chruszczowa - do Leonida Breżniewa

W numerze 8 miesięcznika „Oktiabr" ukazał się artykuł Jurija Burtina — „Do was z innego pokolenia". Publikujemy część pierwszą obszernych fragmentów tego artykułu.

W okresie trzech i pół dziesięcioleci, jakie minęły od czasu śmierci Józefa Stalina, zainteresowanie tą postacią niezmiennie utrzymuje się na wyjątkowo wysokim poziomie. Zainteresowanie to, w niemałym stopniu podtrzymywane przez tę specyficzną atmosferę tajemniczości, która otaczała imię Stalina nawet w okresie najbardziej surowych rozliczeń — przede wszystkim było uzasadnione tym, iż — przy wszystkich rozlicznych i często diametralnie sprzecznych ocenach osobowości i historycznej roli Stalina, prezentowanych przez przedstawicieli różnych grup społecznych — rola ta obiektywnie rzecz biorąc była ogromna. Tu koncentrowały się historyczne uwarunkowania i okoliczności o skali wręcz gigantycznej, które w decydujący sposób określały i wpływały na losy dziesiątków i setek milionów ludzi. Niemniej można stwierdzić, iż na przestrzeni omawianego okresu, ocena przedstawionego problemu dwukrotnie przybierała otwarcie polityczny charakter, ważny dla kierunków i rezultatów naszego rozwoju społecznego. Po raz pierwszy nastąpiło to w latach 1956—64, w czasach szerokiej i aktywnej krytyki „kultu jednostki". Po raz drugi natomiast — w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, kiedy krytyka ta w sposób równie aktywny i zorganizowany zaczęła być wyciszana. Nas interesuje przede wszystkim ten drugi okres, ale po to, aby właściwie zrozumieć jego sens historyczny, trzeba pokazać go na tle pierwszego.

EPOKA NIKITY S. CHRUSZCZOWA

O czasach, które w mowie potocznej nazywa się epoką Nikity S. Chruszczowa, często mówi się z lekceważącym uśmieszkiem. Ma to oczywiście swoje przyczyny, ale mimo wszystko powiedzmy od razu: takie podejście wydaje się być niehistoryczne i wątpliwe pod względem moralnym. Już samo tylko otwarcie bram obozów i odwaga przyznania — przed całym światem — prawdy o „masowych represjach" przeciwko własnemu narodowi i bezprzykładnych pod względem surowości i skali — już tylko to jedno wystarczy, aby przypomnieć te lata i mówić o nich jako o jednej z najwspanialszych kart historii ojczystej.

Trzeba jednak pamiętać o jeszcze jednej okoliczności. Podniesiona dzięki referatowi N. S. Chruszczowa „O kulcie jednostki i jego konsekwencjach", wygłoszonemu na XX Zjeździe KPZR, fala krytyki Józefa Stalina rosła z każdym rokiem. Obejmowała ona coraz to nowe etapy i strony jego działalności, nabierała siły i stawała się coraz głębsza. To, co na początku traktowano wyłącznie jako godne pożałowania „błędy" i „odstępstwa od norm leninowskich", na XXII Zjeździe KPZR (1961 r.) zostało już nazwane wprost i po imieniu: „zbrodniami", „przestępczą działalnością", „fałszywymi metodami kierownictwa". Co najważniejsze jednak, krytyka „z góry" została podchwycona i wielokrotnie wzmocniona narastającym, krytycznym ruchem „oddolnym". I chociaż wzajemne stosunki obydwu stron procesu obrachunkowego cechowały się pewną asynchronicznością, a czasami dochodziło nawet do ostrych sprzeczności — to jednak generalnie rzecz biorąc był to cały czas ten sam proces, którego obiektywny sens historyczny polegał na demokratyzacji, na zastąpieniu stalinowskiego „komunizmu koszarowego" (przed którym przestrzegali Karol Marks i Fryderyk Engels) przez zupełnie inny rodzaj socjalizmu, opierający się na całkowicie odmiennych podstawach. W sferze gospodarczej — na materialnym zainteresowaniu efektami pracy, a nie zmuszaniu do niej. W systemie zarządzania i kierowania — na zasadach centralizmu demokratycznego, z rozszerzoną samodzielnością i elementami kontroli „z dołu", a nie na centraliźmie autorytarno-biurokratycznym. Wreszcie — w polityce zagranicznej — na koncepcji pokojowego współistnienia dwóch światów i poszukiwaniu możliwości wzajemnego zrozumienia i współpracy, zamiast wrogiej konfrontacji...

Wiele i słusznie mówiło się o niedostatkach ówczesnej krytyki Józefa Stalina, spośród których najważniejsze, to sprowadzenie historycznej odpowiedzialności za okres stalinowski do osobistej winy jednej, czy też kilku postaci, przedstawienie historii jako samej konstatacji i przerwanie wszelkich prób przeprowadzenia jakiejkolwiek analizy przyczyn, warunków i konsekwencji ujawnionych, krwawiących bolesnych faktów. Prawdą jest również i to, że proces społecznych przeobrażeń, któremu krytyka ta nadawała duchową i polityczną formę, moralny impuls i kierunek — dokonywał się nierównomiernie, chaotycznie... Brakowało teoretycznej analizy zarówno tego po swojemu całościowego, wewnętrznie spójnego systemu, od którego chciano odejść, jak i tego, który chciano stworzyć. Brakowało poza tym świadomego i konsekwentnego rozwoju, uwolnienia inicjatywy i społecznej samodzielności mas, co mogłoby nadać procesowi demokratyzacji autentyczną, rzeczywistą siłę i nieodwracalny charakter.

Dziś nie ma żadnego powodu, aby ukrywać wymienione niedostatki, które przynosiły wiele złego i szkodziły wówczas efektywności oczyszczającego procesu. Z drugiej strony nie można jednak i ich pomniejszać. Przeciwnie, trzeba je w pełni i dokładnie zbadać, m.in. dlatego, aby na nowym etapie odnowy nie powtarzać podobnych błędów.

Mimo wszystkich tych niedostatków podejmowane wówczas działania ukierunkowane były, generalnie rzecz biorąc, właśnie na człowieka, a nie odwrotnie. Proces ten odbywał się nie bez sprzeczności i przerw. Chociaż nie był w stanie i nie zdążył osiągnąć odpowiedniego zakończenia — to jednak był procesem o dużym znaczeniu wewnętrznym i historycznie perspektywicznym. Był on zgodny z kierunkiem naszej dzisiejszej przebudowy.

Zupełnie inaczej przedstawiał się problem stalinowski już

W KILKA LAT PÓŹNIEJ

Dlatego nie od razu stało się jasne, że dokonana w październiku 1964 r. zmiana Nikity S. Chruszczowa była nie tylko odejściem jednego przywódcy i przyjściem drugiego, ale również początkiem zupełnie nowego okresu w życiu kraju. Było to wydarzenie, które pod względem swoich następstw może być nawet porównywane z XX Zjazdem KPZR, tyle że ze znakiem przeciwnym. Było to działanie skierowane nie tylko przeciw „woluntaryzmowi" i nieuzasadnionemu eksperymentatorstwu (a były to główne motywy, podawane w wyjaśnieniach o przeprowadzanych zmianach i przez wielu uważane za wystarczające), lecz w istocie była to również akcja skierowana przeciwko temu pozytywnemu procesowi, który stanowił sens poprzedniego okresu historycznego. Już w końcu dziesięciolecia, kiedy została wyhamowana idea reformy gospodarczej — stało się dostatecznie jasne o co faktycznie chodzi (choć oczywiście, tak jak poprzednio, nikt nie składał na ten temat żadnych oświadczeń).

Bynajmniej nie chodziło tu o restaurację reżimu stalinowskiego. Coś takiego byłoby niemożliwe i nie pozwalał na to elementarny instynkt samozachowawczy. Jak zawsze w historii, w tym konkretnym przypadku restauracja miała charakter częściowy i względny. Można nawet powiedzieć, że wszystkie przemiany, jakie się dokonały w systemie, wszystko nowe co wniosła „epoka Chruszczowa" do ekonomicznej i społeczno-politycznej organizacji naszego społeczeństwa, do polityki wewnętrznej i zagranicznej państwa radzieckiego — nowa epoka zachowywała i umacniała. Z jednym jedynym wyjątkiem: został zablokowany i przerwany proces demokratyzacji. To jedno wystarczyło, aby obraz sytuacji uległ radykalnej zmianie. Jeśli nawet poprzednia epoka osiągnęła jeszcze niewiele np. w intensyfikacji produkcji, to jednak społeczeństwo znajdowało się w ruchu, poszukiwało nowych rozwiązań i żywotna była w nim tendencja do samoodnowy. Sytuacja była pełna sprzeczności, ale jednocześnie charakteryzowała ją duża dynamika i otwarcie.

Wszystko to zostało zahamowane i przerwane. Dynamika przekształciła się w statystykę, a ta z kolei — już sama z siebie — w obezwładniający zastój. Struktura społeczna, która ugruntowała się w wyniku takiej operacji odejmowania (socjalizm minus demokracja) była oczywiście pod wieloma względami bardziej elastyczna, aniżeli ta, która istniała do połowy lat 50., ale dla obydwu niepisaną i obowiązującą normą było administrowanie, autorytarno-biurokratyczny charakter wzajemnych stosunków między przywódcą i masami, a także rozbudowany system przywilejów dla wyższych pięter hierarchii społecznej, przypominającej kształt stożka. Zarówno jedna, jak druga struktura głosząc hasła postępu, ruchu, były w rzeczywistości wewnętrznie zorientowane wyłącznie na stanie w miejscu, na podtrzymywanie i ochronę istniejącego porządku rzeczy. Bardzo dobrze wiadomo do czego to doprowadziło.

PRÓBA REHABILITACJI JÓZEFA STALINA.

Ideologiczną formą takiego właśnie procesu „odejmowania", swego rodzaju emblematem, oznaką metamorfozy oficjalnego stanowiska, była również zmiana akcentów wobec Józefa Stalina i podjęta próba jego moralnej rehabilitacji w oczach narodu. Taka linia polityczna prowadzona była konsekwentnie i — trzeba to przyznać — nie bez powodzenia. Bynajmniej nie próbowano odrzucać i wypierać się przeprowadzonych wcześniej obrachunków — byłoby to rzeczą trudną i mogłoby przynieść skutek odwrotny od zamierzonego — korzystano natomiast z metody głoszenia półprawd oraz przemilczeń. Półprawdy upowszechniano np. we wszystkim tym, co dotyczyło roli Józefa Stalina w okresie drugiej wojny światowej i rzeczywiście był to jedyny moment, który można było moralnie wygrać wobec społeczeństwa. Przemilczano natomiast wszystko pozostałe.

Powodzenie pierwszej części tak sformułowanego programu w dużym stopniu ułatwiał fakt, iż w poprzednich latach o działalności Józefa Stalina w okresie wojny mówiło się bardzo mało, niechętnie, jakby przez zęby i z jednostronnym pokazywaniem błędów i pomyłek, do których prowadził jego despotyzm w organizacji tych lub innych operacji wojennych. I oto teraz, jakby dla wyrównania popełnionych wcześniej niesprawiedliwości, które — trzeba to przyznać — wielu wówczas drażniły, początkowo pojedynczo, a potem coraz szerszym strumieniem popłynęły wspomnienia, filmy, i wreszcie powieści, które od nowa przyzwyczajały czytelnika i widza do myśli o szczególnych zasługach Stalina — wodza, stratega i przywódcy antyhitlerowskiej koalicji. Z drugiej strony, ani słowem nie przypominano już negatywnych elementów szkodliwych dla reputacji wodza. Nawet tych pomyłek, które popełnił kierując działaniami wojennymi, a tym bardziej jego generalnej odpowiedzialności za to, jak drogo trzeba było zapłacić za zwycięstwo. Nie wspominało się też w ogóle o tym, że w latach 1937—38 pozbawił on właściwie naszą armię dowództwa, likwidując kwiat jej wyższych oficerów, ani też o układach z Niemcami w sierpniu i wrześniu 1939 r., których jednym z rezultatów było stworzenie Hitlerowi możliwości bezpośredniego skoncentrowania swoich dywizji nad naszymi granicami. Nie mówiono też o wielu innych sprawach tragicznych i strasznych, związanych z imieniem Józefa Stalina w naszej historii. Wszystko to zostało obłożone w sposób niejawny bezwzględnym zakazem.

Tak właśnie uzyskiwano pożądany efekt optyczny: blask wojny, świętej i sprawiedliwej, kładąc się na mundurze generalissimusa, jednocześnie jak gdyby promieniował również na jego całą biografię polityczną. Jeśli nawet wszystko, czego dokonał w okresie przedwojennym i powojennym wyglądało w tym kontekście nie jako coś moralnie usprawiedliwionego, to co najmniej zyskiwało znaczenie państwowej konieczności, dalekowzroczności i słuszności. To z kolei rozciągało się na całą charakterystykę stalinowskiego etapu rozwoju społecznego, który teraz nie pozwalano już nazywać „okresem kultu jednostki".

Całe to ideologiczne obejście dokonywało się powoli i bez większego hałasu, ale i te „drobne jego przejawy" nie umykały z pola widzenia ówczesnego, uważnego obserwatora i wiele mu mówiły. To na przykład, jak z rosnącą szybkością zaczęła opadać fala krytyki okresu „kultu", która stopniowo malała do jednej jedynej rytualnej frazy, wygłaszanej od wielkiego święta w referacie przywódcy i to z roku na rok coraz mniej wyraźnej. Wiele do myślenia dawało również to, że w artykułach i książkach o pośmiertnie rehabilitowanych „bojownikach o wielką sprawę" zaczęły jednakowo urywać się ich losy oraz wykreślano smutne finały ich biografii, zostawiając czytelnika w nieświadomości, co stało się z bohaterem. Jeszcze później zaczęły znikać również ich nazwiska ze stronic prasy, chyba tylko po to, aby nie budziły niepotrzebnych, głupich wspomnień...

W takich warunkach nowy i zdecydowany powrót do tematu zbrodni reżimu stalinowskiego miał swój w pełni usprawiedliwiony i jasny sens polityczny: było to słowo otwartego i zdecydowanego protestu. Jego głoszenie było wówczas możliwe (jeśli w ogóle) tylko w jednym, jedynym organie naszej prasy — w miesięczniku „NOWYJ MIR".

(CDN.)

Tłumaczył:
SŁAWOMIR POPOWSKI
(PAP)

Ci wspaniali mężczyźni (i nie tylko...)

W przysłowiowej glorii i chwale powrócili w połowie września z RFN trzej łódzcy „kolarze", a właściwie zwolennicy nietypowych pojazdów rowerowych. Z najświeższymi informacjami i plikiem interesujących zdjęć, wykonanych w czasie II Europejskiego Championatu Pojazdów Alternatywnych zjawił się w naszej radakcji **MACIEJ KACZMAREK** — znany doskonale również naszym Czytelnikom konstruktor pojazdów poruszanych siłą mięśni.

— Wiem Maćku, że w RFN zrobiliście furorę, ale najpierw wprowadź nas w ideę całej zabawy...

— Na drugi już championat organizowany w Nümbrecht przez niemieckie przedstawicielstwo International Human Powered Vehicle Association przybyło ze swymi pojazdami 107 zawodników, głównie z RFN, Szwajcarii, Danii, Luksemburga. Z krajów socjalistycznych byliśmy jedynie my...

— Czemu nazywacie wasze konstrukcje pojazdami alternatywnymi?

— Bo ma to być alternatywa dla ludzi zmęczonych codzienną gonitwą, życiem bez relaksu, między biurem a domem, korzystających wyłącznie z samochodów.

— Dwa słowa o was i konkurentach...

— Opowiadać można by godzinami. Startowaliśmy we trójkę: **DAREK KOSIŃSKI, KAZIK LASKOWICZ** (autor zdjęć) i ja, wszyscy na „jamnikach" mojej konstrukcji. Przeciwnicy? Cóż, wielu amatorów, domorosłych wynalazców, ale i przedstawiciele niewielkich lecz utytułowanych firm specjalizujących się w budowie takich wehikułów. Zachwycali się niektórymi moimi rozwiązaniami, mnie też dech zapierało, gdy brałem w rękę ich pojazdy. Dosłownie: superlekkie, wykonane ze specjalnych, wytrzymałych materiałów, choćby włókien węglowych. Nie tyle rozwiązań — bo tu nie mamy się czego wstydzić — co możliwości materiałowych mogę im tylko pozazdrościć...

— Owacje, nowe przyjaźnie, prezenty i zaproszenia na kolejne imprezy — to szalenie przyjemne. Ale jak wypadliśmy od strony sportowej?

— Chyba nieźle, biorąc pod uwagę dużą ilość utytułowanych konkurentów. Dodam, że sędziowie punktowali — oprócz oceny statycznej, czyli przydatności do poruszania się w normalnym ruchu drogowym — wyniki jazd sprawnościowych i uzyskane w klasycznym wyścigu na dystansie 11 kilometrów. W łącznej klasyfikacji najlepszy z nas, Darek, zajął siódme miejsce, dosłownie o kilka punktów za zwycięzcą — Holendrem.

— Te wehikuły są bardzo szybkie...

— Fakt, Darek na swoim „wydeptał" bez problemu ponad 62 kilometry na godzinę, a nieoficjalny rekord świata wynosi obecnie ponad 100...

— Wśród wielu zdjęć, na których widnieją mniej lub bardziej fantastyczne konstrukcje, mnie przypadł do gustu ośmioosobowy pojazd z chłodnicą „Mercedesa".

— Ach, to grupa Niemców, znanych w Europie między innymi z przepłynięcia tymże wehikułem, wyposażonym tylko w pływaki i śrubę — kanału La Manche... To jakby symbol doskonałej zabawy, sposobu na życie, preferowanego przez wszystkich uczestników zawodów. I ciekawostka: przed każdym z ósemki „kolarzy" zamontowany jest specjalny uchwyt. Na butlę z piwem...

(DOR)

Foto: Kazimierz Laskowicz

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

15 października — BOGDA MADEJ — godz. 10—16

22 października — LUCJUSZ WŁODKOWSKI — godz. 10—16.

Jesień to tradycyjnie już czas, gdy przypominamy sobie nie tylko o ciepłej odzieży i wyczyszczeniu kożucha, ale także staramy się przygotować nasze domy i mieszkania do odparcia ataku słot, śnieżyc i mrozów. Więcej też w czasie reporterskiego dyżuru sygnałów od Czytelników o złej, lekceważącej lokatora pracy osiedlowych administracji, o trudnościach z wyegzekwowaniem niektórych usług, choćby szklarskich, kłopotach związanych z kupnem materiałów uszczelniających okna. Coraz rzadziej — na szczęście — trafiają do dziennikarza prośby o załatwienie drobnej, indywidualnej sprawy, czy interwencje w sprawie porzuconego psa lub kota. Tym razem sporo też było problemów motoryzacyjnych. Ale — ad rem...

Pan JAN ROL w szalenie malowniczy sposób przedstawił mi m.in. funkcjonowanie MPO na przykładzie jednej tylko pergoli przy ulicy Emilii Plater numer 5—7. Najpierw była tam duża zatoka, w której spokojnie parkowało swe wehikuły 10 lokatorów. Później administracja wjechała na część miejsc z efektownym śmietnikiem, czyli pergolą zbudowaną — uwaga: z panelowych grzejników (to może być patent na skalę światową — wysyłamy fotoreportera!). Ale wewnątrz znalazły się tylko dwa pojemniki, które wypełniają się odpadkami po dwóch dniach. Wnętrze pergoli przedstawia więc makabryczny, cuchnący widok, zwłaszcza latem, bowiem ekipy MPO zjawiają się tu zwykle raz, najwyżej dwa razy w tygodniu...

Pan MIROSŁAW DRZEWIECKI w tonie dość ostrym dopytywał się jak długo jeszcze będzie trwał „ów komunikacyjny cyrk w centrum Łodzi". Zgadzam się, iż zabawa w sieć jednokierunkowych uliczek, efektownie przyozdobionych znakami zakazu i nakazu nawet wytrawnych kierowców przyprawia o zawrót głowy, a zmotoryzowani spoza Łodzi — idę o zakład — nie są w stanie za pierwszą próbą trafić na przykład do „Grandki". Bez łamania przepisów, oczywiście. Panie Mirku! — „kupuję" temat. Tyle mogę przyrzec. Tego typu organizacja ruchu w centrum wprowadzona została kiedyś na próbę. Ale prowizorki są najtrwalsze, warto więc przyjrzeć się efektom tej rewolucji...

Trzy osoby telefonowały w jednej sprawie: braku gazu w bloku przy ulicy Narciarskiej 24. Lokatorów mniej od samej awarii przerażał termin jej usunięcia — minimum dwa tygodnie. Po serii rozmów udało mi się ustalić pewne fakty. Otóż: w wyniku uszkodzenia wewnętrznej instalacji w budynku uszkodzeniu uległy dwa gazomierze. Zainstalowanie nowych przez ekipy gazowni w ciągu jednego dnia nie nastręcza większych kłopotów, ale wcześniej administracja — bo należy to do jej obowiązków — musi doprowadzić do nienagannego stanu wspomnianą instalację wewnętrzną.

Wspomniałem już o łamigłówkach, jakie mają do rozwiązania kierowcy w centrum Łodzi. Niewiele mniejsze — jak się okazuje — mają w łódzkich, choć myślę, że nie tylko łódzkich — osiedlach. W precyzyjny sposób opisał mi swoje i kolegów kłopoty pan KAZIMIERZ BANASIAK, mieszkający na osiedlu Widzew-Wschód. Aby dojechać do ulicy Smetany musi objechać pół osiedla. Był kiedyś „dziki" wjazd od strony ul. Przybyszewskiego, ale został — prawdopodobnie przez administrację — zagrodzony. — Czy nikogo z osób odpowiedzialnych nie interesuje problem niepotrzebnego zużywania wielu litrów paliwa? — dopytuje się pan Kazimierz. Chce pan znać moje zdanie? Nie interesuje...

Pana KRZYSZTOFA WOLSKIEGO, jak sam stwierdził — do szału doprowadził widok zatłoczonego skrzyżowania ulic: Promińskiego — Armii Czerwonej. Nie działały światła, nie było milicjantów, którzy pomogliby rozładować błyskawicznie rozrastający się, gigantyczny „korek". Ale nie to doprowadziło naszego Czytelnika do przysłowiowej szewskiej pasji. Otóż znaczne odcinki jezdni były zablokowane, bowiem brygady malarzy odnawiały „zebry"!!! Czyżby z okazji zbliżających się Wszystkich Świętych? Drogi panie Krzysztofie. Ja nie wiem czemu oni malują te paski akurat w połowie października. Znam tylko starą odpowiedź specjalistów od asfaltowych popisów malarskich, że jakoby nocą nie można, bo farba nie schnie. Są to rzecz jasna wyjaśnienia, które nic nie wyjaśniają, ale najważniejsze: nie dajmy się zwariować, nie dajmy się doprowadzić właśnie do owej „szewskiej" pasji.

I na zakończenie jeszcze jeden drobiazg, ale zupełnie z innej „beczki". Pan, który przedstawił się jako zagorzały amator fajki poinformował, iż niesposób kupić tytoń w kioskach „Ruch". Sam nie palę, więc obcy mi ów głód, ale sprawdzimy jakież to przyczyny wyprowadziły (obok paru innych produktów) z kiosków również tytoń fajkowy.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

TO NAM SIĘ NIE PODOBA

Poniedziałek. 5 października 1987 roku. Parking przed Centralem
Foto: Grzegorz Gałasiński

SUROWCE WTÓRNE

OKRĘGOWE PRZEDSIĘBIORSTWO SUROWCÓW WTÓRNYCH

„WTÓRPOL"

90-224 Łódź, ul. Marcelego Nowotki 75

ZATRUDNI

w charakterze agentów skupu surowców wtórnych

osoby posiadające place, pomieszczenia w postaci barakowozów, szop, baraków, samochodów dostawczych oraz lokale sklepowe na terenie województw: łódzkiego, płockiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego.

Zatrudnienie agentów skupu nastąpi w oparciu o umowę agencyjną. Wysokość wynagrodzenia zależna od wielkości skupu.

Oferty z podaniem posiadanych środków składać należy pod adresem OPSW „Wtórpol" w Łodzi, ul. Nowotki 75.

6034/k

top

INFORMACJE OGŁOSZENIA REKLAMA

ATRAKCYJNE REPORTAŻE CIEKAWE WIADOMOŚCI ROZRYWKI UMYSŁOWE KONKURSY Z NAGRODAMI

JEDYNY W POLSCE WYSPECJALIZOWANY TYGODNIK OGŁOSZENIOWO-REKLAMOWY

- krótkie terminy zamieszczania i niskie ceny reklam
- rewelacyjnie prosta formuła nadawania ogłoszeń drobnych — na kartkach dostępnych w kioskach „RUCH"
- nowoczesne wzory promocji
- informacje — we wszystkich Biurach Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch"

top

TWOIM POŚREDNIKIEM I INFORMATOREM

JUŻ WKRÓTCE W SPRZEDAŻY!

2282

zakłady tekstylno konfekcyjne teofilow

Łódź, ul. Szparagowa 6/8

WYDZIERŻAWIMY !!! powierzchnię produkcyjno-biurową ca 1500 m²

PROWADZONA OD SZEREGU LAT REORGANIZACJA SYSTEMU ZARZĄDZANIA A TYM SAMYM ZMNIEJSZENIE ILOŚCI PRACOWNIKÓW POZWOLIŁA NA ZWOLNIENIE CA 1.500 m² POWIERZCHNI SĄ TO NOWOCZESNE POMIESZCZENIA BIUROWE RÓWNIEŻ NADAJĄCE SIĘ DO PROWADZENIA PRODUKCJI W PEWNYM OKREŚLONYM ZAKRESIE

UŻYTKOWNIKOWI POMIESZCZEŃ ZAPEWNIAMY:

- KORZYSTANIE Z SAL KONFERENCYJNYCH
- KORZYSTANIE Z SALI WIDOWISKOWEJ Z WYPOSAŻENIEM UMOŻLIWIAJĄCYM ORGANIZACJĘ SYMPOZJÓW, WYSTAW I GIEŁD
- DYSPONUJEMY WYSPECJALIZOWANYM PERSONELEM DO ORGANIZACJI I OBSŁUGI WSZELKIEGO RODZAJU IMPREZ

ISTNIEJE RÓWNIEŻ MOŻLIWOŚĆ:

- ZAŁOŻENIA MAGAZYNU KONSYGNACYJNEGO
- PROWADZENIA DZIAŁALNOŚCI SERWISOWEJ NA TERENIE CAŁEGO KRAJU CO UŁATWIONE JEST CENTRALNYM POŁOŻENIEM ŁODZI, A WIĘC ŁATWOŚCIĄ, TRANSPORTU, POŁĄCZEŃ TELEFONICZNYCH I BEZPOŚREDNICH KONTAKTÓW

Zainteresowanych naszą ofertą prosimy o kontakt z działem ogólno-administracyjnym w Łodzi ul. Szparagowa 6/8 tel. 52 01 40 w 279, 278

2401/k

Umarł zapomniany w Londynie

Istnieje w polskiej literaturze powieść, która jak żadna inna spełnia bodaj wszystkie warunki dobrego westernu, a właściwie „easternu", gdyż na jej stronach żyje świat przemytników i bandytów ze wschodniej granicy przedwojennej Rzeczypospolitej, świat silnych i zdecydowanych na wszystko mężczyzn, postępujących według niepisanych praw obowiązujących w tym środowisku. Pogranicze polsko-radzieckie daleko wysunięte na wschód to już historia, ale ponieważ kresy drzemią chyba w każdym z nas, swym niepowtarzalnym klimatem fascynują i przyciągają obecnie głównie poprzez literaturę, więc i ta książka, poza wszelkimi innymi wartościami, ma jeszcze tę ważną zaletę, że dzieje się właśnie w tamtych odległych, a zarazem tak bliskich rejonach. To, że pisana była w więzieniu na Świętym Krzyżu i pełno w niej sytuacji z życia jej autora, dodatkowo ostatnie krajowe wydanie pochodzi z roku 1938 i dla wielu jest trudno dostępne, powoduje, że okrywa ją mgiełka tajemnicy. Myślę tutaj o „Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy" Sergiusza Piaseckiego.

Dziś najwięcej informacji o autorze i jego pracy możemy uzyskać za sprawą Melchiora Wańkowicza. Życiorys Sergiusza Piaseckiego znajduje się także w „Polskim Słowniku Biograficznym" i w „Nowym Korbucie" (Słownik Pisarzy), II, IV, poza tym kilka artykułów rozsianych po naszej prasie (znalazłem trzy) i to by było na tyle. Natomiast nie ukazała się żadna jego publikacja w krajowych wydawnictwach.

Sergiusz Piasecki na emigracji napisał 7 powieści. Marian Stępień uważa, że z jego powojennej twórczości dwie zasługują na uwagę i ponowny druk. Są to: „Żywot człowieka rozbrojonego" (napisana jeszcze w więzieniu, ale ponieważ rękopis zaginął, została ona odtworzona dopiero po wojnie i wydana w Londynie) i „Dla honoru organizacji". Sądzę jednak, że najpierw należałoby wydać tę, która otwarła jej autorowi bramy więzienia i przyniosła mu największą sławę, to znaczy właśnie „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy". Książka owa bardziej jest znana na Zachodzie niż u nas. Tłumaczona była na 16 języków. Najwięcej, bo aż 18 wydań, ukazało się we Włoszech (tylko w 1942 roku było ich 3), tam też powstał na jej podstawie film. Recenzując „Kochanka" w 1937 roku Kazimierz Czachowski słusznie napisał:

„Albowiem w Sergiuszu Piaseckim, gdyby nawet miał pozostać autorem tylko tej jednej książki, zyskalibyśmy pisarza o niewątpliwym talencie".

I tak też się stało, mimo że napisał jeszcze kilka powieści, dla wielu pozostał autorem tylko jednej. Choć zdania były i są do dnia dzisiejszego podzielone. Na przykład Kazimierz Błeszyński w artykule pt. „Dlaczego p. Prezydent Rzeczypospolitej może ułaskawić Sergiusza Piaseckiego" zamieszczonym w „Wiadomościach Literackich" w roku 1937 twierdził, że czytany przez niego w rękopisie „Piąty etap" jest ciekawszy od „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy". No cóż, mieć swoje zdanie to prawo, a nawet obowiązek krytyków. Faktem jest jednak, że przy końcowej redakcji „Kochanka" duży udział miał Melchior Wańkowicz, który dokonał dość radykalnych skrótów, co wyszło na pewno książce na korzyść, ponieważ inne jego powieści obfitują w znaczne dłużyzny.

Melchior Wańkowicz odegrał dość dużą rolę w życiu Sergiusza Piaseckiego. On pierwszy był, nie licząc oczywiście więziennej cenzury, czytelnikiem tego co pisał więzień ze Świętego Krzyża. On także rozpoczął kampanię na rzecz jego uwolnienia, w którą później włączyło się jeszcze kilku znaczących wiele w polskim życiu literackim ludzi. Jego to wreszcie wydawnictwo tę pracę wydało.

Sergiusz Piasecki jak widać dużo miał mu do zawdzięczenia, skąd więc po latach, już na emigracji, wzięła się tak wielka niechęć do autora „Monte Cassino" trudno wyjaśnić. Dziwi to tym bardziej, jeśli przeczytamy jeden z listów do Melchiora Wańkowicza pisany z Świętego Krzyża:

„Bardzo bym chciał, aby w przyszłości był Pan ze mnie dumny i postaram się to osiągnąć".

Niestety życie chciało inaczej. Wańkowicz nie był dumny z Piaseckiego. Dał temu wyraz w tomie „Przez cztery klimaty", gdzie w przypisie do artykułu przedrukowanego z „Wiadomości Literackich" napisał o nim kilka gorzkich słów, kończąc: *„Zmizantropiał. Umarł zapomniany w Londynie".*

Sergiusz Piasecki był jednak postacią niezwykłą. Ten były polski szpieg, przemytnik i wreszcie bandyta skazany za rozbój z bronią w ręku na karę śmierci (kara ta została zamieniona na 15 lat więzienia) dopiero przebywając w odosobnieniu zaczyna się uczyć języka polskiego (wcześniej posługiwał się tylko językiem rosyjskim), by napisać książkę, która staje się sensacją i przynosi mu wolność. Rzeczywiście był to nieprawdopodobny wybuch talentu, skoro opasły przecież tom swojej powieści pisał, jak sam donosi w liście do Mieczysława Grydzewskiego, tylko półtora miesiąca i twierdził, że to i tak wyjątkowo długo.

Powstała książka bardzo szczera. Autor, zamknięty w więzieniu, nie stworzył dzieła łzawego, z kart którego przebijałaby nostalgia za czasem przeżytym na wolności, kiedy był panem granicy. Nic takiego w niej nie ma. Oczywiście tęsknota za wolnością pomagała mu w pisaniu, ale właśnie pomagała, a nie przeszkadzała. I to także nie znaczy, że popadł w moralizatorstwo, nie! — on patrzył na przeżyte życie z dystansu i może dlatego żadna z postaci występujących na stronach powieści nie jest sztuczna. Ukazane są one z dużą pisarską zręcznością, umiejętnie wtopione w zmieniający się krajobraz, na którego tle ludzkie charaktery widać jakby dokładniej. Bo przyroda, jak u wszystkich pisarzy z kresów się wywodzących, odgrywa i u Piaseckiego ogromną rolę.

Powieścią zainteresowali się wybitni krytycy. Pisał o niej między innymi cytowany już przeze mnie Kazimierz Czachowski i Stanisław Piasecki. Ten ostatni tak opisywał swoje pierwsze wrażenie z lektury:

„...przystąpiłem do czytania z niechęcią tym większą, że nowy autor nazywa się Sergiusz Piasecki. A więc jeszcze na dobitkę imiennik! Ale po przeczytaniu pierwszych kilkudziesięciu stron, nastrój uległ radykalnej zmianie. Książka wzięła mnie. Nie odłożyłem jej, dopóki nie doczytałem do ostatniej strony. Za oknem przejaśniała się już noc w dzień".

Sergiusz Piasecki wiedział jak należy ciekawie pisać. Niejeden współczesny pisarz powieści sensacyjnych mógłby się od niego dużo uczyć.

Kończę akcentem optymistycznym; w trakcie pisania tego tekstu dowiedziałem się z informacji zamieszczonej w „Dzienniku Łódzkim", że Wydawnictwo Łódzkie ma wydać „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy", sukces wydawniczy gwarantowany. Pozostaje tylko życzyć powodzenia.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

1

Pod prąd

Nasza mała specjalizacja

JÓZEF RETMAN

Specjalizacja we współczesnym świecie jest koniecznością. Specjalizacja w nauce, polityce, przemyśle, kulturze... — we wszystkich prawie dziedzinach i sferach życia. Jedni w zjawisku specjalizacji, często bardzo wąskiej, dostrzegają znaczący przejaw nowoczesności i pieją na jej cześć. Inni — wprost przeciwnie — mówią, że to wielkie nieszczęście, gdyż znając jedynie fragment czegoś, nie zna się całości, więc i jej nie rozumie, a specjaliście ze specjalistą coraz trudniej znaleźć wspólny język. I też mają rację.

Jeśli chodzi o mnie, to bardziej przychylałbym się do tego drugiego poglądu, a to głównie za sprawą „naszej małej specjalizacji", z przejawami której przychodzi nam spotykać się na co dzień.

Oto na przykład w wielu sklepach spożywczych wyodrębniono stoiska z nabiałem, słodyczami, alkoholem, wyrobami garmażeryjnymi, itd., co może nawet nie byłoby takie złe, gdyby sklepów spożywczych było pięć razy więcej niż jest, a ekspedientki w każdym uwijały się jak pszczółki w ulu. Ale tak na ogół nie bywa i chcąc zrobić większe zakupy, zamiast w jednej kolejce muszę stać w kilku.

W zamyśle specjalizacja ta miała zapewne stanowić ułatwienie dla klientów, o których nasz uspołeczniony handel dba niezmiennie od zarania swego istnienia. Stanowi jednak — wyłącznie dla sprzedawców, którzy w wielu sklepach „przywiązani" zostali do stoisk odpowiedzialnością materialną i choćby w danej chwili nie mieli kogo obsługiwać, a koleżanki obok padały na twarz ze zmęczenia przed stuosobową kolejką, nie ruszą się z miejsca i nie pomogą.

A w kraju szaleje IRCH-a, wdraża się drugi etap reformy gospodarczej, działa organizacja konsumentów, zaś minister handlu wewnętrznego i usług zapewnia autorytatywnie na łamach „Polityki", iż bez jego resortu nie da się w Polsce po prostu żyć.

Przykład drugi: lecznictwo. Od dawna już polski internista zajmuje się głównie leczeniem kataru i kaca, a we wszystkich innych przypadkach kieruje pacjenta do specjalistów, na wizyty do których zapisywać się należy pół roku naprzód i którzy zajmują się oczywiście tylko i wyłącznie swoją specjalnością. Organizm ludzki jako całość nic a nic ich nie obchodzi.

I znów: być może założenia tego systemu były jakoś tam uzasadnione, lecz efekt jest zwykle taki, że chory na żołądek czy jelita może „zejść" zanim dostanie się do gastrologa, albo leczony już przez tegoż może nabawić się dziesięciu innych chorób, zupełnie o tym nie wiedząc, ponieważ płuca, kręgosłup, serce i pozostałe części ciała nie wchodzą w zakres jego specjalizacji.

A tymczasem za sprawą docenta Religi odnosimy światowe sukcesy w transplantologii, budujemy Centrum Zdrowia Matki-Polki, a w Szczecinie urodziło się pierwsze w Polsce dziecko z probówki.

Specjalizacja w usługach — powiedzmy, w zakresie napraw sprzętu radiowo-telewizyjnego: w jednym punkcie przyjmuje się tylko telewizory na gwarancji, w drugim — tylko po jej wygaśnięciu, w trzecim telewizorów nie przyjmuje się wcale, gdyż punkt specjalizuje się akurat w naprawach magnetofonów i wzmacniaczy, w czwartym... Zanim się człowiek dobrze rozezna w tym galimatiasie, nogi może uchodzić i paść na koniec rażony apoplekśją, gdy po odnalezieniu wreszcie właściwego punktu dowiaduje się, że i tak nic z tego, bo części zamiennych brak. Jeszcze zabawniej problem ścisłej specjalizacji ujawnia się na przykład w zakładzie napraw pralek automatycznych przy Gagarina, w którym odmawia się przyjęcia zlecenia ludziom mieszkającym nie dalej jak kilometr, gdyż jest to już inny rejon i wysyła ich kilka kilometrów na osiedle Widzew-Wschód.

A specjalizacja w sztuce? Kiedyś wszyscy artyści plastycy mieli jeden związek twórczy. Dziś mają kilka. Dlaczego? Bo komuś zza biurka wydawało się, że tak będzie wygodniej — oczywiście jemu, a nie plastykom, którzy — o ile wiem — wcale nie domagali się podziału. Tak samo zresztą jak klienci nie postulowali wydzielania stoisk w sklepach, a użytkownicy telewizorów czy elektronicznych zegarków nie nalegali, by naprawy gwarancyjne robił ktoś inny niż odpłatne.

Specjalizacja we współczesnym świecie jest konieczna. I musimy ją przyjmować z całym dobrodziejstwem inwentarza, jeśli rodzi się w naturalny, spontaniczny sposób. Wymyślona, wydumana, zmałpowana — może być i bywa karykaturalna. I to jest dopiero nieszczęście!

Wasz specjalista-felietonista.

2

Lewym okiem

Daleka podróż

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

A oto wrażenia z dalekiej podróży. Samolot nie podchodzi do lądowania, nie kołujemy nad lotniskiem, nie pochyla się nade mną urocza egzotyczna stewardesa. To nie samolot, to autobus PKS. Zatrzymuje się na rynku i wychodzimy zwyczajnie na ulicę. Góra Kalwaria. Dokoła rynku domy czyste, rzeskie, zdrowe, ale przecież stare, te same co przed wielkim dziejowym kataklizmem drugiej wojny światowej. Wchodzę w sklepioną bramę jednego z tych domów, brama wybrukowana jest kocimi łbami i ostro pachnie moczem. Przez tę bramę wchodzi się w podwórze, wielkie jak pół boiska do piłki nożnej. Też kocie łby obrośnięte krótką, nieustępliwą, wiecznie zieloną trawką. Wokół podwórza domy, domki, przybudówki, nadbudówki, komórki, mnóstwo małych okienek, małych drzwi, nie widać żywych ludzi. Bardzo spokojnie, bardzo egzotycznie, jak na innej planecie.

Obudowa podwórza szczelna, nie widać żadnej szczeliny, żadnej przerwy. Przed jedynymi tylko drzwiami maleńki może trzymetrowy ogródek, a w nim pięć pochylonych słoneczników. Drzwi tych parterowych budyneczków prowadzą wprost do mieszkań. A skądże ja to wiem kiedy wszystkie są zamknięte, skąd ja to wiem? Boże, przecież ja tu byłem, ja tu byłem kilkadziesiąt lat temu, dopiero w tej chwili uświadamiam sobie, że to chyba to samo podwórze, ale jakże inny obraz nakłada się w pamięci na to co rejestrują oczy. Oto wszystkie drzwi otwierają się nagle, bucha z nich kłębami gwar obcojęzyczny, przed domami kobiety pochylone piorą w baliach bieliznę, u ich nóg plączą się maleńkie dzieci, te większe uganiają z krzykiem gardłowym po całym podwórzu z jakimiś kijami w rękach, ze sznurkami udającymi zabawki. Na mój widok dzieci przestają się bawić, otaczają mnie kołem i stoją milcząc. Niežydowskie dziecko zagląda tu niezmiernie rzadko, a tutejsze dzieci równie rzadko wychodzą z podwórza poza mroczną sklepioną bramę. Tam jest wielki świat, który nie jest im do niczego potrzebny. Ich cały świat jest tutaj, większość ich życia dokona się właśnie wewnątrz tego czworoboku wypełnionego gwarem i ludzką skrzętną zapobiegliwością. Starzy, brodaci mężczyźni w długich czarnych chałatach i czarnych jarmułkach również przerywają swoje niezrozumiałe dysputy i patrzą ciekawie na małego chłopca z niebieską gimnazjalną tarczą na ramieniu. Czego tu szuka gojowskie dziecko?

Od tych źle ubranych kobiet, gardłowo rozwrzeszczanych dzieciaków, z wnętrza tych mrocznych, zagęszczonych do niemożliwości izdebek bije przaśny zapach biedy i wielkiej obcości. Przecieram oczy i zostaję sam pośrodku pustego, milczącego podwórza. Domy, domki, przybudówki i nadbudówki, sceneria została ta sama, dekoracja prawie ta sama tylko teatr opustoszał. Za zamkniętymi drzwiami tych samych ciasnych izdebek dożywają swoich dni emeryci. Ich dorosłe dzieci i wnuki już są daleko poza podwórzem, mieszkają w wielkich miastach, w nowoczesnych blokach, jeżdżą pięknymi samochodami po całym bożym świecie. Oczywiście są to inni emeryci, ci, którzy jako bardzo młodzi ludzie zaraz po przejściu frontu zajęli te izdebki opuszczone przez wyklęty, wymordowany naród. Teraz dożywają tu swoich ostatnich lat. Można tu nakręcić film wcale nie wychodząc poza podwórze. Trzeba by je tylko zaludnić tamtymi postaciami ledwie już jawiącymi się we wspomnieniach mojego pokolenia. Góra Kalwaria...

Wychodzę na ulicę słoneczną, jasną, przestronną, czystą, omiatam oczyma jeszcze raz odnowione fronty kalwaryjskich kamieniczek. Może to nieprawda, może wcale tu nie byłem, ale jeśli nie tu to gdzieś w takim podwórzu przecież musiałem być. Jakże inaczej mógłbym odbyć tę daleką podróż zamkniętą w jednym przymrużeniu oczu?

3

Sport

Hop! Skrzynka wina!

Nie mam — w żadnym wypadku zamiaru propagowania picia wina, bo mi grozi ustawa. Ale sprawa, która nurtuje działaczy klubu sportowego Tupliczanka z Tuplic, jako żywo skojarzyła się mi ze znaną i niegdyś popularną piosenką Marka Grechuty „Hop! Szklankę piwa!". Różnica między szklanką piwa a skrzynką wina jest ogromna, nie tylko w cenie, rodzaju i ilości napoju. Szklanka piwa w piosence Marka Grechuty była poetycką przenośnią, a skrzynka wina na stadionie w Złotniku materialnym konkretem o przetargowym charakterze.

W piłkarskiej klasie C w zielonogórskim okręgu tak się ułożyła sytuacja, że o awansie do klasy B decydował mecz, który miał się rozegrać w Złotniku. Jeśliby wygrali gospodarze, czyli Zieloni Złotnik, w meczu ze Startem Biedrzychowice, to do klasy B awansowaliby piłkarze Tupliczanki z Tuplic. Natomiast już remis urządzał piłkarzy Startu z Biedrzychowic. Nie więc dziwnego, że przywieźli do Złotnika skrzynkę wina i oferowali ją swoim partnerom za ów remis. Ale ambitni piłkarze ze Złotnika oświadczyli, że to jest mało. Chcieli więcej wina. Widać działacze z Biedrzychowic okazali się skąpi, gdyż mecz — 4:3 — wygrali piłkarze ze Złotnika. Awans należał się zatem piłkarzom z Tuplic. Ale awansowali piłkarze z... Biedrzychowic. Jak to możliwe?

Polska jest krajem nieograniczonych możliwości. Polak wszystko potrafi. Widać przebieg meczu niekorzystny przecież dla działaczy z Biedrzychowic zmusił ich do zmiany decyzji. Gospodarze dostali więcej wina, w wyniku czego zgodzili się na sfałszowanie protokołu. Na papierze okazało się — wbrew rzeczywistości, ale kto by się tam liczył z rzeczywistością — że mecz zakończył się remisem 2:2, a zatem awansować do klasy B powinni piłkarze Startu Biedrzychowice. Z protestami pośpieszyli teraz działacze z Tuplic, bo dzieje się im jawna krzywda i niesprawiedliwość. Jednakże działacze delegatury OZPN nie chcą dać im wiary i opierają się — wbrew opiniom świadków i uczestników meczu w Złotniku — na tym, co jest napisane na papierze, choć to oczywiste kłamstwo. Dla urzędnika ważny jest jednak papier, a nie skrzecząca za oknem rzeczywistość. Taki już ma sposób myślenia. Działacze z Tuplic udali się zatem do red. M. Więckowicza z „Gazety Lubuskiej", aby sprawę opisał i aby sprawiedliwości stało się zadość.

Red. M. Więckowicz całe to smutne przecież zdarzenie skomentował krótko: „Ostatecznie co tydzień na polskich boiskach piłkarskich dochodzi do oszustw i handlowania punktami". Różnicy jest tylko taka, że tych oszustw dokonują panowie w ciszy gabinetów lub gdzieś na poboczu, żeby nie powiedzieć w ubikacji. W Złotniku — przy pomocy skrzynki wina — dokonano oszustwa na oczach całej wsi, wciągając w to jej mieszkańców i dzieci. I to już powód, aby sprawą zajął się prokurator.

A precedens już jest. Sąd w Poznaniu skazał byłego trenera Czarnych Szczecin za to, że oferował swoim konkurentom z AZS Poznań 600 tysięcy złotych. Do transakcji nie doszło, ale Zbigniew Łata skazany został — nieprawomocnym jeszcze wyrokiem — na rok pozbawienia wolności z zawieszeniem kary na 3 lata i zakazano mu sprawowania funkcji trenera koszykarek przez 4 lata. Wyrok na jego koszt opublikowano w „Głosie Wielkopolskim" i „Kurierze Szczecińskim". Polski Związek Koszykówki cofnął pierwszoligową do tej pory drużynę Czarnych ze Szczecina do drugiej ligi.

Przeciw takiej decyzji zaprotestowały koszykarki Czarnych Szczecin uważając, że jest to wołająca o pomstę niesprawiedliwość. One mecz przegrały, w transakcji — która zresztą nie doszła do skutku — udziału nie brały, nic o tym nie wiedziały, więc za co je ukarano? Cóż to za przejaw zbiorowej odpowiedzialności? Wszystkiemu winien jest Zbigniew Łata. A on przecież nie działał tylko we własnym interesie. W interesie klubu i drużyny. O co więc pretensje i żale?

Jakież to szczęście, że mamy jeszcze himalaistów i że w tym sporcie przyrody przekupić się nie da. Jerzy Kukuczka ostatnim czasem zdobył Shisha Pangmę — szczyt w Himalajach o wysokości 8013 metrów ponad poziom morza. W Himalajach jest 14 szczytów powyżej 8 tysięcy metrów. Jerzy Kukuczka zdobył je wszystkie. Dokonał tego również Reinhold Messner. Różnica między nimi jest tylko taka, że Reinholdowi Messnerowi zabrało to 15 lat, Polakowi — 8 lat.

Na Shisha Pangmę weszli razem z Jerzym Kukuczką — po raz pierwszy zachodnią granią — Artur Hajzer i „normalną" drogą Wanda Rutkiewicz z Ryszardem Wareckim. Wanda Rutkiewicz jest pierwszą kobietą na świecie, która była na 4 himalajskich szczytach powyżej 8 tysięcy metrów. Jerzy Kukuczka z Shisha Pangmy zjechał na nartach. Pobyt czwórki Polaków na tym szczycie przy pięknej, bezwietrznej pogodzie, co w Himalajach jest rzadkością, został sfilmowany i pokazany w Polskiej Telewizji.

Polskim himalaistom serdecznie gratuluję! A co mam powiedzieć tym innym „sportowcom"?

BOGDA MADEJ

Dagome iudex

2

Zbigniew Nienacki

Proponujemy oto czytelnikom kilka fragmentów pierwszego tomu najnowszej powieści Zbigniewa Nienackiego „Dagome iudex", traktując je jako zapowiedź tomu drugiego, który „Odgłosy" będą drukować w całości już wkrótce.

„Dagome iudex" to swoistego rodzaju epos łączący w swojej fabule fantazję i historię, a właściwie zamierzchłą prehistorię życia plemiennego na obecnych ziemiach polskich. Nienacki próbuje po swojemu zrekonstruować obraz tamtych odległych czasów, i stworzyć nową mitologię początków polskości nad Wisłą. „Dagome iudex" to — z całym szacunkiem i dla Kraszewskiego, i dla Nienackiego — jakby współczesna wersja „Starej baśni".

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Z czasem, kiedy już był niedaleko celu, dym zaczął rzednąć, szarzeć, przebijało się przez niego amarantowe zachodzące słońce. Potem już nie widział nieba, gdyż zanurzył się w gęsty las, za którym była zamarznięta rzeka i wyspa z dworem Spalów. Las przyniósł odbite przez gęstwinę dzikie okrzyki, jęki i płacze, skowyty na wpół ludzkie, na wpół zwierzęce. Wydostał się na skraj i wtedy ujrzał ogromny tłum ludzki wędrujący po zamarzniętej rzece. Chyba ze czterdziestu wojowników uzbrojonych we włócznie, tarcze, miecze i topory prowadziło powiązaną sznurami gromadę młodych kobiet i młodych mężczyzn. Zdawało się chłopcu, że rozpoznaje kobiety Zemlinów, brodatych mężczyzn spalskich, zajmujących się kobiecymi robotami w dworze Zely. Wielokrotnie słyszał, że na dalekiej północy w kraju Estów nad ogromną wodą istnieje miasto, gdzie najdrogocenniejszym towarem są niewolnicy. Plemiona Estów niekiedy przekraczały rzekę Visulę i napadały na plemiona Sklavinów, aby chwytać niewolników. Tym razem zdradziecki najazd Estów musiał nastąpić, gdy on jak co dzień wybiegł z dworu Spalów. Teraz starł rękawicą pianę, która z wściekłości wystąpiła mu na wargi. Ale przecież nie rzucił się na odchodzących z łupem wrogów; było ich zbyt wielu, i zbyt dobrze uzbrojonych. Wierzył w moc swojego Tyrfinga, wierzył w swoją, nadludzką siłę, jaką dawała mu krew Spalów. Silniejszą jednak była Zely. Co się z nią stało? Dlaczego pozwoliła, aby Estowie odchodzili z jeńcami po zamarzniętej rzece? Uczyła go zresztą Zely, że nawet jego ojciec, olbrzym Boza, który ukręcał karki żubrom, krył się na dworze przed rozwścieczonym turem. Na tura dobrze było wykopać zdradziecki dół i zapędzić do niego podstępem, udając strach, a dopiero później — uwięzionego zaatakować i zabić. „Niczyja moc nie jest nieskończona — ostrzegała Zely. — Nawet bogowie rzek są słabsi w lesie, tak jak bogowie lasu bywają słabi nad brzegiem rzeki".

Skrył się więc w las, a następnie ostrożnie przeszedł przez jego gęstwinę w stronę dworu Spalów. I wówczas poczuł zapach spalenizny. W zapadającym zmroku ujrzał resztki dworu oddzielone od niego tylko białą połacią zamarniętej rzeki. Śnieg był zdeptany wokół częstokołu, brama szeroko otwarta, tu i ówdzie walały się trupy Estów, a także kobiet spalskich i spalskich młodzieńców. Ze wszystkich stron zlatywały się już stada wron, gawronów i kruków.

Estowie zapewne napadli rankiem od północnej strony. Zaskoczyli Spalów i dostali się do dworu przez otwartą bramę. I choć zapewne młodzi mężczyźni z krwi Spalów szybko chwycili za broń, to przecież pokonało ich zaskoczenie i ogromna ilość napastników. Tych, którzy zamknęli się w obronnych domach Estowie wykurzyli, podpalając trzcinowe strzechy. Pożar rozszalał się we wnętrzu ostrokołu, podwórze stało się polem walki. Wszystko to widział w swej wyobraźni syn Bozy jak przez czarną mgłę, którą wywołuje pragnienie walki i zemsty. Z tą mgłą w oczach przekraczał trupy wrogów i znanych mu ludzi — szukał tylko Zely. Dym snujący się po pogorzelisku dławił go w gardle i wywołał kaszel. Znikąd jednak nie słyszał ludzkiego głosu, a tylko potrzaskiwanie dopalających się bierwion i krakanie czarnych ptaków. Wszędzie też śnieg był pocętkowany krwią ludzką. Dookoła zaś walały się wzgórki pomordowanych ciał.

Zely leżała na plecach. Była w samej koszuli, w lewą pierś miała głęboko wbity grot strzały wypuszczonej z dużą siłą z bliskiej odległości. Obok niej spoczywało kilku wrogich wojowników z roztrzaskanymi głowami. Twarz Zely wydawała się synowi Bozy jak gdyby pożółkła i postarzała przez śmierć, a przez to brzydka. Piękne pozostały jedynie jej długie jasne włosy, rozrzucone wokół głowy i wdeptane w śnieg. Tylko raz syn Bozy spojrzał w jej nieruchome otwarte oczy. Potem aż do świtu na środek podwórza ściągał dopalające się belki i uczyniwszy z nich stos, położył na nich ciało Zely. Nie czuł ani głodu, ani pragnienia — dopóki ciało Zely nie zamieniło się w popiół. Rankiem na środku podwórza, w twardej grudzie wykopał głęboki dół i wsypał do niego szczątki spalonego ciała wraz z resztkami stosu. Następnie przeszukał zwęglone domostwa i w jednym z nich znalazł w głębokiej piwnicy pod podłogą wędzone mięso i ryby. Najadł się do syta, sporo mięsa włożył do naddartej płachty, którą zawiązał sobie na plecach. Chciał natychmiast ruszyć tropem Estów, ale raptem poczuł zmęczenie i aż do zmroku spał w kącie dopalającego się domu Zely. Nie musiał się śpieszyć; obarczeni niewolnikami Estowie nie mogli iść szybko. Czekała ich zresztą daleka droga do miasta, gdzie handlowano niewolnikami. Być może dlatego nie pozostali dłużej w spalonym dworze, nie przeszukali go dokładnie, lecz natychmiast ruszyli w powrotną wędrówkę. Rzadko przecież zapuszczali się tak daleko; za życia Zely — jak to opowiadała kiedyś — tylko dwa razy czynili podobne próby. Kto wie, czy nie dlatego zastali otwartą bramę ostrokołu? Tak naprawdę synowi Bozy także nigdy nie przeszło nawet przez myśl, aby ktokolwiek mógł napaść na Spalów, ponieważ rządziła nim olbrzymka. Tak oto przekonał się syn Bozy, że miała rację Zely, kiedy go ostrzegała, że istnieją granice każdej siły i mocy. Wszystko i każdego można pokonać.

Pragnął zemsty, pamiętał jednak nauki Zely, że nienawiść czyni człowieka ślepym. Estów naliczył czterdziestu, ale mogło ich być więcej. Widział przecież dym aż z dwóch stron nieba. Zniszczona została wioska Zemlinów, dwór Spalów, może jeszcze kilka innych wiosek. Niewiele też wiedział o Estach zamieszkujących na północnym wschodzie za rzeką Visulą. Tyle tylko, że nie mieli żadnych władców i mówili językiem trochę podobnym do języka Spalów. Kiedyś — jak twierdziła Zely — był to jeden wspólny język.

Noc spędzona w ruinach spalonego dworu sprawiła, że nagle poczuł się jak gdyby kimś innym. Pragnął zemsty, to uczucie jednak już go nie rozgrzewało jak poprzedniego dnia. Zrozumiał, że i tak nie wskrzesi Zely z popiołu, który wsypał do głębokiego dołu. Pojął, że jeśli nawet pokona Estów i uwolni jeńców, nigdy już nie powróci do zniszczonego dworu, albowiem tej nocy ogarnęła go choroba zwana Żądzą Czynów.

Zaczęła się od tego, że doznał przejmującego uczucia samotności i lęku przed przyszłością. Miał świadomość, że musi coś uczynić, ale nie wiedział co ma czynić. Wspomniał swoje dziecięce lata u Zemlinów i nagle utracił pewność, że jego ojcem był olbrzym Boza. Pochodził z karłowatego rodu, a dał sobie wmówić, że płynie w nim krew olbrzymów. Uwierzyli w to Zemlinowie, uwierzyła Zely, ale czy on sam do końca uwierzył, że począł go jednak olbrzym, a nie karzeł? Jak się przekonać o prawdzie, jeśli nie poprzez wielkie czyny na miarę olbrzymów.

Napastnicy, jeńcy, zemsta to wszystko jak gdyby przestało mieć znaczenie: chciał walki, pragnął czynić sprawy nadludzkie. Wyraźnie czuł jak owa choroba zbliża się i go pożera. W nocy ogarnęła go gorączka, całym ciałem wstrząsały dreszcze, zadzwonił zębami, a ślina w ustach nabrała smaku krwi. Jego palce przestały być posłuszne i zaczęły drapać ziemię, wyprężył mu się członek i nabrzmiał aż do bólu, tryskając w końcu nasieniem. Jego włosy jak gdyby uniosły się nieco nad głową, mięśnie ramion najpierw zesztywniały, a potem nabrały jakiejś wielkiej mocy. Chwycił oszczep i złamał go jak cieniutki patyczek, wziął w dłonie topór i zgiął jego ostrze, stękając z wysiłku i cały oblewając się potem. Wreszcie zaczął krzyczeć coraz głośniej i przenikliwiej, aż do utraty tchu. Aż do chwili, gdy jak martwy padł twarzą w śnieg i zasnął bardzo mocno.

Rankiem jeszcze raz przeszukał ruiny spalonego dworu i zebrał trzy kolczany strzał do swojego łuku, dwie włócznie i jeszcze więcej jedzenia. Ciążył mu oręż, płachta z żywnością krępowała ruchy, lecz niemal biegiem ruszył po wyraźnie odbitym w śniegu tropie dużej gromady ludzi. Szeroki ślad prowadził najpierw po zamarzniętej rzece, potem skręcał w puszczę i kierował się na zamarznięte mokradła. W południe zobaczył na śniegu obdartego do naga trupa mężczyzny. Rozpoznał w nim człowieka, którego kiedyś uważał za swojego ojca. Za stary się wydawał Estom, a poza tym był chyba ranny w walce i nie mógł iść szybko. Ktoś przebił mu plecy włócznią, gdyż opóźniał marsz. Na piersiach pozostawili mu tylko malutki woreczek z wełnianej tkaniny, zapewne bali się, że cudze leki przyniosą im nieszczęście. Chłopiec ciekawie rozerwał woreczek, który widywał na piersiach człowieka uchodzącego kiedyś za jego ojca i znalazł w nim tylko odrobinę mchu, kieł bobra, kawałek jantaru zwanego też bursztynem i trochę nici wełnianych. Odrzucił je w śnieg z pogardą, odkąd bowiem Zely nauczyła go sztuki czarów i robienia amuletów, ten wydał mu się pozbawiony wszelkiej mocy. Sam nie miał żadnego amuletu, jak przystało na człowieka znającego czary.

W godzinę później znalazł pierwsze obozowisko napastników. Zdeptany śnieg, ślady pięciu ognisk i jeszcze jeden na wpół obdarty trup, tym razem ciężarnej kobiety, która zaniemogła z powodu ciąży.

Stwierdził, że nie lęka się trupów. Martwa kobieta miała otwarte oczy i wyszczerzone zęby, lecz podobnie wyglądała Zely. Dlaczego miałaby go przejąć strachem ta obca kobieta, chyba z rodu Zemlinów, ponieważ na jej szyi wisiał kieł bobra. Usiadł obok niej i spokojnie pożywił się uszczuplając swoje zapasy. Potem natychmiast ruszył dalej, wciąż biegnąc równym krokiem, co było łatwe, gdyż idąca przed nim gromada dobrze przetarła drogę przez śnieżne zaspy.

Zatrzymał się nocą, mrok nie pozwalał widzieć tropu. Znalazł w puszczy wykrot, pozbierał suchych gałęzi i rozpalił ognisko. Najadł się, zasnął mocno otulony swoją futrzaną peleryną.

Przed świtem zbudził go chłód, spowodowany przejmującym północnym wiatrem. Ten wiatr mógł zasypać ślady, więc nie tracąc czasu na śniadanie, przy świetle późnego świtu natychmiast pobiegł po niemal niknącym mu w oczach tropie. Bieg rozgrzał go, a ślady na śniegu, mimo że nieustannie zasypywał je wiatr północny, pozostawały wciąż wyraźne. To znaczyło, że chyba dogonił Estów. Po godzinie znalazł ciepłego trupa jednego z tych Spalów, którzy zapadli na chorobę scytyjską. Estowie nie wiedzieli, że ci tak rośli mężczyźni byli z powodu tej choroby delikatni jak kobiety. Zabili go jak zwykle uderzeniem oszczepu w plecy. Na piersiach pozostał przedziurawiony kieł niedźwiedzia, amulet wielu Spalów.

Dalej trop rozwidlił się. Pięciu ludzi odeszło w bok, ich ślady rozdzieliła duża odległość. Syn Bozy domyślił się, że postanowili upolować jakieś zwierzę, aby wyżywić tak liczną gromadę jeńców i wojowników. I poszedł za tym, który pozostawiał najmniejszy i najpłytszy ślad, a więc zdawał się być jeszcze młodzikiem.

Byli dobrymi myśliwymi. Otoczyli gęsty matecznik i jeden z nich, ów młodzik, wygonił z niego stado saren. Ustrzelili jedną, a że zbliżał się zmrok, postanowili chyba już dalej nie polować i skierowali się w tę stronę gdzie zapewne miała obozować cała gromada. Stłoczeni w małą grupkę — największy i najsilniejszy niósł na plecach sarnę — minęli syna Bozy ukrytego za korzeniami przewróconego drzewa. Tylko dwóch z nich miało na sobie włochate skóry, przez które z trudem przechodził grot strzały. Gdy oddalili się trochę, syn Bozy zachrząkał jak locha. Przystanęli i naradzali się. Przemogła w nich chęć zdobycia świńskiego mięsa. Dwóch odeszło dźwigając sarnę, a trzech zawróciło i znowu rozdzieliwszy się, zaczęli wolno iść w kierunku miejsca, skąd usłyszeli chrząkanie lochy. Robiło się coraz ciemniej i wciąż wiał północny wiatr głośno huczący w koronach potężnych sosen.

Człowiek z napiętą cięciwą łuku ostrożnie mijał przewrócone drzewo. Wtedy syn Bozy trafił go włócznią w plecy. Tamten krzyknął głośno i padł, a potem jęcząc zaczął się czołgać po śniegu. Syn Bozy wyskoczył z ukrycia i uciął mu głowę Tyrfingiem, a następnie powrócił do swojej kryjówki.

Po dłuższej chwili nadbiegli dwaj pozostali, wśród nich młodzik w sukiennej pelerynie i futrzanej czapce. Przeraził ich widok odciętej głowy i martwego ciała wojownika. Ten moment zdumienia i przerażenia wystarczył, aby strzała uderzyła w pierś młodzika. Trzeci rzucił się do ucieczki, lecz dogonił go jak gdyby czarny cień. Padł z odciętym prawym barkiem, a potem jego głowa odpadła od tułowia.

Nastała noc. Syn Bozy pozbierał trzy oszczepy zabitych Estów, wziął ich głowy za długie włosy i poszedł w tę stronę, w którą odeszli dwaj wojownicy z sarną. Zaczął padać śnieg, a że wiał północny wiatr, zrobiła się zadymka. Syn Bozy uśmiechał się. Wiedział, że przed rankiem nikt nie będzie poszukiwał zaginionych wojowników. A nocą ich ciała a także ślady walki zasypie śnieg.

Między drzewami ujrzał blask kilku ognisk i usłyszał ludzkie głosy. Estowie założyli obóz nad brzegiem zamarniętej rzeki. Może chcieli pójść jej biegiem, a może postanowili ją przekroczyć? Ominął obóz i niewidoczny w zadymce skierował się na pokryty śniegiem lód. Widział z daleka blask ognisk i naprzeciw obozowiska wbił w śnieg na lodzie trzy włócznie z uciętymi głowami. W dworze Spalów, gdy chciano odstraszyć kruki od młodych kurcząt, zabitego kruka wieszano na długiej żerdzi. Ucięte ludzkie głowy powinny przerazić ludzi. Strach — uczyła go Zely — jest sprzymierzeńcem wojownika, obezwładnia wroga i pozwala zadać mu niespodziewany cios.

Na drugim brzegu usiadł za pniem grabu i przez zadymkę śnieżną wciąż dostrzegał blask ognia Estów. Potem przesiadł się, ponieważ wiatr z północnego zmienił się na południowy. Niósł ze sobą ciepło i odwilż. „Ilu ich muszę zabić za jedną Zely?" — zastanawiał się. I pomyślał, że takie rozumowanie nie ma sensu, nic bowiem mu nie wyrówna poniesionej przez niego straty. „Będę zabijał, dopóki sprawia mi to przyjemność" — postanowił.

Wczesnym rankiem Estowie zamordowali jeńca — brodatego mężczyznę z rodu Spalów — i nagiego położyli obok trzech głów wbitych na włócznie. Zapewne nawet im przez myśl nie przeszło, że ściga ich ktoś tak silny, jak syn Bozy, który potrafi jednym uderzeniem miecza odcinać głowy od tułowia. Sądzili, że swoją wędrówką naruszyli spokój jakiegoś bóstwa i teraz złożyli mu ofiarę. W obawie przed dalszą zemstą boga, pośpiesznie ruszyli dalej, przeszli rzekę i znowu zagłębili się w puszczę.

Odtąd syn Bozy zabijał rzadko. Tylko wtedy, gdy groziło mu niebezpieczeństwo, albo był głodny i chciał któregoś z Estów obrabować z żywności. Weszli zresztą w kraj Estów, co jakiś czas trafiali na obronne wioski. Jeśli wioska była mała, atakowali ją, brali żywność i jeńców, przeważnie młode kobiety. Dołączali ich do tych, jakie prowadzili. Wioski nie podpalali, aby dym nie ostrzegł innych mieszkańców tych stron. Jeśli wioska okazywała się silnie broniona, wysyłali posłów, kupowali żywność dając w zamian swoich jeńców, przeważnie brodatych Spalów, o których już się zorientowali, że są zniewieściali i nie nadają się ani do wędrówki, ani do ciężkiej pracy. Zresztą nie było dnia, aby któryś z jeńców nie padł martwy z wycieńczenia. Nikogo też nie martwiło, że zginął wojownik zabity przez syna Bozy. Nie tworzyli czegoś w rodzaju drużyny wojennej, poddanej surowej zbieraninę ogarniętą jednym celem: jak najwięcej jeńców doprowadzić do celu. I nie było dla nich ważne, czy będą to jeńcy, których zdobyli w Kraju Spalów, czy też schwytani po drodze.

Kiedyś rozebrał do naga zabitego Esta, aby zdobyć strój maskujący go przed nimi. Na piersiach zabitego znalazł zawieszoną na rzemyku drewnianą figurkę dzika. Ci ludzie wierzyli, że nosząc figurkę zwierzęcia zarazem zdobywają jego siłę i dzikość. Syn Bozy nie uznawał takich czarów. Zely uczyła go, że męstwo i siłę człowiek zdobywa przez ciągłe ćwiczenie swego ciała i swoich myśli. Potem przebrany w futro zabitego wojownika nocami podkradał się aż pod obóz Estów, niekiedy nawet krążył pomiędzy dogasającymi ogniskami i podkradał żywność. Nie zabijał nikogo, ponieważ chciał, aby doprowadzili go do miejsca, gdzie handluje się niewolnikami. Pragnął zobaczyć Miasto. Od Zely słyszał o miastach pełnych ludzi i bogactwach, marzył, aby je ujrzeć na własne oczy, gdyż ku nowym sprawom gnała go żądza czynów (...).

Tymczasem zrobiło się cieplej. Swoją zdradziecką czeluść odkryły bagna i mokradła. W południe pękał lód na jeziorach i gromada musiała niekiedy nadkładać wiele godzin drogi, aby obejść bagno lub jezioro. Wtedy syn Bozy spostrzegł, że Hurda zaczyna coraz częściej zabijać Estowych wojowników, przeważnie tych, którzy szli na końcu pochodu z trudnością wyciągając nogi z topniejącego śniegu. Jednocześnie unikał zabijania jeńców. Pojął więc syn Bozy, że jeńców ma dojść do miasta jak najwięcej, a jak najmniej tych, którzy ich przyprowadzą. W końcu zostało dwadzieścia pięć niewolnych kobiet i pięciu niewolników oraz piętnastu Estów, którzy ich pilnowali. O jeńców Hurda zaczął się troszczyć, o swoich wojowników zupełnie nie dbał i gdy zauważał, że na kolejnym noclegu brakuje jednego czy dwóch, nie okazywał niepokoju a nawet wydawał się zadowolony. Zrozumiał syn Bozy, że Hurda chce cały zysk ze sprzedaży jeńców wziąć wyłącznie dla siebie. Nienawidził więc coraz bardziej owego Hurdy, gdyż nie takiego postępowania uczyła go Zely. Za równy trud należała się równa nagroda. Ale czy tak postępowali ludzie władczy? Już wkrótce poznając „Księgę Grzmotów i Błyskawic" pojął, że dla człowieka, który chce władać innymi, liczy się jedynie jego własny cel i jego własne korzyści.

C.D.N.